

Joanna Chmielewska

Lądowanie w Garwolinie

1995

Wstęp

którego z pewnością nikt nie przeczyta na początku, ale może chociaż na końcu.

Jest to mój drugi utwór historyczny. Pierwszym było *Dziki białko*, pisane niejako post factum. To

samo dotyczy *Lądowania w Garwolinie*, opiewającego czasy z wczesnych lat sześćdziesiątych, i nie mogę go aktualizować, bo straciłoby charakter. Obecnie wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

Gotowy maszynopis znalazłam we własnych starych papierach. Co prawda, prezentował sobą scenariusz, a nie powieść, przeróbka zaś w tę stronę, scenariusza na książkę, a nie odwrotnie, prezentuje sobą trudności straszliwe, co widać nawet u Mac-Leana, ale zrobiłam, ile mogłam. Dzieło science fiction tkwiło we mnie przez całe lata, dłużej nawet niż małe z dnem, i postanowiłam dać ujście spęczniałej namiętności bodaj

namiastką.

Przy okazji chciałam delikatnie przypomnieć, jakie to były czasy, bo co najmniej połowa społeczeństwa zdążyła już zapomnieć i okrzykami „komuno, wróć!” daje wyraz tęsknocie do przeszłości. Generalny idiotyzm umknął z ludzkiej pamięci, a pozostało tylko czarowne wspomnienie zasady „czy się stoi, czy się leży...”

Trupów nie ma! Nie kryminał!  
Mówię od razu, żeby nikogo nie rozczarować. W ogóle nie wiem, co to jest, może groteska. Średnio realistyczna...

Obiecuję uroczyście, że

prawdziwy kryminał spróbuję napisać jako następny.

Autorka

Krzysio Wojciechowski, sekretarz redakcji tygodnika *Szósty Wieczór*, oderwał wzrok od rozłożonego przed nim na biurku czasopisma naukowego i utkwiał zadumane spojrzenie w siedzącym naprzeciwko niego koledze, satyryku.

- Mars to była moja ostatnia nadzieja - powiedział melancholijnie. - Jeżeli tam nie ma ludzi, to już nigdzie nie ma.

- Jak to? - rzekł na to z niejakim zaskoczeniem Januszek Płoński, fotoreporter, wysoki, szczupły i bardzo przystojny, odwracając się od okna, przez które w milczeniu obserwował ruch uliczny. - Mam wrażenie, że na ziemi ludzie są...

- Mało ci ludzi? - zdziwił się równocześnie satyryk z wyraźnym niesmakiem.

- Nie ma w naszym układzie słonecznym - wtrącił się pouczająco doradca do spraw technicznych. - W innych mogą być.

Doradca do spraw technicznych, Tadzio Kotlin, ukończył przed laty

politechnikę, dawno już jednak zrezygnował z wykonywania wyuczonego zawodu, znęcony urokami dziennikarstwa. Twórczej pracy pisarskiej oddawał się wprawdzie samodzielnie z rzadka i niechętnie, jego wykształcenie jednakże predestynowało go do piastowania w redakcji dość osobliwego stanowiska. Służył światłą radą we wszystkich dziedzinach i korygował błędy i niedopatrzona kolegów, grawitujących ku wykształceniu raczej humanistycznemu. W lokalu redakcji przebywał w godzinach bardzo różnych, ponad inne pomieszczenia przedkładając pokój sekretarza, wokół którego piętrzyły się, gromadziły i wikłały wszelkie możliwe

redakcyjne problemy. Siedział teraz na krześle pod ścianą, z nogami wyciągniętymi na środek pokoju i po raz czwarty odczytywał korespondencję skrytykowanego niedawno zakładu produkcyjnego, usiłując zrozumieć bodaj część zawartych w niej wyjaśnień. Z prawdziwą przyjemnością oderwał się od tego zajęcia.

- Inne układy słoneczne nie są jeszcze dokładnie zbadane - oznajmił stanowczo.

Sekretarz redakcji skrzywił się z powątpiewaniem, odsunął czasopismo naukowe i sięgnął po szklankę z herbatą. Przyjrzał się jej nieufnie, wrzucił do środka kostkę cukru i plasterek cytryny i

zaczął ją mieszać.

- Podobno ludzi nigdzie nie ma - rzekł, zniechęcony. - Wszystkie badania wykazują, że z tym żywym białkiem w kosmosie nie jest dobrze...

- Mylisz fikcję z rzeczywistością - przerwał satyryk. Odsunął krzesło, wstał i z leżącej na biurku aktówki wyciągnął torebkę z drugim śniadaniem. Z torebki wyjął jajko.

- O tym, że w kosmosie nie ma białka, pisał Lem w opowieściach o kadecie Pirxie - ciągnął dalej. - Naukowo to jeszcze nie zostało stwierdzone. Gdzie moja herbata?

- Tutaj - powiedział fotoreporter i odsunął się od parapetu, ukazując do połowy opróżnioną szklankę z herbatą.

- Świnia - powiedział satyryk z rezygnacją. Zabrał szklankę z parapetu, postawił na biurku, obejrzał jajko i przelotnie zastanowił się, jak bliska jest chwila, w której na widok jajek na twardo zacznie dostawać konwulsji. Jego żona, kobieta o stanowczym charakterze, stosowała dietę odchudzającą, żywiąc męża tym samym co i siebie. Drugie śniadanie zostało dla niego przygotowane przez nią. Spojrzał w okno, ale uporczywa, wiosenna mżawka zniechęcała do wyjścia, zdecydował się zatem jeszcze tym razem

to zjeść. Niemrawo popukał jajkiem w niewielki stosik teczek na biurku. Nie dało to żadnego rezultatu.

Sekretarz redakcji nadal mieszał herbatę, patrząc w dal niewidzącym spojrzeniem.

- Parę innych osób też pisze to samo - mruknął pośepnie.

Satyryk popukał jajkiem w teczki mocniej, wciąż bez skutku. Rozejrzał się w poszukiwaniu twardszego przedmiotu, uczynił krok, potknął się o wyciągnięte nogi doradcy do spraw technicznych i z rozmachem wyrznął jajkiem w maszynę do pisania na biurku sekretarza. Surowa zawartość jajka równomiernie spłynęła

na klawiaturę i czcionki.

- O, cholera... - powiedział, zaskoczony.

- Zwariowałaś, czy co? - zirytował się sekretarz redakcji, gwałtownie odsuwając krzesło od biurka. - Nie możesz tego rozbijać o swoją maszynę?

- Myślałem, że jest na twardo - powiedział bezradnie satyryk. - On mi nogę podstawił. Weź te kopyta ze środka, co?

- Chciałeś przecież żywego białka - zauważył spod okna fotoreporter.

- Ale nie tu, tylko w kosmosie! -  
sprostował z gniewem sekretarz  
redakcji. - Poza tym ono nie jest żywe,  
tylko surowe! Wytrzymaj to, do cholery! Ja  
się brzydę!

- Zachowuje się jak żywe... Co ty  
myślisz, że ja się nie brzydę? To przez  
Tadeusza, niech on wytrze!

- Ja też się brzydę! -  
zaprotestował doradca do spraw  
technicznych. - Po diabła w ogóle  
przynosisz surowe jajka?!

- To nie ja, to moja żona... Rusz  
się, daj coś!

- Papierem toaletowym...

Wśród wyraźnych objawów wstrętu wszyscy trzej przystąpili do wycierania maszyny. Czynność była dość skomplikowana. Fotoreporter przyglądał się temu z zainteresowaniem.

- Wracając do żywego białka... - powiedział

doradca do spraw technicznych. - Cholera, rozmazało mi się na rękawie... To w innych układach słonecznych nie wiadomo dokładnie, co się dzieje, i istnieje możliwość, że gdzieś tam płacze się taka sama planeta jak nasza. I na niej podobne istoty...

- Też tłuką surowe jajka o maszyny do pisania? - spytał zgryźliwie

sekretarz redakcji.

- Na pewno - odparł stanowczo satyryk. - Niech cię pocieszy, że, być może, gdzieś w kosmosie siedzi taki sam facet jak ty i rozmazuje sobie takie gluty po klawiaturze...

- Możliwe, że te istoty stłukły sobie na maszynie nawet dwa jajka - podsunął uczynnie fotoreporter.

- Kopę! - warknął sekretarz. -  
Dwie kopy!

- Sto kóp - zgodził się doradca do spraw technicznych, ścierając biało z mankietu papierem toaletowym i chustką do nosa. - W ogóle byłoby dziwne,

gdyby tak nie było...

- Gdyby nie tłukli tych jajek...?

- Nie, gdyby nie było takiej samej planety. W końcu nie możemy być przecież pępkiem wszechświata!

- A pewnie - przyświadczył satyryk. - To już byłoby zbyt głupie...

Wyjął z torebki drugie jajko, przyjrzał mu się i niepewnie rozejrzał się dookoła. Fotoreporter pośpiesznie przysunął ku sobie aparat fotograficzny.

- Lepiej idź to tłuc od razu nad sedesem - poradził gniewnie i ostrzegawczo sekretarz redakcji.

- Co go napadło z tymi jajkami? - zdenerwował się doradca do spraw technicznych. - Hodowlę drobiu masz, czy jak?

- Mówiłem wam, że to moja żona - odparł zniecierpliwiony satyryk i ostrożnie popukał jajkiem w ścianę. - To jest na twardo.

- Ty, Krzysiek, a właściwie po co ci to życie w kosmosie? - zaciekawiał się fotoreporter.

Sekretarz redakcji westchnął i przestał obserwować w napięciu poczynania satyryka, który wreszcie usiadł po drugiej stronie biurka i przystąpił do spożywania posiłku.

Przysunął swoje krzesło i westchnął drugi raz.

- Byłoby coś ciekawego - wyjaśnił, ożywiając się smętnie. - Mogliby robić większe postępy... Szybciej rozwijać cywilizację, nie wykańczać się wzajemnie w takim stopniu jak my... Miałby człowiek nadzieję, że przylecą do nas z wizytą i w ogóle coś będzie...

- Nie jestem pewien, czy by mi się to podobało - mruknął fotoreporter z powątpiewaniem. - Właśnie ostatnio miałem gości.

- Mnie by się podobało - zamamrotał niewyraźnie satyryk. - Gości

moja żona nie mogłaby karmić wyłącznie jajkami na twardo.

- Jeśli nawet są, to cholernie daleko od nas - powiedział z goryczą sekretarz redakcji i na nowo popadł w posępną zadumę.

Od najwcześniejszych lat, od chwili niemal kiedy nauczył się czytać, perspektywa podróży kosmicznych jaśniała przed nim jak zorza. Zależnie od zmieniającego się wieku, stanu ducha i nabywanego stopniowo wykształcenia wyobrażał sobie już to siebie, lądującego kosmicznym pojazdem na nieznannej planecie, już to istoty z nieznannej planety, lądujące mu przed nosem na Ziemi. Algebry i geometrii

uczył się w szkole wyłącznie w tym celu, żeby osiągnąć porozumienie z owymi stworzeniami, których poziom inteligencji wahał się w jego poglądach od absolutnego prymitywu do niedosiężnych szczytów, ale Pitagorasa w każdym wypadku musieli pojmować. Z wiekiem zaniechał myśli o osobistym uczestnictwie w ryzykownych wojażach i poprzestał na nadziejach, iż wymarzone istoty zdecydują się wreszcie przebyć dzielącą je od niego przestrzeń.

Wszystkie zdobyte wiedzy i kolejno następujące po sobie odkrycia naukowe systematycznie i bezlitośnie jego nadzieję niszczyły, tłamsiły i

wdeptywały w błoto. Z rozgoryczeniem doszedł do wniosku, że właściwie nie ma już na co liczyć, zdusił w sobie uczucie radosnego oczekiwania i pozostał już tylko przy masochistycznym zainteresowaniu tematem, który przez całe życie przynosił mu wyłącznie rozczarowania.

Teraz już nawet niejasne wzmianki o latających spodkach i talerzach traktował sceptycznie. Osobiście zastawy stołowej w przestworzach nie widział i nie spotkał ani jednej osoby, która oglądałaby ją na własne oczy. Tajemnicze rysunki Majów i Azteków, matematyczne sekrety Stonehenge i piramid, supozycje na temat wyższej

cywilizacji, która istniała, opuściła glob ziemski i poleciała gdzie indziej, a nawet Trójkąt Bermudzki, napełniały go wyłącznie zgryźliwym niedowierzaniem. Nie życzył sobie już więcej rozczarowań. Zakorzenione w najtajniejszych komórkach organizmu pragnienie nie opuszczało go jednak bez reszty i odzywało się niekiedy cichym smętkiem. Coś z tego kosmosu... Cokolwiek... Dożyć chwili, kiedy objawi się jakoś nie istniejące i zrealizuje niemożliwe...

Przecknął się teraz z ponurej zadumy i usłyszał, że doradca do spraw technicznych kontynuuje jego myśl, przy czym dźwięczy w tym jakby ślad

bolesnej tęsknoty.

- Wy macie pojęcie? Całkowita zmiana oblicza gospodarczego i politycznego! Opanowane problemy produkcji! Ustabilizowany ustrój...!

- Który? - spytał cichutko, ale z szalonym zainteresowaniem fotoreporter.

- Właściwy - odparł z naciskiem doradca do spraw technicznych. - Olbrzymi postęp techniczny! Skok...!

- A jakie straty! - przerwał mu satyryk z natchnionym zachwytem.

- Jakie straty...?

- Jak to jakie, to wszystko, co by szlag trafił na skutek paniki...

- Jakiej znowu paniki?! - wtrącił się sekretarz redakcji z głęboką naganą.  
- Teraz już mowy nie ma o panice!  
Ludzie byliby zainteresowani, nic więcej!

Satyryk nie chciał się wyzbyć tak od razu czarownej wizji zrujnowanego świata. Nastawiony już psychicznie na destrukcję, w czym duży udział miał rodzaj spożywanego śniadania, oczyma duszy ujrzał w pierwszej kolejności zdemolowane kurniki, zdziczałe kury, monstrualną jajecznicę ze wszystkich jajek kuli ziemskiej, których już by się nie udało ugotować na twardo, ani

nawet na miękko, następnie spodobał mu się wizerunek obróconego w perzynę Pałacu Kultury i zasypanego potężną kupą gruzu placu Defilad, zaraz potem wyobraził sobie, jak pęka i rozlatuje się na kawałki biała budowla na rondzie Nowego Świata i wybiegają z niej śmiertelnie spłoszone jednostki w nie najlepszym stanie, możliwie ciężko poszkodowane, kulawe i bezsilne... Do tego ostatniego widoku nie zamierzał się przyznawać, ale w oczach zapłonął mu blask.

- Jacy ludzie? - spytał

niecierpliwie. - Ja nie mam na myśli świata naukowego, tylko przeciętnych facetów byle gdzie. Zwyczajny naród!

- Tych, co lecieli z kłonicami pobić motocyklistę w hełmie? - upewnił się fotoreporter.

Mimo powagi tematu, wszyscy zachichotali, przypomniawszy sobie niedawną wzmiankę w prasie, wzbogaconą opowieściami kolegów dziennikarzy. Zarządzenie o używaniu hełmów motocyklowych weszło w życie, hełmy pojawiły się nawet gdzieś w sprzedaży i jeden nadgorliwiec, przyodziały zgodnie z przepisami, zatrzymał się na szosie w jakiejś wsi. Ludność wiejska zareagowała energicznie i w tempie godnym podziwu. Ze strasznym krzykiem: „Marsjanin...!!!” popędziła ku

niemu ze wszystkim, co kto miał pod ręką, przy czym największym powodzeniem cieszyły się kłonicie, orczyki i kołki z płotu, w celu usunięcia z pięknego oblicza Ziemi obcego stworu, paskudzącego egzystencję szczęśliwego narodu. Motocyklista zdołał uciec. Przez jakiś czas zarządzenie państwowe było w tej okolicy niewykonalne, ustawiono bowiem na szosie orężne posterunki, które miały zapobiegać najazdowi istot z pozaziemskich przestrzeni.

- O ile wiem, to przeciętny człowiek rzadko nosi przy sobie kłonicę  
- zauważył nieco zgryźliwie sekretarz redakcji. - Masz na myśli, że nie głucha

wieś i nie metropolia? Coś  
pośredniego?

- No właśnie. I tam panika i  
popłoch, co...? Sekretarz redakcji  
pokręcił głową i zeszkrobał z klawisza  
„§” nieco zaschniętego już białka

- Przeciwnie, zaciekawienie. Tak  
uważam Wyobraźcie to sobie. Ląduje  
takie coś ni przypiął, ni wypiął,  
wysiadają tacy trochę podobni do ludzi,  
a trochę nie...

- Podobno jeszcze nie było  
wypadku, żeby kto wysiadał - przerwał  
w zadumie fotoreporter.

- A znasz wypadki, żeby

wylądowało? - zainteresował się gwałtownie satyryk.

Fotoreporter skrzywił się wyraźnie, żeby nie narazić się na posądzenie o głupkowatą łatwowierność.

- Podobno u jakiegoś faceta siedziało w ogródku i zostawiło taki krąg zniszczonej trawy. Rzecz jasna w nocy i rzecz jasna ledwo majaczyło.

- U nas?

- Nie, w Stanach. U nas nie ma ogródków odpowiednich rozmiarów. Złapał aparat i trzasnął, widziałem nawet to zdjęcie. Taka mgiełka przy

księżycu, właśnie dokładnie ni przypiął, ni wypiął, nadymić się mogło i wyglądałoby tak samo.

- Ja mam na myśli konkretną rzecz - powiedział z naciskiem sekretarz redakcji. - I nie przy księżycu, tylko w pełnym słońcu, w biały dzień. Żadne mgiełki i dymy. Nadlatuje obcy przedmiot, talerz nie talerz, ganc pomada, ląduje, widać go wyraźnie, ślepa komenda zobaczy, wysiadają z niego tacy trochę podobni do ludzi...

- Dlaczego zakładasz, że jednak trochę podobni do ludzi? - przerwał doradca do spraw technicznych z narastającym zainteresowaniem.

- Jeżeli zakładamy istnienie w innym układzie słonecznym podobnej planety jak nasza, to musimy założyć podobne warunki egzystencji - zwrócił mu uwagę satyryk. - Czyli powinien się tam wykształcić stwór człekopodobny. W żadną myślącą plazmę nie wierzę, myśleć ta plazma może sobie do upojenia i niby co z tym robi? Co jej z tego myślenia przyjdzie?

- Wytworzy w sobie komórki. Podzieli się na kawałki. Wypryśnie takimi plackami i te placki coś tam wykombinują. Nie wiem co jeszcze, nie jestem plazmą.

- I sztukę myślenia masz opanowaną w mniejszym zakresie?

- Z plazmą konkurować nie zamierzam. I w ogóle takie gęste mazidło musi mieć inne potrzeby, nie wiem, jak się ze sobą i z tymi plackami porozumiewa, może wydaje z siebie dźwięki. Takie „plum!” Albo „mlask!”

Wizja mlaskających bezkształtnych kawałków, które by w dodatku mówiły „plum”, nie spodobała się nikomu, nawet na twarzy doradcy do spraw technicznych, autora pomysłu, pojawił się wyraz lekkiego obrzydzenia. Nie, plazma to nie był przedmiot marzeń.

- Człowiek zaczął chodzić na nogach, żeby mieć wolne ręce - przypomniał fotoreporter. - One

zapewne do czegoś były potrzebne.  
Musiałaby ta plazma wykształcić jakieś  
chwytyki, może macki...

- W takim razie już dawno temu  
wylądowali i wysiedli - zauważył  
satyryk. - Plączą się po rozmaitych  
oceanach, głównie południowych.  
Lżymy ich mianem ośmiornic. Rezultaty  
ich pracy myślowej są raczej  
niezauważalne.

- Bo widocznie ta plazma jest po  
prostu głupia...

Sekretarz redakcji nie chciał  
plazmy. Trwał przy swoim i ogarnęło go  
zniecierpliwienie.

- Dacie mi wreszcie powiedzieć czy nie? Odczepcie się od plazmy, niech ją szlag trafi! Czynię jakieś założenie i do słowa dojść nie mogę!

- No dobrze, gadaj - przyzwolił satyryk. - We mnie ta plazma też budzi niesmak.

Sekretarz redakcji popatrzył na kolegów i nabrał tchu, jakby miał pociągnąć długi trel w arii operowej.

- Nadlatuje takie coś, ląduje, wysiadają podobni do ludzi i co...?

Na tym jego przemówienie się skończyło. Urwał z wielkim znakiem zapytania, wypisanym na obliczu, i

wzrokiem utkwionym we współpracownikach, ze szczególnym uwzględnieniem satyryka.

Współpracownicy patrzyli na niego wzajemnie, zaskoczeni skromnością wypowiedzi, oczekiwali bowiem długiego gładzenia. Zarazem zaintrygował ich nagle tak skrótowo podsunięty obraz, któremu życiowa namiętność sekretarza redakcji dała jakąś tajemniczą siłę. We wszystkich duszach eksplodowała potężna i nieopanowana chęć ujżenia czegoś takiego, nadlatuje całkiem obce, wysiadają podobni do ludzi i co...?

Nikt nie umiał sobie tego porządnie wyobrazić.

Sekretarz redakcji odczekał długą chwilę, nie zmieniając w zasadzie wyrazu twarzy i tylko jakby zaciskając szczęki.

- I CO...?! - powtórzył nieustępliwie.

- A cholera wie, co... - mruknął niepewnie satyryk, zobligowany do zabrania głosu mocą wlepionego weń spojrzenia.

- Takie rzeczy powinien wiedzieć Ośrodek Badania Opinii Publicznej - oznajmił stanowczo fotoreporter.

- Może i powinien, ale niech ja kaktusami porosnę, jeśli wie - rzekł

niecو gniewnie doradca do spraw technicznych. - Poza wszystkim, oni badają na gębę. Co by pan zrobił, gdyby coś tam. Taki jeden z drugim gównو wie, co by zrobił, a nawet jeśli przypadkiem wie, prawdy z siebie za skarby świata nie wydusi.

Sekretarz redakcji jeszcze przez całe trzydzieści sekund przyglądał się kolegom, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu...

W ciągu zaledwie paru minut nastrój w tym jednym redakcyjnym pomieszczeniu uległ radykalnej zmianie. Dotychczasowa niemrawość brała się stąd, że do wyjścia kolejnego numeru pisma pozostawało jeszcze pełne cztery

dni, a felieton awaryjny leżał pod ręką. Opiewał uroki zaopatrzenia społeczeństwa w artykuły przemysłowe niedoskonałej jakości, nie przestawał być aktualny i można go było upchnąć zawsze i wszędzie. Satyryk zamierzał dołożyć parę drobnostek, ale na razie nic mu nie przychodziło do głowy, fotoreporter zaś czekał na propozycje.

Na dobrą sprawę nie było żadnego rozsądnego powodu, dla którego ktokolwiek z nich miałby dziś przyjść do pracy, może ewentualnie mógł wpaść na chwilę sekretarz redakcji w celu sprawdzenia telefonów i korespondencji. Dyscyplina pracy była jednakże nieubłagana i kategorycznie

żądała podpisu na liście obecności. Dalszy ciąg jej nie obchodził, nie temu służyła, żeby praca miała sens, po złożeniu podpisu każdy mógł sobie pójść, dokąd zechciał, ale akurat padał deszcz i wszyscy postanowili przeczekać go pod dachem instytucji.

### Czasopismo *Szósty Wieczór*

zajmowało się w zasadzie przedostatnim dniem tygodnia. Szósty wieczór to był wieczór sobotni, pozostawiony społeczeństwu na życie rozrywkowe. Szósty Wieczór relacjonował wydarzenia z soboty poprzedniej i podawał propozycje na tę najbliższą, omawiając je szczegółowo, mimochodem napomykał także o

niedzieli i wspominał przypadłości pozostałych dni. Żelaznym tematem była pełna martwota ulicy Kruczej i błyskotliwe wysiłki cinkciarzy w barach hotelowych. Niewątpliwie atrakcją dla czytelników stanowiłyby niektóre ekscesy potomstwa elity rządzącej, ale tę kwestię poruszyłby wyłącznie jakiś półgłówek, względnie samobójca. Reszta wymagała wielkich starań pomiędzy czwartkiem a piątkiem i dawała święty spokój od soboty do środy. Gdyby ktoś chciał pracować, nie napotykał przeszkód, nikt jednakże nie płonął przesadnym zapałem.

I teraz oto w niemrawej i tępej atmosferze beznadziejności pojawiły się

jakby jakieś iskry. Luźna i mglista myśl  
jęła nabierać wyraźniejszych kształtów.  
Żadnej roboty właściwie nie było i  
realizacja nieziszczalnego pragnienia  
opętała znienacka wszystkie umysły. Coś  
by się stało. Coś by się mogło dziać.  
Nastąpiłaby wysoce nietypowa  
niezwykłość i przestałoby być tak  
śmiertelnie nudno...

- Magister Zdzisław Rączek -  
powiedział sekretarz redakcji,  
odłożywszy słuchawkę z rumieńcem na  
twarzy. - Odnoszę wrażenie, jakie tam  
wrażenie, wyraźnie widzę, że oni też  
chcieliby to wiedzieć. Facet się zapalił  
do tematu. Reakcja społeczeństwa na  
obcy element. Naszego społeczeństwa...

- Dlaczego właśnie naszego? -  
przerwał podejrzliwie satyryk.

- Kretańskie pytanie. Amerykanie,  
na przykład, mogliby całkiem inaczej.  
Albo Murzyni w Kongo. I tak mi się  
widzi, wiecie, że przy ich współudziale  
dałoby się coś zorganizować...

- Rozpisać ankietę...? - spytał z  
wahaniem doradca do spraw  
technicznych.

- Chyba że na przebitce -  
zaprotestował satyryk. - Zastąpi papier  
toaletowy. Sam to przed chwilą  
powiedziałaś, w ankiecie większość  
zełga, każdy napisze, jak by chciał  
zareagować, a nie jak rzeczywiście

zareaguje, nikt się nie przyzna, że  
zwyczajnie ucieknie. Te rzeczy trzeba  
sprawdzać doświadczalnie!

- Po pierwsze nikt nie ucieknie... -  
zaczął sekretarz.

- A po drugie co? - przerwał  
fotoreporter. - Namówisz ich...

- Kogo?

- Tych z kosmosu. Namówisz ich,  
żeby wylądowali na Okęciu i  
podśłuchasz, co ludzie mówią?

- Dlaczego na Okęciu? Miejsce  
zupełnie niestosowne!

- Mnie się wydaje, że jeśli coś ląduje, to raczej na Okęciu, niż gdzie indziej...

- Jeszcze na Bemowie... -  
podsunał doradca do spraw technicznych.

Sekretarz redakcji już płonął ogniem.

- Toteż właśnie dlatego dla nas niestosowne! Oni powinni wybrać jakieś spokojne, nieduże miasteczko... No, wysilcie wyobraźnię! Pojazd kosmiczny ląduje w Grójcu, w Mławie, w Skierniewicach...

- W Garwolinie...

- Dużo tych pojazdów kosmicznych - przerwał nieco zgryźliwie fotoreporter. - Wszystkie naraz lądują? Cholerny ruch w powietrzu...

- Idiota - skarcił go z niesmakiem sekretarz redakcji.

- On ma rację, ten jakiś magister - wtrącił się satyryk. - Załóżmy, któryś z tych talerzy siada w ogródku, co facet robi? Łapie aparat fotograficzny. Oni są przyzwyczajeni do tego latającego serwisu, a nasi co?

- Zdaje się, że niektórzy też łapią aparaty... - rzekł z wahaniem doradca do spraw technicznych.

- Nie wszyscy mają. I okazje przytrafiają się rzadziej...

- No więc właśnie, nasi co? - podjął niecierpliwie sekretarz redakcji.

- Co się będzie działo, co z tego wyniknie, to jest ta druga strona medalu i ja ją chcę obejrzeć...

- A pierwsza, to która? - przerwał znów fotoreporter.

- Pierwsza, to ci z kosmosu. Jak oni na nas...

- Zwłaszcza plazma...

- Odpalantujecie się wreszcie od tej plazmy czy nie?! Zakładam

człekopodobnych. Mogę sobie wyobrazić, że zachowują się podobnie, jak my u nich...

- Byliście u nich? - zainteresował się gwałtownie fotoreporter.

- Tak, nie pamiętasz? - przypomniał życzliwie satyryk. - W zeszły piątek. Miałeś przerwę w życiorysie?

- Dwie przerwy...

- Jasnej cholery z wami dostanę! - wrzasnął sekretarz redakcji. - Dwóch słów z wami poważnie zamienić nie można! Milczeć, psiakrew...!!! Jak my u nich, nawiązanie kontaktów na

przyjacielskiej bazie, goście, niech was szlag trafi, kurza wasza melodia, elegancko próbujemy uzyskać porozumienie, oni z nami też...

- A jeśli jest to społeczeństwo agresywne...?

- Pocałuj mnie w społeczeństwo agresywne! Imperialiści może jeszcze do tego, co? Murzynów męczą...!!!

- Co do Murzynów, głowy bym nie dał - zaczął ostrożnie fotoreporter. - Ale, jako planeta, równik chyba powinni mieć...

Sekretarz redakcji prawie dostał szału, atmosfera w redakcyjnym pokoju

zaś zdecydowanie nabrała rumieńców.

- Debile jesteście wszyscy!!! Lecą do nas i nawiązują, i do diabła z Murzynami!!! Widać, że to obce i z przestrzeni kosmicznej!!! Do niczego niepodobne!!! Partii nie podlega!!! I co nasi, pytam się, co na to nasze społeczeństwo?!!! Oni mogą się dziwić, niech ich piorun strzeli, mogą się zachwycać.

- Osobiście wątpię... - nie wytrzymał satyryk.

- To se wątp!!! I powieś się!!! Mogą być nienormalni!!! Ja chcę widzieć chociaż tę jedną połowę, naszą stronę lądowania!!!

Siła pragnień sekretarza redakcji była tak potężna, że przebiła sceptycyzm pozostałych osób. Nagle wszyscy poczuli, że też chcą to widzieć. Wizja reakcji społeczeństwa na lądowanie istot z innej, nader odległej planety przemówiła wielkim głosem.

Fotoreporter odwrócił się tyłem do pokoju, a przodem do okna. Zamiast zadeszczonej ulicy ujrzał oczyma duszy straszliwy tłum ludzi, pchających się do pojazdu kosmicznego w celu opuszczenia granic kraju na korzyść czegokolwiek innego. Wydatną pomocą służył mu widok autobusu, który usiłował zamknąć drzwi w połowie ostatniego pasażera. Z lekkim

zakłopotaniem zastanowił się, jak można by przedrzeć się przez ten tłum dla osiągnięcia wejścia...

Satyryk widział przed sobą rozszalałą panikę. Z dużą przyjemnością oglądał opustoszałe i zdewastowane komisariaty MO, równie puste siedziby organizacji partyjnej i jej członków, ledwo dyszących w ucieczce przez orne pola, element marginesu społecznego blady z trwogi, ministrów wrazi z zastępcami kryjących się wśród nie opróżnionych śmietników miejskich i niektórych kolegów dziennikarzy, szczękających zębami po rozmaitych zakamarkach. Widok napełnił go dziką chęcią ujrzenia go w naturze.

Doradca do spraw technicznych niczego nie widział i niczego sobie nie wyobrażał. Poczł tylko wyraźnie, że dla obejrzenia omawianej reakcji społeczeństwa bez żalu odda dwie pensje...

W sekretarzu redakcji szalały wielkie doznania. Opanował się zewnątrznie.

- Reakcję społeczeństwa można zbadać tylko doświadczałnie - przypomniał z mocą. - Oni muszą wylądować...

W ciągu kilku sekund wszyscy odzyskali nieco równowagi.

- No to co w końcu? - spytał niecierpliwie doradca do spraw technicznych, któremu dodatkowo w opanowaniu w duszy nabyte niegdyś wykształcenie] - Załatwiamy to?

Opanowanie sekretarza redakcji miało swoje braki.

- Jasne! - krzyknął ogólnie. - Nie ma inaczej...! Wyciągnął z szuflady duży notes i zaczął w nim grzebać.

- Ci z Ośrodka pójdą nam na rękę - mówił dalej gorączkowo. - Głowę daję! Może nawet wezmą to na siebie, bo mają możliwości. Organizujemy lądowanie...

- W małym miasteczku, co? -  
ucieszył się doradca do spraw  
technicznych. - Technicznie da się to  
zrobić, już widzę mniej więcej... Jak on  
się nazywa, ten facet od badań  
kosmonautycznych?

- Właśnie go szukam. Parę  
informacji będzie nam potrzebne.

- Kota macie? - zainteresował się  
fotoreporter, porzucając widoki z okna.  
- Co wy właściwie chcecie zrobić?

- Jak to co, głupkowate pytanie!  
Zorganizujemy prawdziwe lądowanie  
pojazdu z innej planety, wizytę istot z  
kosmosu, i zbadamy dogłębnie reakcję  
społeczeństwa! Kiedyś wreszcie trzeba

to załatwić!

- A pewnie! - przyświadczył zachwycony pomysłem satyryk. - Ci z kosmosu zwlekają z tym jak idioci, aż nieprzyjemnie...

Fotoreporter patrzył na przyjaciół podejrzliwie i z niedowierzaniem. Był pewien, że się wygłupiają, ale przekonanie to rychło w nim zbladło i jego wyraz twarzy uległ gwałtownej przemianie.

- A wiecie, że to jest myśl... Niegłupia, wcale niegłupia... Rany boskie, jakie zdjęcia będzie można zrobić...!

- A widzisz...!

Ożywienie czterech członków zespołu redakcyjnego przeszło w absolutny entuzjazm. W każdej duszy, gdzieś na samym dnie, tkwiło jakieś malutkie, zasuszone ziarenko dziennikarstwa, które na jałowej glebie ocenzurowanej rzeczywistości nie miało najmniejszych szans wykiełkować i rozkwitnąć. To ziarenko teraz, wszystkie cztery ziarenka drgnęły silnie, ujrzawszy dla siebie nikłą możliwość rozwoju. Celem życia prawdziwego dziennikarza powinna być prosta droga o trzech etapach: primo interesować się, secundo dowiedzieć, tertio podać do wiadomości publicznej. Tymczasem

egzystencja zarówno tej, jak i wszystkich innych redakcji przygnieciona była regułami panujących wszechwładnie ograniczeń do tego stopnia, że całą profesję ogarniało zniechęcenie. A oto nagle pojawiło się COŚ...

- Pierwsza sprawa! - zarządził płomiennie sekretarz redakcji. - Nasze hasło brzmi: wszystko po kumotersku!

- Bez podanka? - zdziwił się radośnie satyryk. - Bez konspekcyku? Bez odgórnej korekty? Nie staramy się o żadne zezwolenia?

- Puknij się. Kto na to pójdzie? Nie mówiąc o natychmiastowym

rozgłosie!

- Przecież nie napiszemy...

- Rozejdzie się na gębę.

- A nie wezmą nas za kuper...?

- A jeśli nawet...! Dla takiej polki  
warto!

- Jak komu...

- Przestań bruździć! Bojaźliwy się  
nagle znalazł! Możesz nie brać udziału,  
jak nie chcesz!

- Paranoik! Akurat, jeszcze czego!  
Jedyna okazja w życiu i mam nie brać

udziału...!

Rozanielony wyraz twarzy satyryka wyraźnie świadczył o prawdziwości ostatnich słów. Grymasił właściwie tylko z przyzwyczajenia, ponadto działalność bez aprobaty odgórnej wydawała mu się zbyt piękna, żeby mogła być prawdziwa. W głębi jestestwa poczuł bez mała upojenie.

Twórcze rozważania, bez żadnych już hamulców, ruszyły ostro i z miejsca nabrały rozpędu. Przerwało je na chwilę przybycie bardzo zmokniętego grafika, którego należało wprowadzić w temat. Jego talenty wydawały się niezbędne.

- Jasiu, kombinuj! - zażądał

płonący żywym ogniem sekretarz redakcji. - Uważasz, kochany, mało, że lądujemy, to jeszcze musimy zrobić to, czego do tej pory nie było, mianowicie wysiąść! Zaprojektujesz ubranka! Rozumiesz, musi być coś podobnego do człowieka, ale tak, żeby od razu było widać, że to nie człowiek. Żadnych wątpliwości, rozumiesz, żeby nikomu nie wpadło do łba dokładnie sprawdzać! Wzoruj się, na czym chcesz, byle ci dobrze wyszło!

- Dobra - zgodził się grafik, usiłując powiesić gdzieś mokry płaszcz.  
- Ja mogę, ale po cholere to wszystko?

- Jak to po cholere, a co ty sobie wyobrażasz, że się doczekamy na tych

prawdziwych? W duchy wierzysz?!  
Nawet jeśli coś takiego się kiedyś  
przytrafi, to my już tego nie dożyjemy, a  
w ten sposób zobaczymy przynajmniej,  
jak to będzie wyglądało!

- Ale i tak będziemy przecież  
wiedzieli, że to pić na wodę...

- No i co z tego? Nikt inny nie  
będzie wiedział i cała ludność zareaguje  
tak samo jak na prawdziwe! Nie  
wymagaj za wiele! Chryja dookoła  
będzie autentyczna, a o to nam właśnie  
chodzi!

- Rozumiesz, aniołku - wyjaśnił  
łaskawie satyryk. - Robimy spektakl dla  
siebie, więc widownia musi uwierzyć w

akcję na scenie.

- Ma to wyglądać jak trzeba, a reszta należy do społeczeństwa - dodał zachęcająco doradca do spraw technicznych.

Grafikowi te informacje wydały się nieco mętne, ale pomyślał chwilę i dał się przekonać. Kiwnął głową, najpierw zwyczajnie, a potem nawet z wyraźnym zapalem.

- Skąd weźmiemy pojazd? - spytał rzeczowo. - I w ogóle co to będzie? Ja muszę ubranka dopasować do środka lokomocji.

Proste pytanie zakłopotало

wszystkich. W pierwszych rozważaniach ten punkt programu przeskoczyli, już wysiedli, ale nie wiadomo było jeszcze z czego.

- Pojazd, mówisz... No widzisz, właśnie o tym myślimy...

- Zaczynamy myśleć - poprawił satyryk.

- To musi być dostosowane do wyobrażeń społeczeństwa - powiedział stanowczo fotoreporter. - Krzysiek ma rację, trzeba wykluczyć wątpliwości. W końcu mamy przecież jakieś wzory, literatura ugruntowała w ludzkich umysłach różne obrazy pojazdów z kosmosu. Musimy się do tego

przystosować. Kto i co tam o tym pisał,  
nie pamiętacie?

- Mamy Lema - przypomniał sobie  
doradca techniczny. - Mamy Wellsa.  
Bradbury pisał... Nie pamiętam  
dokładnie, co oni tam naszkilili o  
wyglądzie zewnętrznym... I ten pisał,  
zdaje się najwięcej, ten... No, jakże on  
się nazywał? Na samo „H”... No!

- Horacy - podpowiedział  
życzliwie satyryk.

- Co...? Zwariowałaś, Horacy o  
pojazdach kosmicznych?!

- Chciałaś na samo „H”...

- O rany boskie, ten, jakże mu tam, no, ten, który pierwszy zaczął, wystrzelili się na księżyc w kuli armatniej...

- Verne - odpowiedział sekretarz redakcji. - Rzeczywiście, na samo „H” i przez „ó” kreskowane.

- Zgłupiałeś, czy co? - zdenerwował się fotoreporter. - W armatnim pocisku chcesz lądować?!

- Ja tylko mówiłem, że pisałem...

- I ten człowiek ma wykształcenie techniczne - ogłosił z politowaniem satyryk, kiwając głową.

Doradca techniczny zirytował się ogromnie.

- Zamknijcie się, do cholery, bo nie dacie myśli zebrać! Ja snuję propozycje... To musi być coś, co się swobodnie porusza w poziomie i w pionie, lądować na małym odcinku, startować bez rozbiegu i w ogóle to musi być pojazd powietrzny...

- Co ty powiesz? - zdziwił się jadownicie fotoreporter. - A ja już myślałem, że się nada łódź podwodna.

- Powoli się poruszać w poziomie i w pionie i może jeszcze wisieć w miejscu, co? - zadrwił satyryk. - Ciekawe, skąd coś takiego weźmiesz?

- Nie wiem, trzeba się zastanowić. Może by coś przystosować...? Czyja wiem, balon...? Samolot...? Może coś na zasadzie odrzutu...?

W głosie doradcy do spraw technicznych pojawiła się niepewność. Sekretarz redakcji zmarszczył czoło, myśląc bardzo intensywnie.

- Szybowiec? Awionetka? Spadochron...? - mamrotał pod nosem.

Grafik przyglądał się im z wyrazem nieopisanego zdumienia. Przybył później i panująca w pomieszczeniu atmosfera nie zdążyła go jeszcze doszczętnie ogłupić. Prawie nie wierzył w własnym uszom.

- Czy wszyscy macie jakieś  
zaćmienie umysłowe? - spytał,  
śmiertelnie zaskoczony i niemal ze  
zgrozą. - Na mózg wam padło? Przecież  
istnieje takie coś. Zwyczajny  
śmigłowiec! Helikopter!

Przez całe dziesięć sekund  
wszyscy patrzyli na niego w głębokim  
milczeniu. Potem satyryk zachichotał  
szatańsko, a sekretarz redakcji  
rozpromienił się słonecznym blaskiem.

- Jasiu, jesteś genialny! -  
wykrzyknął z rozczuleniem.

Odkrywcze spostrzeżenie grafika  
dodało ognia rozważaniom. Prasa  
posiadała wprawdzie własny helikopter,

rozmiary jego jednakże okazały się nieodpowiednie, co na moment zakłopotało wszystkich. Zdecydowano się wypożyczyć większy od wojska. W trakcie dyskusji nad niezbędną zmianą jego wyglądu zewnętrznego wyłoniły się nowe problemy.

- Jesteś pewien, że straci sterowność? - spytał z niezadowoleniem fotoreporter.

- Nie tylko sterowność - odparł doradca do spraw technicznych. - Jeżeli dźwięk ma być wytłumiony, to ja w ogóle nie dam głowy, czy on będzie latał. W każdym razie nie można od niego wymagać za wiele.

- Czyli tak, jak mówiliśmy -  
przerwał stanowczo sekretarz redakcji. -  
Minimalny odcinek do przelecenia w  
linii prostej, tyle, żeby się wzniósł i  
opadł. Musi startować z jakiegoś  
ukrytego miejsca.

Po długiej i nader burzliwej  
naradzie wybrano wreszcie teren  
eksperymentu. Dworzec PKS w  
Garwolinie, wraz z rynkiem,  
odpowiadał najbardziej Wygórowanym  
wymaganiom, wielkość i charakter  
Ciasta uznano za idealnie odpowiednie,  
wokół zaś rozciągały się lasy,  
stanowiące znakomitą kryjówkę.  
Fotoreporter znał je dość dobrze i  
podjął się zaraz nazajutrz spenetrować

teren, wynajdując stosowną polankę.

- Tylko, słuchajcie, absolutna tajemnica - powiedział ostrzegawczo i z wielkim naciskiem sekretarz redakcji. - Nikt nie ma prawa o tym wiedzieć, bo nam całą imprezę diabli wezmą.

Wytypujemy te parę osób i koniec, żadni przyjaciele, żadne żony, nic z tych rzeczy! Przede wszystkim nie może się dowiedzieć prasa!

- Zdawało mi się, że prasa to my - zauważył satyryk z niejakim zaskoczeniem.

- No więc my nie możemy wiedzieć! Żadnego kumoterstwa...!

- Czekaj no, czekaj - przerwał z troską fotoreporter. - Ale chyba potem coś trzeba będzie zrobić...?

- No trzeba będzie, jasne.

Doprowadzić maszynę do normalnego wyglądu...

- Nie, nie to miałem na myśli. Wy macie pojęcie, jaka draka wybuchnie? Prasa, telewizja, wszystkie agencje... *France-Presse... First landing from cosmos in Garwolin!* Międzynarodowa sensacja stulecia!

- Międzynarodowy skandal stulecia - poprawił trzeźwo satyryk. - Słusznie, nie możemy do tego dopuścić.

Zamiarom sekretarza redakcji nic już nie było w stanie przeciwdziałać. Realizował namiastkę życiowego marzenia.

- Poda się dementi - odparł bez wahania. - Zwalimy to na badanie opinii publicznej. Zaraz nazajutrz od rana wszystkie środki informacji ogłoszą prawdę i będziemy mieli z głowy. Bierzmy się za robotę, jazda! Jasiu, twórz stroje...!

Atmosfera z wysiłkiem tłumionego podniecenia zapanowała w dwóch instytucjach. W Ośrodku Badania Opinii Publicznej do tajemnicy zostały dopuszczone trzy osoby: zastępca dyrektora, zastępca głównego

księgowego oraz jeden socjolog z  
pracowni Badań Szybkich i  
Nietypowych. Zastępca dyrektora musiał  
zostać powiadomiony o imprezie z racji  
zajmowanego stanowiska, dzięki niemu  
zaś udało się uniknąć bezpośrednich  
kontaktów z dyrektorem. Pełen  
niepokoju i jak najgorszych przeczuć, z  
dwojga złego wolał już uczestniczyć w  
eksperymentcie i trzymać rękę na pulsie,  
niż odmówić udziału, puszczając rzecz  
na żywioł. Głębokie przekonanie, iż  
prasa, jako taka, jest instytucją z jednej  
strony nieobliczalną, z drugiej zaś  
wszechpotężną, kazało mu  
podporządkować się natrętnym  
naleganiom i wyrazić zgodę na  
dziwaczne propozycje. Zastępca

głównego księgowego był z natury człowiekiem milczącym, podejrzliwym, nieufnie nastawionym do świata i z zasady unikał udzielania komukolwiek jakichkolwiek informacji, tak że z jego strony dekonspiracja nie groziła. Kwestie finansowe zaś musiał ktoś załatwić.

Wybór socjologa nie nastroczał trudności. Od razu było wiadomo, że musi to być ten sam osobnik, który już przez telefon miał doskonały wpływ na sekretarza redakcji, wydatnie podbudowując jego szaleństwo. Powiadomiony o planowanej imprezie, wpadł w euforię. Zuchwały pomysł zachwycił go bez granic i już w

pierwszej bezpośredniej rozmowie wyznał sekretarzowi redakcji, iż zamierzone wydarzenie od lat stanowiło szczyt jego życiowych marzeń. Sekretarz redakcji z miejsca wyczuł w nim bratnią duszę.

Bez chwili wahania wprowadził go we wszystko. Konferencję toczyli w kawiarni na ulicy Kredytowej, gdzie nie pracował i nie mieszkał nikt z ich znajomych, od początku i zgodnie postanowiwszy wzajemne kontakty zachować w tajemnicy. Sekretarz redakcji zatem mówił szeptem. Szeptem wyjaśnił sprawę wyboru miejsca, szeptem rozważył kwestię człekopodobnych astronautów i szeptem

wyjawił ciężkie zmartwienie. Problemy natury techniczno-komunikacyjnej napotykają na swej drodze liczne kłody, ten helikopter...

- Otóż rozumie pan - szeptał, nie wiadomo dlaczego powodując tym szeptem zwiększony ruch powietrza i wdmuchując socjologowi do kawy popiół z popielniczki. - Nasz jest za mały, góra trzy osoby, a w zasadzie na dwie. Wychodzi, że najlepiej pożyczyć od wojska, ale nie mamy prywatnego dojścia. A oficjalnie...

- Co pan mówi...! - wybuchnął straszliwym szeptem dziko przejęty socjolog i całą resztę popiołu wdmuchnął do kawy sekretarzowi

redakcji. - Mój rodzony brat jest pułkownikiem lotnictwa...!

- O cudzie...!!! - wykrzyknął zachwyconym szeptem sekretarz redakcji i z dreszczem szczęścia jednym łykiem wypił całą kawę z popiołem.

Na personelu kawiarni uczynili wrażenie naradzających się waluciarzy wysokiego szczebla...

Sekretarka pracowni Badań Szybkich i Nietypowych weszła niespodziewanie do pokoju, w którym uhonorowany wyborem socjolog, pan Zdzisio, człowiek, jej zdaniem, dość

spokojny i zrównoważony psychicznie, samotnie spożywał drugie śniadanie. Spojrzała na niego i zatrzymała się jak wryta.

Pan Zdzisio w lewej ręce trzymał kanapkę z topionym serkiem, w prawej zaś spodeczek spod szklanki. Płynnym ruchem unosił go ku górze, zaczynając od skraju biurka, lekko nachylał, po czym pionowo opuszczał na środek.

- Hooooop... - mrucał przy tym z wyraźnym entuzjazmem, wręcz w upojeniu. - I siuuuuup... Hooooop... I siuuuuup...

Nie tyle słowa, raczej monotonne, ile ich ton, pełen niebotycznego

zachwytu, rąbnęły sekretarkę niczym obuchem. Chciała coś powiedzieć, ale najpierw zabrakło jej głosu, a potem nagle wydało jej nietaktem zdradzać swoją obecność w tak intymnej sytuacji. Wycofała się z pokoju na palcach, cichutko zamknęła za sobą drzwi, na jej twarzy zaś malowała się zamyślona troska.

Fotoreportera, który krokami mierzył polanki leśne w okolicach Garwolina, na szczęście nie widział nikt. Pomiarów dokonywał pod parasolem, deszcz bowiem padał przez trzy dni z rzędu, a zniecierpliwione grono przyszłych kosmonautów nie

chciało czekać.

Przed rozpoczęciem leśnych marszów, w ciągu zaledwie jednej doby, udało mu się obudzić liczne podejrzenia. Obejrzawszy z uwagą prasowy helikopter, jął się natrętnie dopytywać o gabaryty helikopterów wojskowych, co wszystkim nagabywanym nasunęło natychmiastowe skojarzenia z działalnością szpiegowską. Podejrzenia nie miały daleko idących konsekwencji tylko dzięki temu, że tak jawną działalność szpiegowską uznano za przeraźliwie głupią, a zatem niezbyt skuteczną, na wszelki wypadek jednakże nikt nie udzielił mu prawdziwej odpowiedzi. Oderwany pracą w

plenerze od macierzystej redakcji, o bracie socjologa jeszcze nie wiedział, poczuł się więc zmuszony rozmiary pojazdu ocenić na oko.

Spośród wszystkich przemierzonych pod parasolem polanek wybrał wreszcie tylko jedną, która wydała mu się dostatecznie obszerna. Niepewny własnych ocen, postanowił ją jeszcze skonsultować z pilotem.

Grafik potraktował sprawę poważnie. Spenetrował cały serwis fotograficzny dotyczący astronautyki, obejrzał kilkanaście zagranicznych żurnali w damskim zakładzie krawieckim, budząc tym żywe zainteresowanie żeńskiego personelu, na

wszelki wypadek odwiedził jeszcze Muzeum Wojska Polskiego, po czym jął czynić próby. Porobił liczne szkice, wybrał kilka najlepszych, ułożył je na stole i przywołał żonę.

- Jak uważasz, co to jest? - spytał, wskazując dzieła.

- Sprężyny z naszego starego tapczana, które ktoś okropnie poplątał - odparła żona bez wahania.

- A to?

- Dynia, poprzekłuwana drutami. Takimi do wełny.

- No dobrze, a to?

Żona spojrzała na niego z niepokojem.

- Jasieńku - powiedziała tkliwie - do tej pory byłeś prawie normalnym człowiekiem. Co ci się stało?

- Nic - zapewnił grafik stanowczo i niecierpliwie. - Z czym ci się to kojarzy?

- Z pluskwą, kochanie. Z wyrośniętą, dobrze wykarmioną pluskwą. Powiedz, co ci jest? Czy robisz ilustracje do dzieła o koszmarach sennych?

W tonie żony brzmiała głęboka troska. Grafik pomachał ręką, jakby

odpędzając od siebie te uczuciowe opary.

- Nic z tego nie wydaje ci się podobne do człowieka? - upewnił się niespokojnie.

- Na litość boską...!!! - zawołała żona zdławionym głosem.

Mąż wydał jej się bardzo zadowolony z tej reakcji. Z naciskiem poprosił, żeby nikomu nie mówiła, nad czym teraz siedzi, bo konkurencja tylko czyha, a ma to być nowość, wystawa awangardowa, coś w rodzaju konkursu. Żona i tak nie wydusiłaby z siebie ani słowa o pracach męża, które, jej zdaniem, wyglądały zgoła

kompromitujące, postarała się usunąć ich obraz z pamięci i pomyślała tylko, że z zaplanowanym dzieckiem należałoby może trochę poczekać...

Sekretarz redakcji, przy współudziale doradcy do spraw technicznych i wydatnej pomocy socjologa, załatwił wypożyczenie helikoptera od jednostki lotniczej. Z jego wyjaśnień decydujący o sprawie brat pana Zdzisia, pułkownik, zrozumiał, iż na skutek tajemniczych komplikacji finansowo-personalnych prasa zajęła się kręceniem filmów o tematyce przyrodniczej i sześćoosobowy helikopter niezbędny jest w celu

przewożenia dziennikarzy w głąb lasu i w ogóle w plener w nagłych wypadkach. Jakie nagłe wypadki mogą zaistnieć w przyrodzie, nie umiał sobie wyobrazić. Po uzyskaniu informacji, że grzyby rosną bardzo szybko, poniechał wnikania w szczegóły.

Satyryk zajął się studiowaniem literatury. Wychodząc ze słusznego założenia, iż ogół społeczeństwa czyta raczej dzieła popularne niż naukowe, pogrążył się bez reszty w powieściach science fiction. Znosił je do domu całymi tuzinami, co miało nieoczekiwane, radosne dlań skutki. Tak żona, jak dzieci poszły za jego przykładem, życie rodzinne uległo

całkowitej dezorganizacji i  
zaabsorbowana lekturą połowica mocno  
zaniedbała przyrządzanie śniadań,  
składających się z jajek na twardo.

Szczególnym trafem uwaga  
sekretarza redakcji o Marsjanach padła  
w wyjątkowo sprzyjającej chwili.  
Wszystkie włączone w temat osoby  
przeżywały akurat okres zastoju  
umysłowego, znudzenia i zniechęcenia  
monotonią egzystencji. Każdy  
oddzielnie, we własnym zakresie,  
dochodził właśnie do wniosku, że świat  
jest zupełnie beznadziejny, nic się nie  
dzieje, wszystko powtarza się w kółko  
takie samo, a jedyne rozrywki, jakich  
można oczekiwać, to zepsucie się

lodówki, kuchenki gazowej i samochodu, przypadłości zdrowotne całej rodziny, względnie nieprzewidziane wydatki nie wiadomo na co. Nikomu te wydarzenia nie wydawały się szczególnie atrakcyjne, a już z pewnością nie upragnione, i każdy w cichości ducha marzył o czymkolwiek odmiennym. Letnie urlopy rysowały się rozpaczliwie daleko, po wiosennych zaś pozostała resztką wigoru, nie znajdował dla siebie ujścia.

Myśl o lądowaniu istot z innej planety eksplodowała niczym fajerwerk i rozkwitła w żyznym gruncie.

Grafikowi przydzielono w redakcji pokój z oknem i wyjątkowo porządnym zamkiem. Dostępu do pomieszczenia nie miały nawet sprzątaczkę. Konferencji w gabinecie sekretarza redakcji usiłowano unikać z uwagi na nadmiar wizytujących go osób postronnych, skutek bowiem był niepokojący. Każdy z interesantów natykał się po wejściu na niewielką grupkę, trwającą w kamiennym milczeniu i patrzącą na niego wrogim spojrzeniem. Atmosfera niechęci do przybyszów była tak silna, że co wrażliwsze osoby mieszały się, zapominały, po co przyszły, i czym prędzej opuszczały niegościnnie pokój, okupowany przez dziwnie jakoś

antypatyczne i nieżyczliwie nastawione jednostki. Mnóstwo spraw pozostawało nie załatwionych.

Nagabywana w tej kwestii sekretarka naczelnego wzruszała ramionami, kręciła głową i odmawiała odpowiedzi, bezskutecznie starając się ukryć przepełniającą ją urazę. Pierwszy raz zdarzyło się, że robiono coś w tajemnicy przed nią, ponadto uraza miała jeszcze i drugą przyczynę.

Aktualnym życiowym celem sekretarki było poślubienie fotoreportera. Jako kobieta całkowicie dorosła zdawała sobie sprawę, iż fakt zawarcia związku małżeńskiego o niczym właściwie nie świadczy i wcale

nie załatwia całej reszty życia, w tym roku jednakże kończyła trzydzieści lat. Postanowiła, z chwilą przekroczenia tego progu, zmienić stan cywilny i w ankietach personalnych móc pisać raczej „rozwidziona” niż „panna”. Własne nazwisko przestało się jej podobać, zdecydowała się je zmienić, w dodatku weszła właśnie w posiadanie dwupokojowego mieszkania spółdzielczego i oba te elementy razem sprawiły, że ślub z fotoreporterem stał się wydarzeniem w jej życiu niezbędnym.

Fotoreportera wybrała sobie z kilku istotnych przyczyn. Po pierwsze podobny był trochę do Gregory Pecka, a

sekretarka oglądała niedawno „Rzymskie wakacje” i to, co drgnęło w jej sercu, mocno przypominało wielką miłość. Prawie Gregory Peck w naturze stanowił szczyt osiągnięć i w pełni zadowalał uczucia, podobał jej się zatem jako taki. Po drugie był rozwiedziony i jedyny chwilowo wolny. Po trzecie prowadził tryb życia czarowny dla większości żon, szczególnie pracujących. Nie lubił domowych obiadów, nie zwracał uwagi na to, czym się żywi, nie miał przesadnych wymagań i nie zwracał głowy. Po czwarte posiadał byłą niańkę, obecnie sprzątaczkę, która przez całe życie szła za nim krok w krok, utrzymując w nieskalanym porządku

wszystkie noszone przez niego koszule. Zapewne także i gacie, ale tego sekretarka jeszcze osobiście nie stwierdziła. Już sama sprzątaczką stanowiła dostateczny argument, przemawiający za poślubieniem obsługiwanego przez nią osobnika.

Dotychczasowe dyplomatyczne zabiegi dały już pewne rezultaty, teraz zaś tajemnicza, absorbująca zespół sprawa obróciła wszystko wniwecz. Fotoreporter całkowicie przestał zwracać uwagę na sekretarkę i stanowczo odmawiał poświęcenia jej bodaj chwili czasu.

Bardzo tym wszystkim zdenerwowana, nie zrezygnowała

jednakże ze swoich zamiarów. Nie bacząc, jakie supozycje mogłaby spowodować jej nadgorliwość, więcej niż kiedykolwiek przebywała w miejscu pracy. W spokojnych dniach pomiędzy numerami pisma naczelny szedł do domu, ona zaś pozostawała, nie mając kompletnie nic do roboty, otoczony tajemnicą zespół pozostawał bowiem również.

Nie pchała się do nich nachalnie. Wiedziała doskonale, iż jądro ciemności tkwi w pokoju przydzielonym grafikowi, niekiedy jednak konspiratorzy gromadzą się w pokoju sekretarza redakcji. Wdarcie się do pokoju grafika było niemożliwe, dostęp do sekretarza

redakcji istniał, należało tylko zna leżć odpowiednio dyplomatyczne i taktowne preteksty. Zajęta ich wyszukiwaniem postanowiła w pierwszej kolejności trzymać rękę na pulsie, w drugiej zaś konsekwentnie roztaćzać wszystkie swoje uroki, które, zdawałoby się, zaczynały już być dla fotoreportera dostrzegalne.

Kiedy zatem w godzinach popołudniowych wyszedł z gabinetu sekretarza redakcji i usiadł przy jej biurku, spojrzała na niego życzliwie i przywołała na twarz promienny uśmiech, bez żadnych niemiłych grymasów i słów. Wydawało jej się wprawdzie, że fotoreporter nie tyle wyszedł, ile został

siłą wypchnięty, potknął się i padł na krzesło, ratując się przed upadkiem, ale twardo postanowiła udawać, że niczego niezwykłego nie dostrzegła.

Najważniejsze było, że tu siedział i patrzył na nią wzrokiem pełnym uczuć.

- Marysieńko, mam kłopoty - wyznał niepewnie i czule. - Wiesz... Nie wiem, co zrobić.

- No? - odparła sekretarka zachęcająco. - Coś ci nie idzie?

- Iść, idzie... Nie narzekam. Ale widzisz, muszę kupić taką jedną rzecz. Takie, no... Nie znam się na tym, kochana, nie mogłabyś mi pomóc?

- Jaką rzecz?

- Takie te, rozumiesz, druty...

W umyśle sekretarki zarysował się najpierw przerażający obraz drutów telegraficznych, potem jeszcze gorszy, zasieków z drutu kolczastego, następnie już zupełnie okropny, zwojów miedzianego drutu do instalacji elektrycznych. Na żadnym z tych elementów nie znała się kompletnie i w sercu jej zamigotał niepokój, że ominie ją okazja zaskarżenia sobie wdzięczności uwodzonego.

- Jakie druty? - spytał nieufnie.

- Takie, wiesz... - Fotoreporter

uczynił jakiś dziwny gest palcami. -  
Takie do robienia szydełkiem

Fotoreporter grymasił jak  
przedwojenna primadonna. W końcu  
jednak druty trzy i pół, po uważnym  
obejrzeniu, zaakceptował.

- Ile tego potrzebujesz? - spytała  
sekretarka. - Dwie pary?

- Sto sztuk.

- Ile...?!

- Sto, mówię. Sto sztuk. To się  
liczy na pary? No to pięćdziesiąt par.

Podejrzenia w kwestii

antypatycznej i odrażającej baby w mgnieniu oka rozwiały się jak dym. Wyraz twarzy sekretarki wyraźnie wskazywał, iż należy złożyć jakieś dodatkowe wyjaśnienia. Fotoreporter przyjrzał się jej niepewnie i nagle popadł w krasomówczy zapał.

Sekretarka dowiedziała się zatem, że jej ukochany posiada nie tylko babcię, ale także ciocię, nader liczne, wszystkie sparaliżowane, wszystkie opętane manią robienia na drutach, na domiar złego roztargnione w niewiarygodnym stopniu, gubiące ustawicznie rozmaite rzeczy, w szczególności właśnie te druty, co gorsza, wszystkie obdarowane niedawno

gigantyczną ilością jednakowej wełny przez wujka z Australii i żeby nie było zawiści, trzeba im dać jednakowe druty...

W trakcie gadania przyszło mu na myśl, że mógł się posłużyć zwyczajnym domem starców, któremu załatwia prezenty z ramienia jakiejkolwiek instytucji charytatywnej, upłynniającej remanenty finansowe z zeszłego roku, zająknął się nawet, ale już było za późno. Babcie i ciocie opanowały świat.

Na obliczu słuchającej jego wyjaśnień ekspedientki ukazał się wyraz tak niebotycznego zdumienia, że sekretarka machnięciem ręki przerwała to przemówienie. Pojęła, iż druty muszą

mieć związek z ukrywaną przed nią tajemniczą aferą, i postanowiła zaniechać pytań, a za to własnymi siłami włączyć się w intrygującą imprezę. Dobrowolnie zrezygnowała z reszty zaplanowanego w cichości ducha wieczoru.

- Przecież widzę, że ci się ziemia pali pod nogami - powiedziała pobłażliwie. - Leć z tymi drutami, leć, na kolację mnie zaprosisz kiedy indziej. I jak ci coś jeszcze będzie potrzebne, na przykład wagon durszlaków, to pamiętaj, że ja umiem dochować sekretu.

Fotoreporter rozpromienił się

nietaktownie i już chciał ruszyć do biegu w kierunku redakcji, ale nagle zatrzymał się.

- Durszlaki, mówisz? -

podchwycił, a w oku mu błysnęło. -

Durszlaki... A wiesz, że to jest niezła myśl...

Wypożyczony od wojska helikopter, stojący w specjalnie przydzielonym hangarze, wymagał wielu skomplikowanych zabiegów. Sekretarz redakcji w swoim dzikim zapale zdołał przełamać wszystkie trudności administracyjne, biurokratyczne, personalne i finansowe. Zaangażowany

do pracy personel techniczny, cały zespół mechaników, został zobowiązany do zachowania najściślejszej tajemnicy. Nikt nie wiedział dokładnie, o co chodzi, helikopter jednakże był wojskowy, tajemnica też, na wszelki wypadek zatem istotnie ją zachowano. Z udzielanych przez sekretarza redakcji mętnych wyjaśnień wszyscy zdołali zrozumieć tylko jedno, a mianowicie, że pojazd ma zostać odmieniony zewnętrznie tak, żeby stał się zupełnie do siebie niepodobny. Przypuszczenia co do celu tej metamorfozy padały rozmaite.

- Mnie się wydaje, że oni chcą coś wyszpiegować z powietrza - powiedział

trochę niepewnie mechanik Józio, patrząc na przywiezione właśnie i zwalone w hangarze arkusze blachy aluminiowej. - A ta blacha to ma być osłona przed czymś.

- Panie Józefie, co pan? - odparł z niesmakiem stojący obok niego elektryk.

- Przecież to prasa! Już prędkiej bym powiedział, że chcą coś podpalić, bo mi kazali zrobić coś takiego, co się będzie kręciło, a na tym mam zamocować, nie zgadniesz pan, żebyś pan skonał, zimne ognie...

- Jakie zimne ognie?

- Takie te, co na choinkę.

- I one mogą co podpalić?

- A mało razy się choinki paliły?

- E tam - wtrącił się pomocnik mechanika. - Dla telewizji robią, bo przecie tłumik przerabiamy. Żeby im nie warczało. Zawsze jak z helikoptera Wyścig Pokoju nadają, to więcej słyszeć ten helikopter niż co innego.

- To po cholereę powiedzieli, że trzeba będzie te blachy z boku dodać? Boki im też warczą? Ja wam mówię, że się. tym gdzieś zakradną...

Przywiezione następnie różnych rozmiarów kawałki pleksiglasu oraz olbrzymia ilość srebrnej farby

zdezorientowały zaangażowanych pracowników do reszty. Wszyscy w napięciu oczekiwali chwili, kiedy wreszcie będą mogli przystąpić do montażu osobliwych urządzeń, licząc na to, że wówczas coś się rozjaśni.

Z montażem jednakże zwlekano, sekretarz redakcji bowiem postanowił poczekać na powrót zza granicy znajomego specjalisty od budowy pojazdów kosmicznych. Specjalista bawił właśnie w Związku Radzieckim i do jego przyjazdu brakowało zaledwie tygodnia. Sekretarz redakcji, oszołomiony wprawdzie oczekiwanym szczęściem, zachował jednak dość zdrowego rozsądku, żeby cenić radę

fachowca.

W Ośrodku Badania Opinii Publicznej sekretarka pracowni Badań Szybkich i Nietypowych coraz częściej dostrzegała u socjologa jakieś dziwne objawy. Z dnia na dzień pan Zdzisio był coraz bardziej przejęty zaplanowanym eksperymentem. Rozmyślał nad nim, zastanawiał się, wyobrażał sobie różne możliwości, oczyma duszy widział wspaniałe, wstrząsające sceny, rozpatrywał je kolejno, poczynając od zrównania z ziemią okolic Garwolina w wyniku szaleńczej paniki wszystkiego co żyje, a kończąc na ukamienowaniu przybyszów z kosmosu i rozszarpaniu ich na sztuki wraz z pojazdem. Usiłował

przewidzieć coś prawdopodobnego, zadając otoczeniu podchwytliwe pytania, dotyczące reakcji poszczególnych jednostek na nietypowe wydarzenia, i opowiadał krew w żyłach mrozące i gruntownie pozbawione sensu historie, pilnie przyglądając się przy tym twarzom słuchaczy. W większości wypadków tracił przy tej okazji wątek opowieści, co czyniło ją wysoce skomplikowaną i raczej niedorzeczną. W chwili kiedy w pokoju sekretarki z wielkim zapalem relacjonował wydarzenie z czasów młodości jego obecnej gosposi, do której przyszła z wizytą jej matka nieboszczka, przy czym wiatr wionął kasztanami, szczytowo zaniepokojona sekretarka uznała, że

chyba powinna mu przerwać.

- Panie Zdzisławie, czy pan się dobrze czuje? - spytała z troską. - Czy pan dobrze sypia? Może powinien pan więcej przebywać na świeżym powietrzu?

Socjolog urwał opowieść o przeżyciach gosposi i owych kasztanach, których sam nie rozumiał wcale, i zapatrzył się w sekretarkę, próbując przypomnieć sobie, co właściwie zamierzał powiedzieć. Uwaga o świeżym powietrzu nasunęła mu nową myśl.

- A właśnie - rzekł z ożywieniem.  
- Pani Krysiu, co by pani zrobiła? Idzie

pani przez las...

Urwał, bo przyszło mu do głowy, że powinien zastosować przykład bardziej oderwany od przyszłej rzeczywistości i osadzonego w plenerze eksperymentu.

- Nie, nie przez las. Schodzi pani ze schodów...

- Ja nie schodzę ze schodów - przerwała sekretarka z wyraźnym współczuciem w głosie. - Mieszkam na dziesiątym piętrze i zjeżdżam windą.

- Doskonale, zjeżdża pani windą. Wieczorem. Na klatce schodowej słabe światło, półmrok, i na parterze widzi

pani coś... Coś zupełnie niepodobnego do człowieka. Co by pani zrobiła?

Sekretarka patrzyła na niego w zadumie.

- Ominęłam ją - powiedziała po długiej chwili łagodnie.

- Co...?

- Ominęłam ją. Dziś rano na parterze stała drabina malarska. Zupełnie niepodobna do człowieka. Ominęłam ją.

Socjolog opanował zaskoczenie.

- Nie, to byłoby niepodobne także

do drabiny. Do niczego niepodobne.  
Wielkości mniej więcej człowieka, ale z  
pewnością nie człowiek. No?

Sekretarka pomyślała, że powinna  
się teraz zdobyć na maksimum  
cierpliwości i wyrozumiałości. Pan  
Zdzisio jest zapewne trochę  
przepracowany...

- Nieruchome? - spytała ostrożnie.

- Przeciwnie, ruchome. Ruszyłoby  
w pani kierunku. Być może, wydając  
jakieś dźwięki.

- Ma pan na myśli coś, co mogłoby  
mnie przestraszyć?

- Właśnie, coś w tym rodzaju.  
Ewentualnie zaciekawić...

- W takim razie nic bym nie  
zrobiła - powiedziała sekretarka  
stanowczo po kolejnej długiej chwili  
namysłu.

- Jak to...?

- Tak zwyczajnie. Zostałabym tam,  
przy tej windzie, i stałabym tak do końca  
świata. Nic nie mówiąc. Ja tak reaguję,  
zawsze jak mnie coś przestraszy,  
nieruchomieję i nie mogę wydobyć  
głosu. I nie ma na to siły.

Socjolog poczuł się rozczarowany.  
Obraz trwale znieruchomiałych i

oniemiałych mieszkańców Garwolina jakoś mu się nie podobał. Odwrócił się w kierunku przysłuchującej się z wielkim zainteresowaniem bardzo młodej maszynistki.

- A pani? Co by pani zrobiła?

Maszynistka wzdrygnęła się gwałtownie.

- Uciekłabym, oczywiście. Może tą windą do góry. Na wszelki wypadek. Duże, rusza się i wydaje dźwięki... O nie, żadnej ciekawości, uciekłabym stanowczo!

Wciąż niezadowolony z wyników badań, socjolog porzucił sekretariat i przystąpił do zadawania identycznych

pytań innym współpracownikom. Historię ruchomego czegoś, co wydawało dźwięki i nie było podobne do człowieka, zdołał zapamiętać i powtarzał ją bez pomyłek. Żadna z uzyskanych odpowiedzi nie usatysfakcjonowała go w pełni, za to po całej instytucji zaczęły się rozchodzić wieści, jakoby na klatce schodowej w domu pana Zdzisia panowały zupełnie wyjątkowe nieporządki. Ktoś wysunął nawet przypuszczenie, iż znajduje się tam melina mętów społecznych i być może należałoby zawiadomić milicję.

Niebotycznie zdenerwowany socjolog musiał się wreszcie pogodzić z myślą, że doświadczenie osobiste jest

niezbędne...

Grafik odwalił wielką robotę. We wczesnych godzinach wieczornych, zaraz nazajutrz po ukazaniu się numeru, kiedy w redakcji panowały pustki, w przydzielonym mu pokoju przystąpiono do próby skompletowania stroju zaziemskiego przybysza.

- Mało tych dętek - powiedział z troską sekretarz redakcji, wskazując ułożone pod ścianą dętki samochodowe.

- Nie mogłeś skombinować trochę więcej?

- Co ty sobie wyobrażasz, że one

rosną na drzewach przy drodze? -  
zdenerwował się doradca do spraw  
technicznych. - Dwie są w ogóle moje  
własne!

- Można było użebrać jakieś stare  
w warsztacie wulkanizacyjnym -  
zauważył krytycznie fotoreporter.

Sekretarz redakcji i doradca do  
spraw technicznych zgodnie  
zaprezentowali oburzenie.

- Zwariował, stare! Żeby w  
nieprzewidzianej chwili któraś puściła,  
tak?

- Przecież nie będziemy na nich  
jeździć!

- Ale muszą być porządnie nadęte!

Nie zamierzasz chyba zmieniać kształtów na ludzkich oczach?!

- A kto wie, może to byłby dowód niehumanoidalnego pochodzenia...?!

- Żadne takie! - zaprotestował z ogniem grafik. - Jak ma być tak, to ma być tak! Za dziurawe dętki nie odpowiadam, żądam uczciwej realizacji projektu! Niech to ktoś przymierzy!

Wybór modelu nastęczył nieprzewidziane trudności. Nikt nie chciał objąć tej roli, padła nawet propozycja zdobycia manekina wystawowego, z tym że o tej porze doby należałoby go ukraść, bo wszystkie

sklepy odzieżowe były już zamknięte. Propozycja upadła, nie ze względów moralnych, a wyłącznie z braku informacji, nie zdołano sobie na poczekaniu przypomnieć, gdzie takie manekiny ozdabiają wystawy. Damskie, tak, o męskich wieści nie było. Pociągnięto wreszcie zapalki i najkrótsza przypadła satyrykowi.

- Zawsze miałem psie szczęście do wszystkich losowań - narzekał z goryczą. - Jak już trzeba coś losować, to wiadomo, że na mnie padnie najgorsze. I w tego parszywego totolotka też, cholera, tak samo trafiam. Kiedyś wysyłałem ciągle jednakowe numery i miałem jedno trafne, albo dwa, a jak raz

nie wysłałem, to od razu było cztery...  
Co robisz, do cholery, przecież mi nogi  
pętasz!

- Nie mądrzyj się, tak ma być -  
powiedział stanowczo fotoreporter,  
owijając starannie nogi satyryka długim  
wężem, wykonanym z napompowanych  
dętek rowerowych. - W biegach nie  
będziesz brał udziału.

- Skąd wiesz? A jak się na nas  
rzucą?

- To zginiesz na posterunku. Jasiu,  
jak ma być tu, u góry?

Grafik, zmarszczywszy brew, jął  
porównywać owijanego w kokon

satyryka z rysunkiem na stole.

- Nie machaj tymi rękami, jak rany! - zdenerwował się. - Ręce razem z kadłubem, tylko od łokci będą wystawać! Tu mu przyłóż więcej...

- No nie, panowie - powiedział z niezadowolaniem sekretarz redakcji. - Taki wielki tyłek? To jakoś głupio...

- No to daj mu tę nierówność z drugiej strony!

- To będzie wyglądał jak w ciąży! Grafik zdenerwował się mocniej.

- To nie może być symetryczne, nic nie rozumiecie, jak cepy! Bryła musi

być asymetryczna!

- Tylko nie bryła, tylko nie bryła! -  
zaprotestował z urazą satyryk. - Ty się  
nie zapominaj!

- Dla mnie jesteś teraz bryła.  
Dobra, może być, z boku, nad łokciem...

- Zaraz, zaraz, panowie -  
powiedział doradca do spraw  
technicznych. - Tasiemki od  
naramienników muszą przejść pod  
spodem!

- Ty się bierz za te dętki - polecił  
mu sekretarz redakcji stanowczym  
tonem.

Fotoreporter odwinął kilka zwojów z modela.

Sekretarz redakcji przystąpił do przepychania pomiędzy dętkami rowerowymi długich tasiemek, przywiązanych do durszlaka. Durszlak został pozbawiony rączki, a za to przez jego dziurki poprzetykane były promieniście druty do wełny numer trzy i pół. Po wielu wysiłkach udało się go wreszcie przymocować na ramieniu satyryka.

- Genialne! - wykrzyknął zachwycony sekretarz redakcji.

Praca wrzała. Dwukrotnie zwoje dętek rowerowych wypsnęły się z rąk

fotoreportera i procedurę owijania satyryka trzeba było zaczynać na nowo. Za trzecim razem cały zespół doszedł do wniosku, iż bez przywiązania się nie obejdzie.

- Drut może to gówno przedziurawić - mówił zmartwiony grafik. - Coś, co nie jest śliskie... Najlepsze byłyby te tasiemki od durszlaka...

- Za mało tego mamy - mruknął sekretarz redakcji, oglądając z troską pół metra produktu.

- Trzeba kupić więcej. Która godzina? O rany, Cedet może jeszcze otwarty... Ty, Januszek, umizgnij się do

Marysi. Z tymi drutami załatwiłeś  
bardzo dobrze...

Miłe zdziwienie, z jakim  
sekretarka powitała telefon  
fotoreportera, przerodziło się w lekką  
rozterkę.

- Marysieńko, kochanie, tasiemki,  
pięćdziesiąt metrów - mówił czułym  
głosem fotoreporter. - Takiej nieśliskiej.  
Weź taksówkę...

- Zaraz - przerwała sekretarka. -  
Skąd? Masz na myśli, żeby kupić?

- Jasne, kupić, może Cedet...

- Od godziny zamknięty.

- O, cholera... Potrzebna jest natychmiast! Nie wiesz, gdzie by tu dostać? Może jakaś krawcowa...?

Sekretarka milczała tylko tyle czasu, ile wymagało przypomnienie sobie, co posiada w domu. Żal nie wchodził w rachubę.

- No dobrze, mam tyle. Ma to być tasiemka bawełniana?

- Nieśliska!

- Bawełniana. Mam cały motek. To co? Fotoreporter rozpromienił się tak, że prawie było to widać przez telefon.

- Cudowna jesteś! Weź taksówkę na mój koszt i zaraz przywieź! Złota moja, ty jedna na świecie potrafisz to załatwić!

Przez głowę sekretarki przeleciała straszna myśl, że następnym razem upragniony mężczyzna każe jej wykonać z owej tasiemki sweterek na uprzednio zakupionych drutach, równocześnie jednak zaświtała jej nadzieja dokonania, dzięki przybyciu do redakcji, jakichś cennych odkryć. Nie protestowała wcale, spełniła polecenie.

W pół godziny później sekretarz redakcji, grafik i doradca do spraw technicznych zajęli się tasiemką, fotoreporter zaś sekretarką.

- Nie, kochana, nie czekaj na mnie, my stąd późno wyjdziemy - mówił troskliwie. - Jedź do domu, taksówka czeka...

- Nie czeka, zapłaciłam i zwolniłam ją.

- Cholera... To jest, tego, złapiemy drugą. Odprowadzę cię. Nie możesz tak późno wracać, musisz się wyspać, ślicznie wyglądasz, jak jesteś wyspana. Lubię, jak tak ślicznie wyglądasz. Jesteś najcudowniejszą kobietą świata, ale jedź do domu!

Sekretarka uprzytomniła sobie nagle, że nigdy dotychczas nie słyszała

od niego tylu czułych słów, i doszła do wniosku, że tajemnicza impreza może się okazać wodą na jej młyn. Fotoreporter najprawdopodobniej nie miał zielonego pojęcia, jak też ona wygląda wyspana, a jak nie wyspana, ale zarysowała się przynajmniej możliwość zwrócenia mu na to uwagi. Postanowiła wyglądać nazajutrz rzeczywiście kwitnąco. Zarazem pojęła coś, co dotychczas umykało jej uwadze, a mianowicie prosty fakt, iż zakonspirowane zajęcia zespołu odbywają się późnymi wieczorami w pustej redakcji. Zastanowiła się nad tym i podjęła decyzję...

Owinięty dętkami i powiązany

tasiemkami satyryk wyglądał coraz lepiej. Durszlaki miał na obu ramionach. Na lewym biodrze sekretarz redakcji mocował mu zdjętą z rączki trzepaczkę do bicia piany. Doradca do spraw technicznych pompował dętki samochodowe, nie odrywając oczu od modela. - Kto by pomyślał, że te wszystkie narzędzia kuchenne są takie awangardowe - wysapał z podziwem.

- Ty, pomóż mi - zażądał sekretarz redakcji, oglądając się na wracającego fotoreportera. - Nie chce się to trzymać na sterczące. Spławiliś ją?

- Pojechała - odparł fotoreporter. - Wiecie, że to świetna dziewczyna, nie zadaje głupich pytań i w ogóle zgodna...

Trzepaczka została wreszcie przymocowana we właściwej pozycji. Sekretarz redakcji odstąpił w tył i przyjrzał się satyrykowi.

- Znakomicie wygląda! - ocenił z satysfakcją. - Znakomicie! Jeszcze jak przyjdzie ta bania na łeb...

- Żebyście pękli! - powiedział satyryk z całego serca.

Fotoreporter wyobraził sobie nagle swój cały przyszły serwis fotograficzny i poczuł gwałtownie rosnący zapach.

- No, to teraz to! - zawołał

niecierpliwie, wskazując napompowane już dętki samochodowe. - Jak mu to nakładamy, górą czy dołem?

- Nie wiem, trzeba spróbować.

Jasiu, co z tym ogonem?

Grafik od dłuższej już chwili siedział przy biurku, bardzo zajęty, korygując projekt.

- Właśnie nie wiem - rzekł w zadumie. - Teraz mi przychodzi do głowy... Ogon, czy może lepiej, żeby wyglądało jak trzecia noga?

Fotoreporter zostawił dętkę i zajrzał mu przez ramię.

- Bezwzględnie trzecia noga! -  
zawyrokował stanowczo. - Ogon w  
żadnym razie! Ja bym tam nawet dał  
takie małe światełko.

- Żeby błyskało, co? - ucieszył się  
grafik. Pompując trzecią kolejną dętkę  
doradca do spraw technicznych  
przypomniął sobie nagle, że już w czasie  
wstępnych rozmów elektryk okazywał  
pewne niezadowolenie i powątpiewał w  
możliwość realizacji przedstawianych  
propozycji. Zaniepokoił się nieco.

- Nie wiem, czy elektryk  
przetrzyma - powiedział niepewnie i  
otarł pot z czoła. - Grymasi, że ma same  
nietypowe instalacje.

- Co to znaczy, grymasi, zwracanie głowy! Przy dzisiejszym rozwoju techniki nie ma nietypowych instalacji!

- Pośpieszcie się, do wszystkich diabłów, nie elektryk nie przetrzyma, tylko ja! - zawarczał z gniewem satyryk.

- Co wy sobie, do cholery, wyobrażacie, jak długo mam tu jeszcze...

- Dobra, dobra, zamknij się, już przymierzamy... Wnętrze pokoju wyglądało dość oryginalnie.

Owinięty dętkami rowerowymi i przyozdobiony dur- szlakami satyryk stał na środku. W kącie piętrzył się stos napompowanych dętek samochodowych,

bo trzy większe dostarczono już gotowe do użytku w obawie, że dętkom od ciężarówki doradca do spraw technicznych osobiście nie da rady. Wokół wiły się pozwijane na kształt węza dętki rowerowe. Na biurku grafika, oprócz stosu szkiców i rysunków, leżało pięć hełmów motocyklowych, zradiofonizowanych i podwyższonych dziwną konstrukcją wykonaną z pleksiglasu i niklowanej blachy. Sprężyny niewiadomego pochodzenia, durszlaki, druty, trzepaczki do bicia piany oraz inne narzędzia kuchenne spoczywały na krzesłach i podłodze. O ścianę oparte było kilka zdekompletowanych lamp stojących, a gdzieś gdzieś poniewierały się

fragmenty zbroi rycerskiej. Cały ten sprzęt kosmonautyczny sprawiał, że w pomieszczeniu nie było gdzie się ruszyć.

Sekretarz redakcji nogą usunął zwój taśmy stalowej i pochylił się nad stosem dętek, starannie wybierając pierwszą. Fotoreporter przesunął nieco krzesło, zajęte dwoma rocznikami Perspektyw, żeby popatrzeć na lampy, średnio pasujące do wizerunku trzeciej nogi. Łypnął okiem na satyryka, znów odwrócił się ku ścianie, zmarszczył brew i otworzył usta, ale nie zdążył się odezwać.

Energiczne pukanie do drzwi, które rozległo się z nienacką, zadziało jak wybuch bomby. Absolutna pewność,

że wszystkie drzwi, poczynając od zewnętrznych na dole, są zamknięte, była tak silna, że czyjaś obecność w budynku wszystkim wydała się niepojętym kataklizmem. Ciec nie wchodził w rachubę, nie opuszczał swojej dyżurki w przedsionku, unikał bezpośredniego kontaktu ze schodami i w razie potrzeby posługiwał się telefonem wewnętrznym. Na myśl, że za chwilę niepowołany świadek wejdzie tu i odgadnie tajemnicę, cały zespół popadł w panikę.

Sekretarz redakcji wypuścił z rąk dętkę samochodową i runął na drzwi, usiłując je przytrzymać. Grafik zgarnął ze stołu rysunki, starając się zasłonić je własnym ciałem. Fotoreporter kopnął

obciążone krzesło, dopadł satyryka i gwałtownie jął wpychać go pod biurko.

- Schowaj się! Rany boskie, schowaj się! Zegnij się trochę, do cholery!

- Sam się zegnij, kretynie...!

- Niech stanie tyłem, nikt nie pozna, że to człowiek! - syczał spod drzwi sekretarz redakcji przenikliwym szeptem. - Tylko ta głowa idiotyczna, z głową coś zrobić...!

- Uciąć...?!

- Hełmy...! - jęczał dramatycznie doradca do spraw technicznych. -

# Schowajcie hełmy...!!!

Jedna ze zdekompletowanych lamp przewróciła się na stos napompowanych dętek. Z dwóch dętek ze świstem uszło powietrze. Fotreporter wyrznął hełmem w żarówkę lampy na biurku i żarówka huknęła niczym wystrzał armatni. Dwa roczniki Perspektyw luzem zsunęły się na podłogę, zrzucając z sąsiedniego stosu pudełko z bańkami lekarskimi, bańki rozsypały się, grzechocząc brzękliwie.

Stojący za drzwiami pan Zdzisio, socjolog, słuchał odgłosów z pokoju jak muzyki niebiańskiej. Rozumiał nawet ich przyczyny. Chciał zawołać, że to on, że nie ma powodów do niepokoju, ale

przejęty głęboko potrzebą konspiracji, wydawał z siebie głos cichy i niemal drżący. Zapukał ponownie.

Ulga, jakiej doznał sekretarz redakcji, ostrożnie uchylwszy drzwi, była wręcz nie do opisania. Cała sprawa miała sens wyłącznie w wypadku zachowania absolutnej tajemnicy. Nie tylko ujawnienie przygotowań, ale nawet cień podejrzenia, że cokolwiek się robi, niweczył wszystko. Wiadomo przecież było, iż lądowanie przybyszów z obcej planety obudzi przede wszystkim niedowierzanie. Niedowierzanie, poparte spostrzeżeniem, że już wcześniej w redakcji działo się coś, co wskazuje na wielki kant, wypaczyłoby

gruntownie reakcję społeczeństwa.  
Ludzie, mający dostęp do tego budynku i  
bywający w nim, to byli przedstawiciele  
prasy, a kto z przedstawicieli prasy  
trzymałby gębę zamkniętą...?  
Przyzwyczajeni byli wprowadzić do  
ukrywania informacji, nie napisaliby  
oficjalnie ani słowa, ale prywatnie bez  
żadnego trudu mogli zastąpić megafony  
uliczne.

Jak dotąd, garnki, druty i badania  
przyrodnicze doskonale mąciły obraz  
prawdziwych poczynań i nie nasuwały  
nikomu żadnych niepożądanych  
skojarzeń Dopiero teraz, w tym pokoju,  
widok nadmuchanego satyryka mógł stać  
się przyczyną nieodwracalnej klęski.

Za drzwiami jednakże stał sprzymierzeniec. Nigdy w życiu dotychczas sekretarz redakcji nie był tak bliski rzucenia się na szyję mężczyźnie. Z okrzykiem, który przypominał radosne, uszczęśliwione gruchanie, wciągnął socjologa do wnętrza.

- O, niech ja skonam...! - jęknął osłabły od wstrząsu fotoreporter.

- Dobry wieczór panom - powiedział socjolog, usiłując w pośpiechu wyjaśnić wszystko naraz. - Miałem nadzieję, że panów zastanę, chodzi mi o to, że zgłaszam swój udział, jeśli można, szalenie mi na tym zależy, jeśli można, chciałbym lądować...

- Zawału dostanę - mruknął doradca do spraw technicznych i odetchnął głęboko. - Stresy skracają życie...

- Jak pan tu wszedł? - podejrzliwie spytał grafik, wciąż jeszcze wsparty tułowiem na biurku.

- Chodzi mi, rozumieją panowie, niejako o obce społeczeństwo, widziane oczami przybysza z kosmosu - ciągnął socjolog nieprzerwanie. - Jeśli można, to chciałbym być w tej grupie, co wyląduje, twarzą w twarz, jako ta istota, jeśli można...

- Ależ można, kochany, można! - zawołał z rozczeniem sekretarz

redakcji. - Z nieba nam pan zleciał! Za mało mamy tych astronautów, bo każdy woli latać po rynku! Proszę, proszę...

- Teoretycznie niczego nie można wywnioskować - powiedział jeszcze socjolog z rozpędu i wzrok jego padł na satyryka, co sprawiło, że wreszcie zamilkł.

Grafik oderwał się od biurka i odsłonił pogniecioną nieco twórczość.

- Jak pan tu wszedł?! - wrzasnął rozpaczliwie. Wszyscy spojrzeli na niego, trochę zaskoczeni.

- Rzeczywiście - zainteresował się niepewnie sekretarz redakcji. - Jak pan

tu wszedł?

- Przez drzwi - odparł uprzejmie socjolog.

- Przez jakie drzwi?

- Proszę...? No, różne drzwi, kolejno, było kilkoro drzwi...

- Ta jołopa nie zamknęła za Marysią - powiedział ze zgrozą doradca do spraw technicznych.

Sekretarz redakcji odzyskał przytomność umysłu.

- No nie, panowie, jeśli będziemy robili takie numery, to chała wyjdzie, a

nie eksperyment! Czyś zgłupiał doszczętnie?! To nie są żarciki, każde bydlę mogło nam tu wparować...!

Skruszony i zakłopotany fotoreporter spróbował się usprawiedliwić, ale przerwał mu satyryk, ucinając zarazem różne wyrazy potępienia.

- Zostawcie go, do cholery, zamknijcie te drzwi i pośpieszcie się trochę! Ja dłużej nie wytrzymam! Modelkę sobie znaleźli, psiakrew...!

- Cicho, zamknij dziób, może zrobisz w tym zawodzie karierę...

Socjolog chłonał wzrokiem

urzekające wyposażenie wnętrza pokoju. Satyryk wydał mu się nieco szary, co stanowiło niejako sprzeczność z obrazem istot z innej planety, jaśniejących na ogół blaskiem srebrzystych metali. Chciał o to spytać, ale równocześnie chciał spytać o mnóstwo innych rzeczy, zaczynał zatem mówić różne słowa, z których żadnego nie kończył. Satyryk coraz gwałtowniej domagał się przyśpieszenia tempa przymiarki.

Sekretarz redakcji odnalazł wybraną i upuszczoną dętkę. Na szczęście nie uległa uszkodzeniu.

- Pomóżcie mi! - zażądał energicznie. Fotoreporter i grafik

porzucili stojącą lampę z przegubem, z której zaczynali konstruować trzecią nogę i wzięli udział w nakładaniu na satyryka dętki samochodowej. Najpierw spróbowano dołem. Spętany dętkami rowerowymi satyryk wlaź do środka, fotoreporter zaś usiłował przepchnąć nadętą bułę ku górze.

Wrażenie nie było najlepsze, satyryk wyglądał jak w dziwnego fasonu krynolinie.

- Mówiłem, że to ma być na górze!  
- zirytował się grafik. - Wiem, co robię, a wy nie słuchacie!

- Głupio jakoś wygląda -  
powiedział krytycznie sekretarz. - Nie,

to na nic, on ma rację. Wyłaż z tego!

- Ale jak to będzie górą, to każdy zobaczy, że dołem ma zwyczajne nogi! - zaprotestował fotoreporter.

- Do dwóch nóg ma prawo!  
Zdecydowaliśmy j się na istoty człiekopodobne, nie? A zresztą, to wcale j nie będą zwyczajne nogi!

Wlazłszy pod biurko, grafik z triumfem wyciągnął gigantycznych rozmiarów płetwy.

- O...! Masz, zakładaj to!  
Zobaczycie, jak pięknie wyjdzie!

Założenie przez satyryka płetw

własnoręcznie było najdoskonalej  
wykluczone. Imponująca była skutecznie  
ograniczała jego ruchy, już wcześniej  
spętane. Usiłował się popukać palcem w  
czoło, ale zdołał tylko pokiwać  
uwięzioną w zwojach dętek dłonią.  
Sekretarz redakcji i grafik padli przed  
nim na kolana.

- Unieś to kopyto, jak rany, nie  
przyrosłeś przecież do podłogi!

- Do parteru niedługo przyrosnę!  
Do piwnicy! Korzenie zapuszczę i  
zakwitnę! - awanturował się rozjuszony  
satyryk. - Czyście na łeb upadli, co  
robicie...?!

Ubranie go w pletwy wydawało

się niezwykle skomplikowane, ponieważ obaj usiłowali założyć mu je równocześnie. Zapatrzony w ich wysiłki socjolog zdążył chwycić w objęcia zaziemską istotę. Satyryk był w stanie furii.

Założone wreszcie płetwy wyglądały znakomicie. Dętkę samochodową nasadzono mu przez głowę i ulokowano w okolicy ramion, co zdefasonowało nieco druty w durszlakach. Grafik z fotoreporterem zaczęli przypasowywać mu z tyłu przegubową nogę lampy.

- Tu się, uważasz, zamocuje pod spodem. Nawet będzie można się na niej oprzeć, byle nie za mocno, bo ten

przegub coś luźno chodzi. Przewód w nodze, a w środku może mieć wyłącznik...

- W środku to on ma wnętrzności.

Wypatroszymy go...?

- Przecież nie w jego środku! W pasie, pod łokciem. Będzie mógł nim przytykać do upojenia...

- Tfu! - wycharczał satyryk. -

Obniżcie to, do cholery, bo mnie dławi!  
Nic nie widzę! To musi być niżej!

- Niżej nie można, popsuje naramienniki.

- Mogę wam powiedzieć, gdzie ja

mam naramienniki! Tfu! Coś mi w zębach zgrzyta! Obniżcie, mówię, do diabła, szlag mnie na was trafi, jak Boga kocham, nic nie widać...!

Nie tyle może protesty satyryka, ile zmniejszony efekt durszlaków z drutami wpłynął na korektę jego kształtów. Po naradzie zdecydowano się ulokować dętkę poniżej ramion. Należało przy tym zmienić kolejność nakładania poszczególnych fragmentów stroju, pierwszeństwo dając częściom dętym.

Kiedy wreszcie odstąpiono od ofiary, satyryk mógł zadowolić najbardziej wygórowane wymagania. Z osobliwego kształtu były, wydatnie

rozszerzonej w górnej części, wystawały w połowie kawałki jego rąk, w górze głowa, na dole zaś wielkie, klabzdrowate łapy, podobne do wszystkiego z wyjątkiem ludzkich nóg. Wystające z durszlaków i rozcapierzone druty lśniły tajemniczo, a przymocowane do lewego boku dwie trzepaczki do piany kiwały się w takt każdego ruchu. Wielkie wrażenie czyniło kilka baniek lekarskich, połyskujących za potylicą. Zostały postawione fachowo, wciągnęły w siebie gumę dętki i nie dawały się oderwać. Zgięta w przegubie noga od lampy intrygująco przyozdabiała tył. Brakowało tylko hełmu.

Socjolog mógł się wreszcie

skutecznie wtrącić. Pomimo wszystko, satyryk ciągle wydawał mu się niepokojąco szary.

- Zaraz, panowie - powiedział niepewnie. - Ale czy to już tak zostanie...?

Zmaltretowanemu satyrykowi przypuszczenie, że miałby pozostać w kosmonautycznym stroju aż do chwili eksperymentu, odebrało niemal przytomność umysłu. Wydał z siebie krótki charkot.

- No nie - odparł sekretarz redakcji. - Na razie zdejmujemy to z niego.

- A, nie. Ja miałem na myśli fakturę... To znaczy kolor... Czy panowie przewidują może jakąś wierzchnią warstwę...?

- Jasne - powiedział żywo grafik, który też w pierwszej chwili sądził, że socjolog interesuje się wytrzymałością satyryka. - Na wierzch pójdzie srebrna folia i srebrna farba. Nogi się pomaluje, a na ręce rękawice motocyklowe z mankietami, oblepionymi folią. No i hełm.

Odpoczywający po wyętej pracy na napompowanych dętkach doradca do spraw technicznych podniósł się ze siekniem, pomasował po krzyżu i sięgnął po jeden z hełmów,

leżących na biurku grafika. Leżały nadal, bo nikt nie zdążył ich schować. Satyryk milczał i nie protestował, uświadomił sobie bowiem nagle beznadziejność swojej sytuacji.

Najpierw wylosował rolę modelki i poddał się przeznaczeniu. Potem uczciwie, acz z wysiłkiem, godził się z uciążliwościami dla dobra sprawy, sam zaciekawiony, co z tego wyniknie. Uciążliwości rosły, spełniał zadanie z coraz większym trudem, furia w nim doszła do zenitu i nie mogąc iść dalej, przeistoczyła się w popłoch. Wyraźnie ujrzał, iż w stroju kosmonauty do samodzielnych działań przestał być zdolny, odzyskanie wolności zależy

wyłącznie od tych parszywców,  
rozpłomienionych zapałem kolegów,  
którym nie należy się już teraz narażać,  
bo nie daj Boże obrażą się, rozzłoszczą i  
nie zdejmą z niego zaziemskiej odzieży,  
nie ma zatem wyjścia i musi dotrzymać  
do końca. Głosu mu zabrakło, a zęby  
same zaczęły cichutko zgrzytać.

Doradca do spraw technicznych  
obszedł go dookoła, przyjrzał mu się w  
skupieniu i nasadził na głowę  
rozbudowany hełm, starannie utykając  
go w dętce rowerowej wokół szyi.  
Wszyscy patrzyli na niego w napięciu,  
oczekując efektów. Nie zawiedli się.

- Znakomicie! - wybuchnął  
zachwytem socjolog. - Wspaniale!

Świetnie wygląda! A jak się będziemy porozumiewać?

- Hełmy są zradiofonizowane - odparł dumnie doradca do spraw technicznych, bo wystrój głowy był jego dziełem. - Krótkofalówka w środku. To znaczy, użycia nadajnika nie przewidujemy. To znaczy, przewidujemy, ale w ograniczonym zakresie. To znaczy, będzie ustawiony na stałe, do siebie nawzajem. To znaczy, będzie pan słyszał wszystko dookoła, ale pana będą słyszeć tylko ci w hełmach. Z hełmu zaczęło się nagle wydobywać głucho buczenie. Niechęci do roli modelki satyryk ani przez chwilę nie ukrywał, teraz jednak przeszedł sam

siebie. Dziwne podrygi i gwałtowne machanie wystającymi z dętki dłońmi zaciekały wszystkich obecnych. Przyglądali się uważnie, a nawet z rodzajem zachłannej przyjemności.

- Co mu się stało? - zainteresował się wreszcie grafik.

- Próba gestów...? - powiedział niepewnie socjolog. - Nie wydaje mi się... No, nie wiem, czy akurat takie...

- Może go gdzieś uwiera - wysunął przypuszczenie fotoreporter. - Chce na sobie coś poprawić.

- Niech nie grymasi! - zniecierpliwił się sekretarz redakcji. -

W ogóle nie rozumiem, co on mówi.  
Mów głośniej!

Buczenie w hełmie wzmogło się, a ruchy satyryka nabrały charakteru epileptycznych konwulsji.

- Nic nie słyszeć - powiedział z niezadowoleniem doradca do spraw technicznych i zdjął mu hełm.

- Czyście zgłupieli ostatecznie?! - wycharczał zsiniały nieco satyryk, gwałtownie łapiąc oddech. - To jest hermetyczne, w tym nie ma powietrza! Już się zacząłem dusić na śmierć...!!!

- O, cholera... - zmartwił się grafik.

Problemy natury organizacyjnej zostały wprawdzie rozwiązane szczęśliwie już w pierwszej kolejności i nie spędzały snu z powiek, teraz jednak nieudana próba uduszenia satyryka dobitnie zaprezentowała istnienie nowych problemów, natury technicznej. Doradca do spraw technicznych zakłopotał się okropnie i pogrążył w zadumie. Po głębokim namyśle i bardzo długich rozważaniach postanowiono wywiercić w hełmie dziury.

- To będzie słychać głos z środka - zaniepokoił się socjolog.

- A, nie - odparł sekretarz redakcji. - Wywierci się z tyłu. Mówi się na ogół gębą do przodu.

- Zdaje się, że oddycha się również gębą do przodu - zauważył wciąż jeszcze wysoce zdegenerowany, chociaż już normalny kolorystycznie satyryk. - Chyba że zamierzacie odwrócić funkcje fizjologiczne.

- I mówić głosem, jakby nie z ust wychodzącym - podsunął zachęcająco grafik.

- Idiota - powiedział z urazą doradca cło spraw technicznych. - Przez to wasze głupie gędzenie nawet się człowiek porządnie zastanowić nie może. Zaraz...

- Ale, panowie, jeszcze coś... -

przerwał żywo socjolog, którego stosunek do przedsięwzięcia zaczął już przerastać nawet uczucia sekretarza redakcji. - Otóż mam obawy co do rąk...

Grafik spojrział na niego pytająco, a satyryk pokiwał łapami, złożonymi głównie z rękawic motocyklowych.

- O, to, to, właśnie! - podchwycił socjolog. - Rzekłbym, że sprawność kończyn budzi wątpliwości. Istoty wypracowały wysoką cywilizację. No to przecież nie tym...

- To jest opakowanie - zwrócił mu uwagę grafik. - Wewnątrz mogą mieć po dziesięć palców u każdej ręki, nawet bardzo długich, czort bierz, na pół

metra, zwiniętych w trąbkę...

- Ale tych palców nie widać!

- I chyba ich nie pokażemy...? -  
mruknął fotoreporter.

- Albo sprężyny - ciągnął grafik,  
rozpędzając się w twórczym  
natchnieniu. - Ciasno zwinięte, przytkną  
zabezpieczeniem i sprężyna wyskoczy...

- Rąbnie w oko rozmówcę...

- No więc właśnie, rozmówcę! -  
gorączkował się socjolog. -  
Przewidujemy, o ile wiem,  
porozumienie... Na bazie, jak  
zrozumiałem, matematyki, no, nie ustnie

przecież! Rysunkowo! Jak zdołamy rysować, nie dysponując ręką?!

Grafik dał spokój sprężynom, które już mu się zaczęły podobać, i zastanowił się. Obejrzał w skupieniu satyryka, pociągnął za łapę i pomacał dętki.

- Dobra - zgodził się wspaniałomyślnie. - Wysuniemy do łokcia. Mam myśl! Rura będzie potrzebna, taka do piecyka.

- W porządku, to się skombinuje - zapewnił sekretarz redakcji. - Z tym powietrzem co...?

- Można to trochę udoskonalić -

odparł z godnością doradca do spraw technicznych. - Mikrofon z przodu, kawałek z lewej, a dziury z tyłu, z prawej strony. W celu oddychania będziesz odwracał głowę w prawo, a w celu gładzenia w lewo. Jedyne problem to nie pomylić kierunków, średnio inteligentny człowiek potrafi chyba tyle zapamiętać?

- I skurcz szyi masz gwarantowany  
- zapewnił jadowicie satyryk, jedyny, który zbadał urządzenie doświadczalnie.

- Na wszelki wypadek ja bym tam dał coś jeszcze - powiedział fotoreporter. - Jakiś przewód. Wiecie, taką rurę jak od maski gazowej, pustą w środku, albo taką dla nurków. Mały

odcinek, umieścić z przodu, powietrze będzie przez nią dochodziło swoją drogą i nawet zrobi się przewiew. A głos nie wyjdzie.

Doradca do spraw technicznych nie był człowiekiem zawistnym, pochwalił pomysł i zobowiązał się dokonać korekty urządzenia. W trakcie dalszej dyskusji odkryto następny kłopot, ponieważ sposób poruszania się satyryka obudził nowe wątpliwości.

Plany imprezy przewidywały wyjście z pojazdu i ewentualny kontakt z ludnością, być może niewielki spacer po garwolińskim rynku, następnie zaś powrót do helikoptera. Stojący

nieruchomo satyryk robił doskonałe wrażenie, kiedy jednak na polecenie sekretarza redakcji usiłował uczynić kilka kroków, natychmiast przydeptał sobie klabzdrowate łapy. Spętane dętkami nogi miały bardzo ograniczoną zdolność ruchu.

- Rusz najpierw tę nogę, która jest na górze - poradził fotoreporter. - A potem tę spod spodu.

- Kiedy nie widzę, która jest na górze...

- To wyczuj! No co, do cholery, na nartach nie umiesz jeździć?

- Umiem, jałopie! A ty umiesz?

- No pewnie!

- To ja cię chcę zobaczyć, jak zjeżdżasz na tym z Kasprowego!

- A czy tobie ktoś każe zjeżdżać z Kasprowego?! Przestawiajże te kopyta jakoś po kolei...!

Osobiście zainteresowany grafik znów zgłosił gotowość dokonania drobnej korekty. Możliwość poruszania nogami okazała się przy chodzeniu jednak niezbędna. Niezależnie od zaproponowanych zmian sekretarz redakcji zawyrokował, iż kosmonauci powinni nabrać wprawę, wszyscy zatem, wyznaczeni na członków załogi, odbędą kilka przechadzek po budynku

redakcji, przybrani w kompletne stroje z hełmami włącznie. Ćwiczenia, rzecz oczywista, przeprowadzone zostaną w nocy, na początku tygodnia, kiedy nikt się tu nie pałęta. Kategoryczny protest satyryka, który stanowczo odmówił zgody na trening w hermetycznie zamkniętym nakryciu głowy, zmusił cały zespół do przesunięcia prób na odrobinę dalszy termin.

Dobrowolna deklaracja socjologa znakomicie uprościła sprawę typowania zaziemskich istot. Helikopter od wojska był sześćoosobowy, zwiększona dętkami kubatura jednostki nie pozwalała na wykorzystanie go w pełni, poprzestano zatem na pięciu istotach.

Jedną z nich musiał być pilot, drugą koniecznie chciał być socjolog. Sekretarz redakcji i fotoreporter odpadli od razu, sekretarzowi bowiem, jako reżyserowi widowiska, nie należało ograniczać swobody działania, fotoreporter zaś uparł się bezwzględnie przy zdobyciu materiału fotograficznego w tłumie na zewnątrz. Żądania jego zastały uwzględnione i w charakterze pozostałych trzech przybyszów z innej planety zgodzili się wystąpić doradca do spraw technicznych, satyryk i grafik. Udziału grafika satyryk domagał się ze szczególną gwałtownością.

- Sam wymyślił to ubranko, nie? To niech teraz w nim pochodzi...

Strój astronauty już z niego zdjęto. Doznał ulgi tak wielkiej, że dobrowolnie przyrzadził dla wszystkich kawę i dołożył do niej skromną piersiówkę, wypatrzoną nieco wcześniej w gabinecie naczelnego wśród lektur ideologicznych. Wykorzystał spostrzeżenie bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

- Panowie - wtrącił się nieśmiało socjolog, przerywając ustalanie harmonogramu poczynań. - Ale ja mam jeszcze jeden problem. Ja bym chciał, w ogóle w Ośrodku byśmy chcieli, telewizję...

- Telewizję? Co pan...?

- Telewizję. Ja rozumiem, pan będzie robił zdjęcia, ale, panowie, to za mało! To jest okazja, te rzeczy trzeba nagrać, nakręcić, utrwalić! Musi być telewizja i kronika filmowa, przecież to będą bezcenne materiały!

- Niby racja - przyznał z lekkim zakłopotaniem fotoreporter. - Ale jak do Garwolina zjadą telewizja i kronika filmowa i ustawią się na rynku, to już mowy nie ma o kamuflażu...

- A kto powiedział, że muszą stać na rynku? - spytał sekretarz redakcji w nagłym przypływie bystrości umysłu. - Od tego się zaczyna, że o niczym nie mają prawa wiedzieć, powinni się tam znaleźć przypadkiem. To można

załatwić, zwabi się ich pod byle jakim pretekstem i upchnie gdzieś blisko w lesie. Zdążą podjechać na rynek, ktoś ich podstępnie zawiadomi i trzeba tylko tak wycyrklować, żeby nadjechali zaraz po wylądowaniu, a nie, broń Boże, przed.

- Pod jakim pretekstem? -  
zainteresował się podejrzliwie satyryk.

Sekretarz redakcji popatrzył na niego z głębokim zgorszeniem.

- Stępiełeś całkiem? A kaczka to co? Mało głupot wymyślamy...?

- Zwłoki, skarb albo orgia w najbliższej szopie - ^proponował grafik.  
- Orgia najlepsza...

- Wszystko razem - skorygował sekretarz redakcji. - Sama orgia to tylko w trakcie, a nie będziemy jej przecież organizowali, nie mam akurat głowy do tego. Melina i mienie z kradzieży, można skombinować jaką ofiarę gwałtu...

- I nich tam lata między drzewami albo dookoła szopy, żeby jej nie mogli złapać - podsunął z ożywieniem satyryk, w którym już odezwała się, ogłuszona przedtem rolą modela, dusza dziennikarska. - Założmy, że była związana, ktoś ją uwolnił ledwo co...

- List do nich...

- Puknij się. Kto u nich czyta listy?! Telefonicznie albo osobiście.

Parę osób znamy, wytypujemy odpowiednich, bo większości by się nie chciało. To jeszcze trzeba rozważyć, mamy trochę czasu...

- A w ogóle to można by dodatkowo zainstalować ukryte kamery - zaproponował doradca do spraw technicznych.

- Gdzie? I dlaczego?

- Tam jest dworzec PKS.

Przeprowadza się badania sprawności komunikacji PKS i organizację pracy na dworcach.

- Niezła myśl. Ale to trzeba zrobić już teraz, od razu, a nie w przeddzień,

żeby nikomu się nie skojarzyło. Niech one tam sobie będą, w ostatniej chwili sprawdzi się tylko, czy nie nawalają... .

Wiosenny świt wstawał nad miastem, kiedy grono eksperymentatorów osiągnęło pełne porozumienie. Lista pracowników instytucji pokrewnych, radia, telewizji i filmu, których dałoby się właściwie zużytkować, została sporządzona. Pilota postanowiono poinformować o jego przyszłych dodatkowych obowiązkach ostrożnie i stopniowo, żywiąc niejaki wątpliwości w kwestii wyrażenia przezeń zgody nie tyle na nietypowy przydziewek, ile na uprzedni nocny trening w budynku redakcji. W każdym

razie najpierw należało poznać mniej więcej jego charakter. Przynęte dla telewizji i kroniki w postaci skarbo-orgio-gwałto-przestępczej imprezy sekretarz redakcji i satyryk zobowiązali się opracować starannie już w najbliższym czasie...

Specjalista od budowy pojazdów kosmicznych wrócił ze Związku Radzieckiego i w całkowitym oszołomieniu wysłuchał próśb, pytań i wyjaśnień sekretarza redakcji. Zawleczony niemal przemocą do hangaru, na widok przygotowanych materiałów maskujących wydał z siebie jakiś dziwny odgłos, nieco podobny do

jęku zgrozy, i na dość długo stracił głos  
Nic nie mówiąc, przenosił osłupiałe  
spojrzenie ze stosu pogniecionej blachy  
na elektryka, najwyraźniej w świecie  
zirytowanego do ostateczności  
wymaganiami doradcy do spraw  
technicznych.

Doradca do spraw technicznych  
miał wyrobione zdanie na temat wyglądu  
zewnątrznego pojazdu z innej planety.  
Przekonania jego ostatecznie utrwalił  
satyryk, który, po przeczytaniu całej  
dostępnej mu literatury science fiction,  
śmiało mógł uchodzić za eksperta.

- Musi być wirujący świetlisty  
krąg - upierał się w trakcie narady, jaką

odbyli wcześniej we trzech w gabinecie sekretarza redakcji. - Wszyscy są przyzwyczajeni do wirującego świetlistego kręgu. Wiadomo, że jak coś nadlatuje z kosmosu, to ma gdzieś na sobie wirujący świetlisty krąg. Nic się nie dzieje, nic nie widać, nic nie słychać, tylko ten krąg wiruje i wszystkim oko w słupek staje. Bez świetlistego wirującego kręgu to coś w ogóle się nie liczy i nikt nie uwierzy, że to z kosmosu.

- Skąd on wziął ten krąg, do diabła? - zastanawiał się półgłosem sekretarz redakcji, podczas gdy doradca do spraw technicznych w skupieniu spisywał uwagi satyryka. - Gdzie on to

znalazł...? Ty, czy to nie z Lema?

- Zewsząd. Wszędzie jest to samo.  
Albo całe wiruje, albo tylko krąg...

Doradca do spraw technicznych usiłował właśnie teraz wyjaśnić istotę zagadnienia elektrykowi, starając się przy tym nie zdradzić tajemnicy, co właściwie ma reprezentować sobą oryginalnie udekorowany helikopter.

- Panie, jak ja tu panu wkręcę żarówki choinkowe, to będzie pan miał świetlisty krąg jak cholera - powiedział elektryk, rozwścieczony żądaniem wykonania smug świetlnych. - Na końcach śmigła żarówki i jak się będzie kręciło, to będziesz pan miał swój krąg.

Byle nie zatrzymywać.

- A ono tak się może kręcić cały czas, jak on stoi?

- Móc, może, tylko ostrzegam pana, że robi cholerny wiatr.

- A jakby trochę wolniej...?

- Też robi wiatr.

Doradca do spraw technicznych przypomniał sobie nagle wielokrotnie oglądane, głównie na ekranach, widoki, kiedy to nawet głowy państw przytrzymały kapelusze i zgięte w pół uciekały spod śmigła. Myśl, że tak samo musiałyby uciekać istoty z kosmosu,

wręcz go przeraziła. Niedopuszczalne, pomijając już drobny fakt, że w żaden sposób nie zdołałyby się zgiąć.

- To nie tak wobec tego... To trzeba inaczej... Coś, co nie robi wiatru... Co nie robi wiatru?

Elektryk przyglądał mu się jakimś dziwnym wzrokiem.

- Nieruchome rzeczy nie robią wiatru - poinformował uprzejmie, czując, że sam już dostaje początków kołowacizny. Doradca do spraw technicznych gwałtownie rozmyślał.

- Ażurowe... Najpierw ten krąg zasadniczy. Zatrzymuje się, niech

będzie. Wtedy rusza drugi krąg, z drutu na przykład... Też ma żarówki, zamaskowane... W ogóle niech pan tak zrobi, żeby trochę przygasło. Wie pan, im szybciej się kręci, tym mocniej świeci, a jak wolniej, to słabiej. Jakiś opornik... To ażurowe nie będzie robiło wiatru, najwyżej powiewek... Niechby było składane... O! Rodzaj parasola, może być rozkładany ręcznie od środka, same druty, a na nich żarówki! Ale nie tylko na końcach, to na nic, za mało, niech pan tego więcej zamocuje, tak bardziej w koło, żeby wyszła prawie płaszczyzna, rozumie pan...

Elektryk bardzo wyraźnie rozumiał, że niepojętym sposobem

znalazł się nagle nie w swoim miejscu pracy, tylko w domu wariatów. Mimo woli cofnął się nieco i przylepił do rozlanego na podłodze kleju do tworzyw sztucznych. Doradca do spraw technicznych przylepił się tuż obok niego.

Siedzący na dwóch bańkach oleju silnikowego, obstawiony dookoła skrzyniami naboju do raketnic i obłożony rysunkami grafik udzielał wskazówek pracownikom kształtującym przód. Pomalowany srebrną farbą celuloid pozwalał uzyskiwać nader wyszukane efekty, co w pełni, zdaniem twórcy projektu, rekompensowało utratę przezroczystości. Ogromne wrażenie

czyniły piłki dziecięce typu lanki, ponadziwiane na sterczące promieniście szpikulce ze stali zbrojeniowej. Zarówno piłki, jak i stal zostały starannie pochromowane dla uzyskania lśniących blasków.

W atmosferze hangaru narastało napięcie, zdenerwowanie i wzruszenie, ogarniające stopniowo wszystkie zatrudnione tam osoby, z których większość nie miała najmniejszego pojęcia, co czyni i dlaczego. Odruchowo tylko zdyscyplinowani pracownicy usiłowali przyczepiać wszystko do wszystkiego z wielką mocą, co w chwilach zmiany poglądów grafika powodowało szaloną trudność.

oderwania. Na szczęście grafik skłonny był raczej coś dodawać, niż odejmować, niemniej emocje, wynikające z osiągniętych efektów, wysoce różnorodne, wręcz twardniały w powietrzu.

Dodatkowo wszyscy potykali się o pomościki, wzniesione po dwóch stronach helikoptera, żeby łatwiej było sięgać ku górze, nie wyrywając drugiej osobie spod nóg normalnego wózeczka. Nadprogramowe umeblowanie hangaru w jednym aspekcie pomocne, w drugim wywoływało pewne rozdrażnienie.

Przywleczony w sam środek tego szaleństwa specjalista od budowy pojazdów kosmicznych odzyskał

wreszcie głos, do czego walnie przyczynił się wstrząs, wywołany widokiem rysunków grafika.

- Panie, czy pan oszalał? - jęknął, chwytając się mimo woli za głowę. - Przecież to idiotyzm! Coś takiego nigdy w życiu nie mogłoby latać, nie tylko w przestrzeni kosmicznej, ale w ogóle nigdzie! Niezależnie od napędu!

- A kto panu powiedział, że to ma latać? - odparł z urazą grafik. - Ma usiąść na rynku w Garwolinie i wyglądać dziwnie.

- Dziwnie wyglądać będzie, za to mogę ręczyć...

Sekretarz redakcji odciągnął go nieco na stronę.

- Mówiłem ci, chodzi o to, żeby nasuwało skojarzenia. Pies trącał latanie... O, rozumiesz...

Z pewnym wysiłkiem wywlókł ze stosu arkusz blachy, włożył na pomościk i zaczął ją przymierzać do boku pojazdu pod różnymi kątami. Trochę mu to źle wychodziło.

- Tu, tak wypukłe. Chodź tu, przytrzymaj... Będzie wyglądało jak latający talerz!

Specjalista również włożył na pomościk i odruchowo przyszedł mu z

pomocą.

- Jak balia będzie wyglądało, a nie jak talerz! - zawołał z irytacją, wyginając blachę.

- O, właśnie, właśnie! - ucieszył się sekretarz redakcji. - Tak jak trzymasz! Tu się trochę sprasuje, żeby miało kant...

- I na czym to ma być?! Na postumencie?! Normalnie to ma płozy, które amortyzują lądowanie...!

- Toteż właśnie, musimy dać coś innego. To będzie osłaniało płozy i schowa ten kretyński dół...

Specjalista załamał się. Wydarł grafikowi z ręki ołówek i sam jął wprowadzać korektę kształtów pojazdu kosmicznego. Miał wprawdzie wrażenie, że w jego matematycznym, dotychczas zrównoważonym, umyśle panuje jakiś dziwny zamęt, ale wskazówki, jakich udzielał, okazały się bezcenne. Przybyły w godzinę później, gorąco zainteresowany tematem pilot ujrzał pandemonium w pełni rozkwitu.

- Ale nie może mieć ogona, to wykluczone! - protestował gwałtownie grafik, wymachując arkuszem brystolu. - Po ogonie każdy rozpozna! To trzeba zasłonić!

- Jeżeli przyjmujemy, że lata w

atmosferze, musi mieć ster kierunkowy!  
- pieklił się specjalista. - Pan sobie wyobraża, że co?! Kierują tym siłą woli?!

- Jako istoty, powinni! A przynajmniej robić takie wrażenie!

- I wrażenie na tym rynku usiądzie, tak...?

- Przecież nie mówię, żeby ten ogon uciąć! Zasłonić, mówię wyraźnie! Zasłonić...!!!

- Pobiją się - powiedział niespokojnie sekretarz redakcji.

- Mam myśl!!! - wrzasnął

odkrywczo doradca do spraw technicznych. - Panowie, spokój! Już wiem...!

Przywleczony w chwilę potem w kierunku ogona elektryk zsiniał na twarzy.

- I też się ma kręcić, co? - zachrypiał z furją. - Ale strzelać nie musi? Przyśnią mi się te wasze świetliste kręgi...!

- Owszem, to może być - zgodził się specjalista, nieco łagodniej. - Ostatecznie... tu ta osłona na styk, a tu można poszerzyć...

Do sekretarza redakcji przedarł

się mechanik.

- Panie szefie, pilot się awanturuje, że przez tę dekorację nic nie będzie widział!

- Nie szkodzi - odparł niecierpliwie sekretarz redakcji. - Jak wysiądzie, to sobie obejrzy...

Pilot, w którym zasłyszany z dala okrzyk o ucięciu ogona pojazdu wzbudził zimny dreszcz, zmartwiał do reszty na widok przodu. Ogon wyleciał mu z głowy, kiedy, wsiadłszy do swojej kabiny, stwierdził całkowity brak widoczności. Piekło przeniosło się od tyłu ku przodowi.

Po długich, burzliwych i gwałtownych naradach osiągnięto wreszcie pożądane rezultaty. W rozgorączkowaniu i zapale popełniono przy tym kilka niezamierzonych niedyskrecji i nie udało się uniknąć wtajemniczenia w sprawę personelu pomocniczego. Milczenie tegoż personelu stało się teraz kwestią zasadniczą.

Przybyły na samym końcu fotoreporter, zmartwiony i niespokojny, zaproponował nawet, żeby wszystkich niepotrzebnie wtajemniczonych uwięzić w hangarze i przetrzymać w zamknięciu aż do dnia eksperymentu. Gotów był sam dostarczać im pożywienia i napoju.

Doradca do spraw technicznych podsuwał myśl o nakarmieniu ich jakimś specyfikiem, powodującym chwilową amnezję, specyfik, nader prosty, dostępny był w każdym sklepie i stał na półkach w przezroczystych butelkach, objętości najczęściej pół litra, obie te propozycje jednakże upadły, napotkawszy różne przeszkody. Poprzestano zatem na odebraniu od pracowników fizycznych uroczystej przysięgi dochowania sekretu.

Wszyscy złożyli ją nie tylko chętnie, ale nawet z zapałem, z jednej strony bowiem, pojawiwszy istotę zagadnienia, doznali dużej ulgi, z drugiej zaś zafrapowało ich samo wydarzenie.

Zaspokojona ciekawość przestała niszczyć im zdrowie i nerwy, a perspektywa lądowania zaziemskich istot wydała się niezwykle ponętna. Mglista wizja konsekwencji zdradzenia tajemnicy wojskowej dokonała reszty, nikt z członków redakcji bowiem, przez zwyczajne niedopatrzenie, nie wykluczył udziału wojska. Tak jakoś wyszło, jakby doświadczenie mieli przeprowadzać komandosi i służby specjalne, a tych ostatnich szczególnie wszyscy się bali.

Na pilota informacja, w czym ma uczestniczyć, spadła jak grom z jasnego niebo. Mimo młodego wieku, miał w swoim zawodzie duże doświadczenie i latał już na różnego typu maszynach,

czymś takim jednak nie leciał nigdy. Na domiar złego okazało się, że w pilotowaniu dozna trudności dodatkowych.

- A czy ja też muszę wysiąść, proszę panów? - spytał ostrożnie. - Może ja bym został w maszynie?

- Wykluczone - powiedział stanowczo sekretarz redakcji. - Po pierwsze, ktoś mógłby pana zobaczyć, przez jaką lornetkę, albo co, więc też musiałby pan wyglądać jak nieczłowiek, po drugie tych gości ma być pięć sztuk, a nie cztery, a po trzecie, tak się w ogóle nie zdarza, zawsze nadlatują i wysiadają wszyscy. Pan musi też.

Pilot otworzył usta, żeby zaprotestować, nie słyszał bowiem dotychczas o ani jednym wypadku wysiadania z jakiegokolwiek pojazdu istot z innej planety. Jeśli już pojawiały się jakieś, to bez zaplecza, wehikuł wypuszczał je z siebie i oddalał się w przestworza, z czego wyraźnie wynikało, że w środku musiał ktoś być. Wysiadanie wszystkich nie stanowiło jeszcze reguły. Nie odezwał się jednakże ani słowem, bo nagle uczuł, że budzi się w nim paląca chęć udziału w doświadczeniu, które musiało przecież wywołać jakieś efekty! W gruncie rzeczy lubił ryzykowne eksperymenty i nietypowe urozmaicenia, a lądowanie istot z innej planety to było coś bez

precedensu. Ciekawość wzięła górę i zaczął w nim narastać zapal. Poniechał wszelkiego oporu i zgodził się przybyć na trening do redakcji nazajutrz wieczorem.

- Ale ja tym pudłem będę musiał zrobić próbny lot - zastrzegł się. - Diabli wiedzą, jak to się będzie zachowywać w powietrzu. Nie mogę brać ludzi na ślepo.

Uwzględniono jego żądanie i od razu ustalono, że próbny lot odbędzie się w nocy, natychmiast po przerobieniu helikoptera na pojazd kosmiczny. Pilot polata sobie nad lotniskiem na Bemowie, skąd instytucja wojskowa potrafi usunąć niepożądanych

świadków.

Przy okazji omówiono szczegóły przetransportowania go do garwolińskich lasów.

- Jasne, że powinien tam przelecieć w całości! - zawołał stanowczo doradca do spraw technicznych. - Zamontować to wszystko w lesie...? O nie, wykluczone, w żaden sposób!

- Przecież go zobaczą po drodze...!

- Nic podobnego. Przeleci w nocy z wygaszonymi światłami. Na polance zapalimy ognisko, żeby mógł wylądować.

- I przyjedzie straż pożarna, jak się zacznie las palić! A już na pewno służba leśna z wielkim pyskiem!

Pilot już się przestawił i był gotów na wszystko.

- Ognisko to może nie - wtrącił się - ale reflektorki panowie mogą mieć. Skombinuje się ze trzy szperacze, podłączy do akumulatora samochodowego i panowie mi poświecą. Do Garwolina przeskoczyć, nic takiego...

Zdecydowana dopaść fotoreportera na drodze wykrycia

tajemnicy, sekretarka cały wieczór spędziła w pustej redakcji. Żywego ducha nie zobaczyła, nie zjawił się żaden z konspiratorów, do zamkniętego pokoju grafika nie udało jej się włamać, bo nie przewidując takiej potrzeby, zaniedbała zaopatrzenia się w stosowne przyrządy, i późną nocą wróciła do domu, zdenerwowana, zdezorientowana i ogólnie wściekła. Rzecz oczywista, nie mogła wiedzieć, iż te akurat godziny zespół spędził w hangarze na Bemowie, bez reszty zajęty pojazdem kosmicznym. Jednakże postanowiła nie rezygnować. Intuicja mówiła jej wyraźnie, iż fotoreporter dostrzega już w niej, zupełnie niezły zestaw zalet. Ukazanie mu chociażby jednej więcej może

sprawić, że wreszcie się złamie. Może stać się tą ostatnią kroplą. W głębi duszy podejrzewała wprawdzie, kropel potrzebny będzie cały garnek, orientowała się, że poprzednie doświadczenia małżeńskie miały swój ciężar i utrwaliły w fotoreporterze ogromną awersję do tej instytucji, ale nie czuła się tym zniechęcona. Źle trafił za pierwszym razem, wielkie rzeczy! Teraz niewątpliwie trafiłby lepiej, ale i to nie było takie strasznie ważne. Wcale nie postanawiała, iż stworzy mu raj na ziemi, chciała po prostu raz w życiu wreszcie być zamężna, ponależeć trochę do prawie Gregory Pecka, poegzystować przy jego boku, a resztę niech diabli wezmą. Z tego, że jest

porządnie zakochana, nie zdawała sobie w pełni sprawy.

Była za to pewna, iż przytrafia się jej okazja wyjątkowa. Dzieje się coś, czym cały zespół jest szaleńczo przejęty i co utrzymuje w absolutnej tajemnicy. Sytuacja stwarza jej możliwość zaprezentowania jednej potężnej, wręcz decydującej zalety! Tą zaletą decydującą miała stać się jej niezłomna lojalność, a na ujawnienie tej cechy widziała tylko jeden sposób: posiąść sekret i nie zdradzić go!

Być może jej natrętnie wdzieranie się w męskie sprawy dałoby rezultat odwrotny od upragnionego, ale w zaplanowaną akcję wkroczył głupi

przypadek. Zamierzała wrócić do redakcji późnym popołudniem, zacząć się, wysłedzić przychodzących, podsłuchać... Przypadek skorygował te plany.

Następnego dnia około godziny siedemnastej do jej drzwi zadzwoniła sąsiadka z tego samego piętra.

- Proszę pani, na wszystko panią błagam, niech mi pani przypilnuje mieszkania! - krzyknęła rozzwierając.

Sekretarka nie zrozumiała w pierwszej chwili, co to znaczy, ale natychmiast uzyskała wyjaśnienie. Mąż sąsiadki przez pomyłkę zabrał do kieszeni oba komplety kluczy do

mieszkania i udał się do pracy na drugą zmianę. Zamknięcie drzwi od zewnątrz było niemożliwe, a opuszczenie domu pozostawionego otworem mogłoby okazać się pewną lekkomyślnością.

- A ja muszę wyjść - powiedziała sąsiadka ze łzami w oczach. - Dziecko odebrać z przedszkola, tam do piątej czynne, już jestem spóźniona, ale po całym domu tych kluczy szukałam.. Nie mam telefonu, a i telefon na nic, bo ten baran jeździ, jest kierowcą w PKS-ie, i już pojechał na trasę. Polecę po dziecko i zaraz wrócę, proszę pani, niech mnie pani ratuje!

Pomyślawszy, że jeszcze ma trochę czasu, sekretarka wyraziła zgodę.

Zamknęła własne drzwi i ulokowała się w mieszkaniu sąsiadki.

Nieszczęsna matka czekającego w przedszkolu dziecka popędziła po swoją pociechę. Zastała drzwi przedszkola zamknięte na głucho. Nad zamkiem wisiała przypięta pineskami kartka.

Czekałam do ostatniej chwili, ale muszą wyjść, bo ma przyjść hydraulik, a mój mąż jest akurat w delegacji, więc zabrałam pani synka ze sobą.

Przedszkolanka.

Niżej podany był adres. Ulica Erazma Ciołka znajdowała się na Kole. Usiłująca odzyskać potomka matka stwierdziła, że w pośpiechu i

zdenerwowaniu nie wzięła pieniędzy, nie może zatem jechać taksówką. Zdenerwowała się jeszcze bardziej i nie przyszło jej do głowy, iż mogłaby taksówkę zatrzymać, dojechać nią do domu i zapłacić hurtem, wymusiwszy usługę na kierowcy. Na domiar złego posiadane przez nią bilety ważne były tylko na tramwaje, a i to ilość ich zaledwie wystarczała. Zanim dotarła na Koło, zanim omówiła z przedszkolanką pechową sytuację, zanim wróciła do domu, minęły przeszło trzy godziny.

O wpół do dziewiątej sekretarka, która już od trzech kwadransów miotła się po mieszkaniu sąsiadki niczym tygrysica w klatce, została zwolniona z

posterunku. Nie słuchając podziękowań, popędziła do siebie.

Piętnaście po dziewiątej, posłużwszy się wypożyczonym już wcześniej od sprzątaczkki kluczem od drzwi zewnętrznych, z zapartym tchem i na palcach weszła do budynku redakcji.

W budynku panowała cisza. Nie zapalając światła i nie czyniąc najmniejszego hałasu, sekretarka weszła na piętro. Przez okno wpadało światło ulicznych latarni, rozjaśniając nieco fragmenty wnętrza, i przy tym nikłym blasku zaczęła szukać w torebce zabranych z domu rozmaitych narzędzi, które zamierzała wykorzystać jako wytrych. Wczoraj redakcja świeciła

pustkami, gdyby i dziś panowały takie same pustki, postanowiła włamać się do pokoju grafika.

W pokoju grafika zespół kosmonautów od dłuższej już chwili wypoczywał po trudach niezwykle uciążliwej gimnastyki. Pięć zaziemskich istot spoczywało na krzesłach w nader dziwnych i niezbyt wygodnych pozycjach, trzecia noga bowiem absolutnie nie pozwalała siedzieć normalnie. W trakcie treningu stwierdzono istnienie następnej przeszkody, która rzuciła cień troski na wszystkie twarze i umysły. Pokonanie jej wydawało się wręcz niemożliwe.

- Jeszcze miałem tyle rozumu, że nie zszedłem więcej niż jeden stopień - powiedział satyryk ponuro. - Gdybym zszedł dwa, to już musielibyście mnie wnosić na górę.

- Zupełnie się nie nadaje? - spytał przygnębiony sekretarz redakcji. - Może jakoś bokiem...?

- Żadną stroną - odparł pilot ze smutkiem. - Ja też próbowałem. Nogi spętane, a te łapy zaczepiają...

- Zejść można, ale wejść wykluczone - dodał z westchnieniem grafik.

- Z tego by wynikało, że oni nie

mają u siebie żadnych schodów -  
zauważył w zadumie doradca do spraw  
technicznych.

- Kto?

- Ci z kosmosu...

Na krótki moment wszyscy poczuli się doszczętnie skołowani. Rola istot z innej planety rzuciła im się na mózg, przez chwilę nie byli pewni, kim właściwie są, wymyślone przez grafika kształty i stroje stały się rzeczywistością. Tępo wpatrywali się w doradcę do spraw technicznych, który wypowiedział jakby zakłęcie.

Pierwszy oprzytomniał

fotoreporter.

- Tyś zgłupiał do reszty - rzekł ze zgorzeniem. - Cholera ich wie, czy mają schody, ale coś tu trzeba wykombinować...

- Wszystkiego zmieniać nie będziemy - powiedział stanowczo sekretarz redakcji. - Myślmy, panowie. Podobno każdy człowiek ma szare komórki...

Cały zespół, otrząsnąwszy z siebie zły urok, posłusznie pogрузił się w posepnych rozmyślaniach. Okazało się właśnie, iż można będzie opuścić helikopter po stalowej drabince, wrócić doń natomiast tą samą drogą nie uda się

w żaden sposób. Szerokie, sztywne płetwy utrudniałyby wchodzenie w górę nawet przy pełnej swobodzie poruszania nogami, w zwojach dętek uniemożliwiały to całkowicie.

- Może tyłem...? - zaproponował niepewnie fotoreporter.

Sekretarz redakcji potrząsnął głową.

- Nie można. Głupio będzie wyglądało. Przybysze z innego świata i włożą tyłem...

- A w ogóle czym się przytrzymasz? - dodał satyryk. - Tym ogonem?

- To nie ogon, to trzecia noga - sprostował zgnębiony grafik. - Sam nie wiesz, co masz...

- Można by uznać, że wchodzą tyłem, żeby się nie odwracać tyłem w obawie podstępного ataku - podsunął fotoreporter bez przekonania.

- A jeżeli nawiążemy ewidentnie przyjacielskie kontakty...? - zaprotestował socjolog.

- Zamierzasz im wytłumaczyć, że się odwracasz tyłem, żeby nie wchodzić tyłem, to jest, chciałem powiedzieć, odwrotnie? - spytał równocześnie doradca do spraw technicznych.

- Skończcie z tym tyłem! - zażądał gniewnie sekretarz redakcji. - Trzeba coś wykombinować, nie będziemy się potykać o takie mysie łajno! Czy do tego pudła nie można wchodzić jakoś inaczej?

- Można jeszcze wskakiwać z rozbiegu - poinformował pilot.

- A nie dałoby się tego trochę obniżyć?

- Czego obniżyć? - spytał satyryk jadowicie. - Helikopter przykleknie? Co ty uważasz, że to jest wytresowany wielbłąd?

- Nie jest dobrze - zaopiniował

głęboko zmartwiony doradca do spraw technicznych. - Nie jest dobrze... Słuchaj no, z tego, co tam czytałeś... to jak oni wsiadają z powrotem? Może by skorzystać z gotowych wzorów...?

- Przeważnie wchodzą właśnie po drabinkach, Pod tym względem autorzy są mało pomysłowi. Ewentualnie unoszą się na zasadzie odrzutu...

- Własnego? - zainteresował się grafik.

- Idiota. Ewentualnie są wsysani. Ewentualnie odpychani, czy może przyciągani, na nie wyjaśnionej bliżej zasadzie grawitacji...

- Zdaje się, że mówisz jakieś kretyństwo? - przerwał ostrożnie doradca do spraw technicznych.

- Ja nie mówię, ja cytuję. Sam chciałeś. Ewentualnie platforma unosi się ku górze razem z nimi. Ewentualnie...

- Czekał no, czekał! - przerwał gorączkowo sekretarz redakcji. - Platforma, mówisz? Platforma...

- ...mają pomosty, bardzo chwiejne, które gibają się na wszystkie strony, z reguły nad przepaścią - kontynuował satyryk z rozpędu. - Ale to tylko w demoludach...

- Zaraz - powiedział fotoreporter.

- W ogóle: drabinka sama w sobie niedobrze wygląda. Prymityw. Platforma...?

Sekretarz redakcji popadł w natchnienie.

- Wiem! Platforma! To znaczy, może nie platforma, ale unosi się ku górze, bez przebierania; nogami! Jasne, zrobimy automatyczny podnośnik!

Pilot popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Co pan ma na myśli? Ja już i tak biorę dwa dodatkowe akumulatory do tych iskrzeń wszędzie. Więcej prądu nie da rady...

Sekretarz redakcji zamachał żywo rękami, jakby opędzając się od takiego świństwa jak elektryczność.

- Jaki prąd, na diabła nam prąd!  
Potrzebny jeden silny facet z korbką!  
Drabina będzie się nawijać na wałek...

Prostota rozwiązania wielkim głosem przemówiła do wszystkich, w mgnieniu oka padły uzupełnienia twórczej propozycji. Pięć osób w sześćoosobowym helikopterze, które miały się mieścić wygodnie, pozwalało wygospodarować jeszcze odrobinę miejsca dla osoby szóstej, z wygody zaś zrezygnowano bez namysłu i bez żalu. Szóstą osobą musiał być zwyczajny kulturysta. Drobną modyfikacją drabinki

umożliwiła nawinięcie jej na cokolwiek. Poszerzony najniższy stopień miał służyć jako imitacja platformy.

- Nawet nie trzeba będzie tego przykręcać do podłogi - powiedział rozpromieniony pilot. - Wystarczy, jak się oprze o drzwiczki. One są dosyć wąskie i raczej solidne.

- Wyjście i wejście tak samo, na bazie windy - ucieszył się doradca do spraw technicznych. - Pośrednie szczeble się wyjmie i od razu to będzie do niczego niepodobne.

Natychmiast i z wielkim zapałem rozpatrzono kandydaturę właściwego osobnika, typując go spośród znajomych

sportowców. Musiał być nie tylko silny, ale także mało gadatliwy. W miarę możliwości uczynny. Wybrano wreszcie jednego i sekretarz redakcji zobowiązał się załatwić z nim sprawę zaraz jutro, wywołując ogólną ulgę i radość.

Po czym pilot wprowadził dysonans.

- Zaraz, panowie, ale była mowa, że wysiadamy wszyscy, żeby nikt nie został w środku. To jak z tym osiłkiem? Wskoczy na końcu i wskoczy pierwszy? Czy jednak zostanie...?

Sekretarz redakcji był naturą elastyczną i potrafił zmieniać poglądy. Podejmował decyzję w ciągu dwóch

sekund.

- Trudno, zostanie. Z tym że nie będziemy ryzykować, ktoś go rzeczywiście może zobaczyć, musi też być niepodobny do człowieka...

- W tym ubranku korbką będzie mu się źle kręciło - zauważył ostrzegawczo satyryk. - Istoty zlecą na mordę...

- A kto mówi o kompletnym ubranku?! Twarz! Mogą dojrzeć tylko twarz! I ta twarz musi być nieludzka!

- Kazać mu siedzieć do góry nogami - zaproponował satyryk. - Jako twarz, wyjdzie dosyć obco...

- Maska - powiedział  
równocześnie fotoreporter. - Żeby  
przykryła i głowę.

- Hełm...? - spytał nieśmiało  
socjolog.

- Niezły byłby. Ale więcej nie  
mamy...

Hełmów posiadano tylko pięć,  
szóstego brakowało, nabycie go zaś  
przedstawiało trudności nie do  
przewyciężenia, ponadto zastępca  
głównego księgowego w Ośrodku  
Badania Opinii Publicznej zaczynał  
kręcić nosem na wydatki. Automatyczny  
podnośnik musiał zostać przystrojony  
jakoś inaczej.

- Cholera, wiecie, człowiek to robił w młodszy wieku - rzekł z lekkim zakłopotaniem fotoreporter. - Zdaje się, że u mojej ciotki w piwnicy do tej pory leży dynia. Konkursowa...

- Co to znaczy, konkursowa? - przerwał nieufnie sekretarz redakcji.

- Był jakiś konkurs działkowiczów, czy coś takiego, i jeden gość wyhodował dynię, która wzięła pierwsze miejsce. Miała chyba z metr średnicy.

- I skąd ta dynia u twojej ciotki?

- Jakieś gnoje mu ją rąbnęły. Dla draki, no, wiecie, zrobili dziury na oczy,

gębę i tak dalej, nasadzili na łeb i straszili ludzi. No więc im odebrałem...

- Niech ja się w pawia przemienię, jeśli nie zamierzał postraszyć ciotki! - rzekł stanowczo satyryk.

- Co chciałem, to chciałem! - obruszył się fotoreporter, którego chęci straszenia szły znacznie dalej i nie zamierzał się z nich zwierzać. - Ważne, że w końcu zostawiłem ją w tej piwnicy.

- I ona tam jeszcze jest?

- Jest, niedawno ją widziałem. Ciotka w piwnicy nie bywa. Wyszła dokładnie, lekka...

- Rozumiem, że dynia, nie ciotka?

- upewnił się doradca do spraw technicznych.

- Dynia. Ma dziury, oddychać w niej można, tylko tego... gabaryty. Mam na myśli, że wszerek za duża, trzeba by ją trochę przerobić, żeby mu nasadzić na łeb pionowo, a nie poziomo. Chyba nawet jeszcze dziwniej.

- To w czym problem?

- W dziurach. Wyszła na blachę i trudno wiercić. A coś na oczy będzie chyba potrzebne?

- No owszem. Lepiej, żeby coś widział, nie zdejmując jej z głowy...

- Co wy mi tu za brednie  
pieprzycie! - zdenerwował się doradca  
do spraw technicznych. - Wiercić w  
dyni, rzeczywiście...! Szkło się wierci,  
nie tylko blachę!

- Potrafisz?

- A żebyś wiedział, że potrafię!  
Ty, Janusz, dawaj tę dynię zaraz jutro!  
Przymierzmy i sprawdzimy, jak  
najlepiej. W razie czego jeszcze się ją  
czymś z wierzchu przyozdobi!

- I do ludzkiej mordy nie będzie  
podobna? - spytał sekretarz redakcji.

- Zgłupiałeś? Prędzej wręcz  
odwrotnie!

- No to mamy! Chłopak zostanie w środku, pysk wystawi i niech się gapią, rączki schowa...

Uszczęśliwione ostatecznym rozwiązaniem problemu grono astronautów postanowiło jeszcze trochę poćwiczyć. Sekretarz redakcji i fotoreporter umocowali im na głowach hełmy, już udoskonalone, zaopatrzone w niezbędną wentylację. Z tyłu wywiercono w nich otwory niewidoczne między bańkami, a z przodu umocowano dość długą rurę odpowiedniej średnicy.

- Wiecie, ja chyba zrobię parę zdjęć - zapalił się nagle fotoreporter. - Nie wiadomo, jak to będzie potem z tym dementi, wyglądacie jak prawdziwi!

Lepiej mieć dowód czarno na białym, że pochodzicie z tej redakcji...

- Tylko światła nie zapalajcie, żeby kto z ulicy nie zobaczył - ostrzegł grafik.

- Będę robił w kierunku okna, jakby nawet kto patrzył, to go fleszt oślepi...

- Krzysiu, popraw mi tę tylną nogę - poprosił satyryk - bo jakieś mam złe wrażenie w odwłoku...

Sekretarka wygrzebała z torebki wszystkie klucze, wytrychy i zakrzywione druty, wykorzystując w tym celu światło, wpadające przez okna holu

dla interesantów. Wciąż nie słyszała żadnych dźwięków. Na palcach, tłumiąc oddech, przeszła ostrożnie najpierw na korytarz, a potem do pomieszczenia, za którym, w amfiladzie, znajdował się pokój grafika, od strony korytarza niedostępny. Wówczas dopiero dotarły do niej jakieś odgłosy.

Emocja omal jej nie zadławiła. Zatrzymała się. Latarnie z zewnątrz oświetlały pokój plamami, w dodatku tylko w górnej części, dołem panowała ciemność. Sekretarka cofnęła się aż do kąta, wymacała za sobą kosz na śmieci i przysiadła na nim nieco chwiejnie, kryjąc się w doskonałej czerni. Z daleka widziała świecącą dziurkę od klucza w

drzwiach pokoju grafika i wpatrywała się w nią hipnotycznie, bez tchu, aż dziurka nagle zgasła. W ciemnościach, przy owych drzwiach, pojawił się jakiś ruch.

Doradca do spraw technicznych wyszedł na trening jako pierwszy i szczególnym trafem przebrnął przez trzy czwarte pokoju, omijając plamy światła. Kierował się ku wyjściu na korytarz. Za nim wyszedł pilot, za pilotem zaś fotoreporter, który od razu przysunął się do ściany. Mając zaziemską postać na tle okna, uniósł ku górze aparat fotograficzny.

Sekretarce wzrok się przyzwyczaił i widziała już mnóstwo. W jej kierunku

przesuwało się coś wielkiego, ciemnego, szurającego i klepiącego dziwnie i po podłodze. Zamarła na koszu do śmieci, zabrakło jej głosu i tchu i, sparaliżowana przerażeniem, patrzyła, jak za tym jednym czymś pojawia się w ciemnościach drugie coś, jakby podobne. Nieludzkie...

W tym momencie fotoreporter błysnął fleszem.

W oślepiającym blasku sekretarka wyraźnie ujrzała koszmarne monstrum, najeżone sterczącymi; kolcami, lśniące, ze straszliwym, baniastym łbem, z którego zwisał długi, gruby ryj. Równocześnie doradca do spraw

technicznych ujrzał przykucniętą w kącie sekretarkę, której widok przeraził go do szaleństwa. Usiłował rzucić się do ucieczki, żeby czym prędzej zniknąć jej z oczu, ale przydeptał sobie jedną łapę, przy czym wolna okazała się nie ta, którą chciał się posłużyć...

Przeraźliwy, krew w żyłach mrozący krzyk śmiertelnej paniki wstrząsnął budynkiem w posadach. Sekretarka odzyskała głos i zdolność ruchu. Usiłowała zerwać się i uciec z okropnego miejsca, ale już było za późno.

Coś miękkiego, elastycznego, szeleszczącego i straszliwie śmierdzącego gumą runęło na nią,

przewracając ją wraz z koszem i przygniatając jej twarz. W nieopanowanym odruchu rozpaczliwej obrony ugryzła to coś z całej siły. Spod jej zębów natychmiast jął się wydobywać niesamowity, przenikliwy, niemal ogłuszający świst. Wówczas zemdląca.

Ratowaniem ofiary mogli się zająć wyłącznie sekretarz redakcji i fotoreporter, reszta spłoszonych zaziemskich istot ukryła się u grafika. Doradca do spraw technicznych był nieco zdemolowany. Warstwa ochronna uratowała go wprawdzie i nie odniósł obrażeń fizycznych, ale przegryziona przez sekretarkę dętka samochodowa

straciła fason, a druty z jednego durszlaka wygięły się obrzydliwie. Niepokoił się, czy zdoła znaleźć jakiś warsztat, który zgodzi się na wulkanizację, była to bowiem dętka tak stara, że wszelka myśl o jej naprawie budziła protest w fachowcach. Więcej dętek jednakże nie było, a zakup nowych w ogóle nie wchodził w rachubę. Dynamiczny rozwój kraju i ustroju dętek w sobie nie przewidywał.

Zdenerwowanie zamkniętych w pokoju grafika astronautów zwiększało fakt, że bez pomocy z zewnątrz w żaden sposób nie mogli się pozbyć międzyplanetarnej odzieży. Jedyne szczególnie garderoby, jaki udało im się

zdząć z siebie wzajemnie, to rękawice. Siedzieć mogli, ale bardzo niewygodnie. Nic natomiast nie stało na przeszkodzie w poinformowaniu doradcy do spraw technicznych, co myślą o nim i o jego zręcznej ucieczce, bo łączność w hełmach działała doskonale.

W sąsiednim pomieszczeniu, zapaliwszy światło, sekretarz redakcji szarpał za klapy fotoreportera.

- Co ci do łba strzeliło, żeby go akurat oświetlać! Rany boskie! Ta dziewczyna już wszystko wie!!! Rób teraz, co chcesz, uduś ją, ożeń się z nią, zamknij ją w piwnicy, zrób z nią coś...!!!

- Najpierw ją trzeba ocucić, bo

jakby miało przyjechać pogotowie, to może być niedobrze.

- Już jest niedobrze! Już jest krewa! Leżymy jak tłuste wieprze! Przynieś wody! Czekaaj, ja tu mam gdzieś resztkę winiaku...!

Pod wpływem urozmaiconych zabiegów sekretarka zaczęła oddychać. Powieki jej drgnęły. Sekretarz redakcji kategorycznie zażądał od fotoreportera wywarcia na nią wpływu w dowolnej formie, byle tylko zachować sekret.

- No dobrze, ale dlaczego ja? - spytał otumaniony fotoreporter bezradnie.

- Bo my wszyscy jesteśmy żonaci -  
odparł sekretarz redakcji tyleż bez  
sensu, co rozsądnie.

Kiedy pierwsza ofiara  
eksperymentu otworzyła oczy, ujrzała  
nad sobą zatroskaną twarz mężczyzny,  
dla którego naraziła się na tak straszne  
wstrząsy. Niewiele myśląc, chwyciła go  
kurczowo za klapy marynarki i  
rozplakała się rzewnymi łzami.

Fotoreporter najpierw mimo woli  
pomyślał, że w końcu ktoś mu te klapy  
oderwie, potem zaś przystąpił do  
uspokajania i pocieszania. Szlochająca  
mu na łonie ładna, młoda, atrakcyjna  
kobieta obudziła w jego sercu cieplejsze  
uczucia. Poczł w sobie dziwną

tkliwość i zdecydowaną chęć otoczenia jej opieką, całą winę za wydarzenie przerzucając na doradcę do spraw technicznych.

Po cholere się przewracał akurat na nią? - pomyślał niechętnie. Nie mógł do tyłu...?

W objęciach ukochanego sekretarka dość szybko przyszła do siebie i przypomniała sobie, że miała prezentować swoje zalety. Mężnie opanowała wewnętrzne drżenie i wytarła nos w jego chustkę.

- Co to było...? - spytała zdławionym głosem. - O Boże... Rzuciło się na mnie...

Fotoreporter z kolei przypomniał sobie nagle, że wyraźnie słyszał świst uchodzącego powietrza. Znał stan tej dętki.

- Czyś ty to może ugryzła? - spytał z niepokojem.

- Nie wiem. To się na mnie rzuciło. Tam był jakiś potwór. Co to było, Boże...?

Przez głowę fotoreportera w mgnieniu oka przeleciał huragan pomysłów. Nie miał pojęcia, co zrobić. Wyznać jej prawdę czy też raczej próbować wmówić w nią jakieś halucynacje. Halucynacje mogłyby sprawić, że komuś by się z nich

zwierzyła, lekarzowi albo, nie daj Boże, przyjaciółce... Z dwojga złego, lepiej chyba powiedzieć prawdę i zażądać milczenia, w końcu należy przecież do zespołu tej redakcji... Równocześnie uświadomił sobie, że nie kto inny, a on sam musi rozstrzygnąć tę kwestię tylko dlatego, że jest nieżonaty. Tamtym dobrze, żony im służą za wymówkę.... Najlepiej będzie, jeśli i on też się ożeni, na przyszłość będzie miał takie rzeczy z głowy...

- Co to było...?! - jęknęła sekretarka rozpaczliwie.

Fotoreporter podjął decyzję.

- Tadeusz - odparł ponuro. -

Potknął się, jak idiota, i przewrócił na ciebie.

Sekretarce na chwilę znów odebrało głos. Doradcę do spraw technicznych znała doskonale, jego osobliwa metamorfoza nie mieściła się jej w głowie. Fotoreporter westchnął. Podniósł ją z podłogi i posadził na krześle.

- Uważam, że powinnaś wyjść za mnie za mąż - oznajmił z determinacją. - Zaczekaj tu chwilę, muszę się ich zapytać...

Realizując swoje plany, sekretarka mogła się spodziewać wielu rzeczy, ale to już przekraczało wszystko. Najpierw

rzuca się na nią w ciemnościach doradca do spraw technicznych, nie wiadomo dlaczego w postaci potwora, potem tak oporny dotychczas fotoreporter oświadcza się jej zniechęca i bez żadnego nacisku, następnie zaś okazuje się, że musi pytać o zgodę na mariaż jakichś ludzi, być może kolegów redakcyjnych, a być może kogoś zupełnie innego, kto wygląda jeszcze gorzej i nie wiadomo, czym właściwie jest... Odetchnęła głęboko, wyjęła puderniczkę i zaczęła poprawiać twarz.

W pokoju grafika sekretarz redakcji kończył rozbierać zdenerwowane istoty. Przybycie fotoreportera przerwało omawianie

nowego problemu, który wyłonił się w obliczu katastrofy.

- Trudno, ożenię się z nią - powiedział zdecydowanie i stanowczo fotoreporter. - Dosyć tego. Nie było co szklić, powiedziałem, że to ta niedojda tak się na nią zwała. Co teraz? Przeprowadzić ją tutaj, czy jak?

- Jak już tyle wie, to lepiej wtajemniczyć ją do reszty - odparł sekretarz redakcji po krótkim wahaniu, a reszta zespołu kiwnęła głowami. - Twoja sprawa, żeby trzymała język za zębami. I w ogóle wracaj tu zaraz, bo mamy nowe zmartwienie.

Sekretarka pod wpływem pudru,

szminki i ołówek do oczu w ciągu kilkunastu sekund przyszła do siebie. Oceniała sytuację. Cokolwiek się tu działo, oświadczyły były najważniejsze i należało już teraz tylko pilnować, żeby fotoreporter przypadkiem się z nich nie wyplątał. Najlepiej chyba rozgłosić... W jej sercu miejsce paniki zajęła rosnąca błogość i teraz była już gotowa na wszystko.

Roztargnione nieco i pośpieszne gratulacje, jakimi została obdarzona już w progu pokoju grafika, upewniły ją, iż narzeczony radosny fakt ujawnił, a zatem o kręceniu nie ma mowy. Wprowadzona w cały spisek, całkowicie odzyskała przytomność umysłu, rozkwitła

rumieńcami emocji i wzięła udział w naradzie. Fotoreporter przyjrzał się jej i pomyślał, że kobieta, która po takim szoku tak szybko wraca do równowagi, to chyba jest bezcenny skarb. Nie doceniał jej dotychczas...

- Czyli, jak przyjdzie co do czego, to uciekać się nie da - reasumował posepnie satyryk. - Niech im strzeli do łba zatłuc tych kosmitów na miejscu byle czym, krewa, panowie, nie mamy żadnych szans.

- Wysiąść i nie oddalać się wcale od helikoptera? - podsunął niepewnie i smutnie socjolog. - To niedobrze, to się mija z celem.

- Nie ma siły, panowie, musimy mieć broń - zawyrokował stanowczo pilot. - A w ogóle to ja chciałem zwrócić panom uwagę, że do pilotowania muszę mieć wolne ręce i nogi. Nie da rady inaczej. Na te poduchy się zgadzam i na tę banię też. Tylko ręce i nogi.

- Wszystko panu potrzebne na ten mały kawałek? - skrzywił się z niedowierzaniem sekretarz redakcji.

- I z powrotem - podkreślił pilot. - Jakoś to jest tak urządzone, że wszystko.

Grafik beztróska machnął ręką.

- Zrobi się. Będzie pan leciał bez

powietrza i dopompuje się pana w ostatniej chwili.

- Kto go niby dopompuje?

Wszyscy będą ubrani!

- Ten... automatyczny podnośnik.

Dopompuje już po wylądowaniu.

Zawsze tak jest, że najpierw lądują, a potem nikt nie wychodzi i przez jakiś czas nic się nie dzieje...

- A potem wychodzą z miotaczami w rękę! - ucieszył się doradca do spraw technicznych. - Oczywiście, że powinniśmy mieć broń!

- Przylatujemy w pokojowych zamiarach! - zaprotestował socjolog.

- Zamiary zamiarami, a tam, gdzie pan leci, mogą być dzikie zwierzęta - zwrócił mu uwagę pilot.

- Dzikie zwierzęta w Garwolinie...?

Sekretarz redakcji milczał w głębokim zamyśleniu, ze zmarszczonymi brwiami, bezwiednie wpatrując się w sekretarkę, która od tego spojrzenia poczuła się trochę nieswojo. Pomyślała, że powinna dalej eksponować swoje walory i przydać się na coś, inaczej bowiem jej akcje mocno spadną. Wzrokiem odnalazła sprzęt do parzenia kawy, podniosła się z krzesła i przystąpiła do zajęć mniej więcej normalnych, a zatem kojących. Sekretarz

redakcji jakby się ocknął.

- Kapitan ma rację - oznajmił stanowczo. - Lecimy na obcą planetę, błąd w nawigacji, moglibyśmy wcale nie trafić do Garwolina, tylko wylądować gdzieś w dżungli. Wczujcie się w sytuację. Bez broni w ogóle głupio, tyle że powinna być nietypowa.

- O, właśnie! - podchwycił radośnie satyryk. - coś, co się kręci, warczy, iskrzy, wyje...

Sekretarka zaparzyła kawę wyjątkowo starannie.

- Pozwólcie, że się wtrączę - powiedziała nieśmiało, przerywając

zrywającą się już do lotu gwałtowną dyskusję. - Jedni moi znajomi mają taką amerykańską maszynę do zmiatania liści z trawnika. Wygląda trochę jak wielki odkurzacz w poprzek, nie wciąga tego, tylko dmucha, bardzo wyje i jeździ na kółkach. Iskrzy, jak się zepsuje...

W domach uczestników międzyplanetarnej eksperymentu zaczęły się rozgrywać osobliwe sceny.

Natchniony słowami sekretarki socjolog, rozpłomieniony zapalem i dziko przejęty, przypomniał sobie nagle, iż posiada rodzinę, od dawna osiadłą w Szwecji. Rodzina od lat i przy każdej

okazji obdarowywała go przedmiotami domowego użytku głównie dla pochwalenia się poziomem zachodniej cywilizacji i wzbudzenia zawiści. Zawiści nie odczuwał, bo z techniką był zawsze nieco na bakier, ale teraz ujrzął przed sobą szerokie perspektywy.

Powracająca z pracy żona, która już od kilku tygodni niepokoila się wyraźnie rosnącym roztargnieniem męża, zastała go w przedpokoju przy zajęciu dość niezwykłym. Wyciągnął właśnie z szafki duży zagraniczny odkurzacz, o kształtach nietypowych, odbiegających mocno od powszechnie używanych radzieckich, przymocował doń rurę i do wylotu rury, w miejsce

szczotki, usiłował wetknąć dwa bardzo eleganckie prawidła do butów. Prawidła nie chciały się trzymać. Socjolog zajrzał do rury, obejrzał się wokół i zastąpił prawidła metalowym, składanym wieszakiem.

- Na litość boską, co ty robisz? - spytała żona, niebotycznie zdumiona. Już sama myśl, że jej mąż miałby odkurzać mieszkanie, wprowadziła ją w osłupienie.

Socjolog obrzucił ją roztargnionym spojrzeniem.

- Broń - odparł krótko i po namyśle dorzucił: - Zaczepną.

Żona zatrzymała się na środku

przedpokoju. W rękę trzymała jeszcze torbę z zakupami. - Do czego?!

Socjolog spojrział na nią ponownie i nagle w oku mu dziwnie błysnęło. Chwycił rurę z wieszakiem w prawą dłoń i warcząc chrapliwie, wystartował do ataku, nie biegiem jednakże, tylko nienaturalnym, drobnym kroczeniem, tak jakby miał nogi spętane w kolanach.

Żona krzyknęła okropnie i zabarykadowała się w łazience.

Sekretarz redakcji, do którego przyszli z wizytą jego rodzice, poprzestał na przywitaniu, po czym

pozostawił ich opiece małżonki, stanowczo odmawiając udziału w życiu rodzinnym i twierdząc, że ma nad wyraz pilną pracę. Piastowane przezeń stanowisko służbowe pozwalało mu wierzyć. Oderwawszy się od ukochanych najbliższych, wykorzystując fakt, iż nieletni potomek nie opuszczał kolan dziadka, z dziecinnego łóżka wymontował niklowaną mřę, przepchnął przez nią przewód elektryczny i na jego końcu jął mocować mały wentylatorek, omotany srebrnym choinkowym szychem. Przyjrzał się swojemu dziełu krytycznie, po czym drugi koniec przewodu wetknął do kontaktu.

- Moja droga, co Krzyś właściwie

robi? - spytała po dość długiej chwili jego matka, nie mogąc z niczym skojarzyć dochodzących z sąsiedniego pokoju odgłosów. Nie wydawały jej się przejawem pracy umysłowej.

- Nie mam pojęcia - odparła jej synowa z westchnieniem. - Zawsze miał różne dziwne pomysły, a ostatnio już go w ogóle nie mogę zrozumieć.

Matka nadśluchiwała jeszcze przez chwilę, następnie podniosła się i poszła obejrzeć zajęcia swojego syna. Stała w progu i zamarła.

Sekretarz redakcji z zachwyconym wyrazem twarzy wymachiwał długą lśniącą rurą, na końcu której z furkotem

kręciło się coś świecącego. Podnosił ją, zniżał, obracał w kółko i dźgał nią niczym dzidą, przy każdym ruchu zaczepiając o meble.

- Krzysiu, co ty robisz? - spytała matka, zaniepokojona głównie tym czymś, co malowało się na jego obliczu.

Sekretarz redakcji spojrział na nią, wyraźnie uszczęśliwiony i przejęty.

- Jakie to na tobie robi wrażenie, mamó? - spytał wręcz zachłannie. - Jakby to co było?

Matka poczuła w sobie jakąś nagłą słabość. - Jakbyś, moje dziecko, już do reszty zmysły postradał...

Pogwizdując z zapalem

„Walentyna-twist”, pilot przeprowadził remanent w stosie dziecinnych zabawek. Z dna stosu wywlókl stare podwozie wielkiego drewnianego samochodu. Przyjrzał mu się z zainteresowaniem, po czym popchnął tam i z powrotem. Podwozie, jadąc, grzechotało przeraźliwie. Zadowolony pilot kiwnął głową do siebie i udał się do kuchni, gdzie żona nakłaniała dziecko do spożycia kolacji.

- Myłaś głowę ostatnio, kochanie?

- spytał czule, acz może odrobinę niepewnie,

- Nie, byłam u fryzjera. Bo co?

- Nic. To pewnie teraz nie będziesz myła głowy przez parę dni?

- Oczywiście, że nie. Dlaczego pytasz? Nie podoba ci się moje uczesanie?

Żona pilota była kobietą młodą i piękną, zainteresowanie męża nie dziwiło jej zatem wcale. Pytania uważała za naturalne.

- Ale przeciwnie! - zawołał pilot z pośpiechem. - Jest prześliczne! Powinnaś je zostawić na dłużej, co najmniej na tydzień. W ogóle najlepiej będzie, jak cię znów uczesze ten sam

fryzjer.

Żona uśmiechnęła się błogo, wciąż zajęta posiłkiem dziecka.

- Nie podnoś noża do buzi, mój skarbie, tylko widelec. O, tak...

- Słuchaj, kochanie - powiedział znów pilot. - Ty miałaś coś takiego na głowę... Nie, nie kapelusz. Posypywałaś sobie głowę czymś takim, jak szliśmy na bal...

- Nie żądasz chyba, żebym sobie posypywała zwyczajne uczesanie brokatem fryzjerskim?!

- Co...? A, nie. Brokat fryzjerski,

mówisz? A masz to jeszcze?

- Zostało mi chyba trochę,  
powinno być w szafce, w łazience. Po  
cóż ci to, na litość boską?

- Po nic. Tak się tylko pytam...

Kolacja dziecka przeciągała się.  
Pilot zdążył przymocować do podwozia  
samochodowego suszarkę do włosów  
żony, zdążył znaleźć w szafce srebrny  
proszek, zdążył wsypać go do  
dmuchawy i zdążył nawet przyczepić do  
całego urządzenia długi kijek.  
Wypróbować swego dzieła już mu się  
nie udało, musiał z tym poczekać do  
sprzyjającej chwili.

Sprzyjająca chwila nadeszła, kiedy dziecko zostało położone spać, a żona zamknęła się w łazience. Pchając przed sobą osobliwą maszynę na jednym kijku, drugim przycisnął wyłącznik podłączonej do gniazdka suszarki. Suszarka zastartowała, wyrzucając z siebie chmurę srebrnego pyłu. Pilot wyłączył ją, po czym ponowił operację.

Kąpiąca się żona miała wrażenie, że z głębi mieszkania dobiega jakiś dziwny hurgot. Skróciła kąpiel, wyszła i ujrzała pół pokoju obsypane srebrnym proszkiem, który jej mąż bezskutecznie usiłował pozmiatać...

Satyryk po głębokim namyśle zużytkował do celów wojennych wielką gruszkę do lewatywy. Liczne próby, czynione w łazience, doprowadziły wreszcie do osiągnięcia właściwej ilości wody wewnątrz i właściwego nachylenia przyrządu, co dawało razem nie jednolity strumień, lecz mglisty rozprysk. Wówczas napełnił gruszkę atramentem, który wydał mu się produktem zbędnym, niepotrzebnie zajmującym miejsce na biurku. Stał w wielkim, szczelnie zakorkowanym kałamarzu i od wieków przez nikogo nie był używany, można go było zatem przeznaczyć na zmarnowanie.

Przed powrotem żony z pracy

zdołał zmyć zaledwie połowę drobnych czarnych kropek z wanny, podłogi i ścian. W pocie czoła usuwał ślady przygotowań do bitwy, kiedy małżonka stanęła w progu. - Co to jest? - spytała surowo i oko jej padło na połowicznie opróżniony kałamarz, bezpiecznie ulokowany w umywalce. - Jezus Mario, czyś ty zwariował...?!

Satyryk wyprostował się ze ścierką w ręce, rozejrzał się wokół i popatrzył na żonę.

- A wiesz, że tak - rzekł jakoś odkrywczo. - Biorąc pod uwagę całokształt sprawy, zwariowałem z pewnością. Ale do psychiatry nie idę, przejdzie samo.

Nagle ożywiła go nowa myśl.

- To od jajek - oznajmił stanowczo. - Ostatnio gdzieś czytałem, że w nadmiarze są szkodliwe. Jakaś historia z cholesterolem, który się rzuca na mózg. Proszę, proszę, mogę jeść, kupię więcej atramentu...

Żona bez słowa wyjęła mu ścierkę z rąk i w ułamku sekundy podjęła decyzję. Postanowiła odczepić się od jajek na zawsze i przejść na dorsze i białe ser...

Maszyna do zmiatania liści nadawała się na zaziemską broń prawie bez żadnych zmian i ulepszeń.

Stanowiła przedmiot nader nietypowy i obcy społeczeństwu z przyczyn prostych, mianowicie wymagała liści do zmiatania i trawnika, z którego należałoby je usuwać. Trawnikiem odpowiednich rozmiarów dysponował wyłącznie ambasador Stanów Zjednoczonych w swojej prywatnej rezydencji, on jednakże nie był przewidziany jako widz w Garwolinie. Dla całej reszty zamieszkującej kraj ludności wynalazek był mało przydatny.

Znajomym sekretarki przysłali to krewni z Kanady, którzy wprawdzie posiadali zarówno trawnik, jak i liście, ale w wyniku zmiatania popadli w konflikt ze służbą miejską, protestującą

energicznie przeciwko zaśmiecaniu ulicy. Musieli zatem, usunąwszy liście z własnego trawnika za pomocą maszyny, zmiatać je potem z publicznego ciągu komunikacyjnego miotłą. Wydało im się to tak uciążliwe, że w końcu pozbyli się urządzenia, wysyłając je frachtem morskim rodzime w kraju, który chłonał wszystko.

Znajomi sekretarki używali maszyny rzadko. Ściśle biorąc, użyli jej raz i w mgnieniu oka wmiętli większość swoich liści w okna sąsiadów, co wywołało zdecydowany sprzeciw. Była zatem prawie nowa, jako niezwykłość doskonała i jedyną jej wadę stanowił ciężar.

Dlatego też doradca do spraw technicznych był jedynym członkiem wyprawy, który nie produkował broni we własnym domu. Wprost od znajomych sekretarki przewiózł ją do pomieszczeń redakcyjnych, opakowawszy przedtem porządnie w starą zasłonę okienną, co okazało się pomysłem szczęśliwym. Złośliwość losu sprawiła, iż w czasie transportu napotkał na swej drodze co najmniej piętnaście niepożądanych i nie wtajemniczonych osób, wśród nich zaś nawet naczelnego redaktora.

Naczelnny redaktor nie był człowiekiem ani wścibskim, ani upartym i życiem własnej redakcji interesował

się miernie, zajęty swoją karierą raczej na tle politycznym. Mimo to zaciekał go ciężar, wynoszony z windy przy akompaniamencie wysiłonego stękania dwóch wcale niewymoczkowatych osobników, doradcy do spraw technicznych i fotoreportera.

- Co to jest? - spytał lekko i bez nacisku, usuwając się im z drogi.

Na pytania osób spotykanych wcześniej doradca do spraw technicznych i fotoreporter najzwyczajniej w świecie nie udzielali odpowiedzi. Krople potu na czole i wściekłe-znękany wyraz twarzy w pełni tłumaczyły małomówność i nikt się nie czepiał. Pytanie naczelnego jednakże

należało potraktować poważniej.

Żadnych tłumaczeń wcześniej nie wymyślili, spodziewali się bowiem pustej redakcji i do głowy im nie przyszło, że późnym popołudniem we wtorek nadzieją się na takie tłumy z naczelnym włącznie. Nie mieli pojęcia o ostatniej wiadomości, jaka nadeszła o poranku i zawierała w sobie ekscytującą treść. Potomek wysokiego dostojnika państwowego miał wziąć udział w międzynarodowym rajdzie samochodowym i naczelny redaktor zdołał złapać całą redakcję sportową w chwili podpisywania listy obecności, zapowiadając naradę specjalną. Narada, rozpoczęta o dwunastej w południe,

nico się przeciągnęła, udział w niej wzięły bowiem osoby postronne, a także pracownicy RSW Prasa, i typowano kandydatów na wyjazd wraz z rajdowcem. Nie była to kwestia łatwa do rozstrzygnięcia, rozwikłano ją dopiero po paru godzinach i uczestnicy narady wreszcie opuszczali budynek, ale o tym doradca do spraw technicznych i fotoreporter nic nie wiedzieli.

Żadna sensowna odpowiedź na pytanie naczelnego nie przyszła im na poczekaniu do głowy. Jako najprostsza nasuwała się bomba, ale skutków bomby nie umieli przewidzieć. Drobnym kroczkiem i po odrobinie posuwali się w głąb korytarza, dysząc ciężko i

symulując niemożność wydania głosu. -  
Co to jest? - powtórzył naczelny z  
większym zaciekawieniem.

Sytuację uratowała sekretarka. Z  
daleka ujrzała scenę, dwóch  
konspiratorów ugiętych pod ciężarem i  
wpatzonego w nich naczelnego.  
Podeszła pośpiesznie i zdążyła usłyszeć  
pytanie.

- Nic - udzieliła odpowiedzi. - To  
moje. Naczelny redaktor zdziwił się  
trochę. Nie potrafił sobie wyobrazić  
niczego, co należałoby do kobiety i  
stanowiło taki ciężar. Otworzył usta,  
żeby dalej pytać o zawartość pakunku,  
ale sekretarka go ubiegła. Patrzyła przy  
tym twardym wzrokiem.

- Albumy z fotografiami - dodała.
- Wszystkie na temat i będzie się z tego wybierać. Za dziesięć minut pan redaktor ma spotkanie w Pezetmocie.

W umyśle naczelnego redaktora najpierw mignął wizerunek scen rozrywkowych, ściśle związanych z tematem tygodnika, prezentujący gamę od balu w operze wiedeńskiej do strawionego częściowo bigosu w przeciętnej mordowni, po czym przebił go temat świeżo ukończonej narady, kojarzący się silnie ze spotkaniem w Pezetmocie. Spotkanie było ważniejsze niż cokolwiek innego. Kiwnął głową i wszedł do windy, z obrazem rajdów,

samochodów, bankietów po zwycięstwie oraz efektownych kraks, mającym mu przed oczami duszy. - Marysiu, jesteś bóstwem - wysapał z przekonaniem fotoreporter i opuścił na podłogę swoją część ciężaru.

Sekretarce zrobiło się ciepło na sercu. Słusznie mniemała, iż zdobycie tajemnicy średnio służbowej podniesie jej osobiste szansę, ale aż tak korzystnych sytuacji nie ośmielała się spodziewać. Ukryła upojenie.

- Wynoście się stąd i schowajcie to gdziekolwiek - poleciała rzeczowo. - On do jutra zapomni, ale niech się już więcej na to nie natyka.

- Słusznie wzięliśmy do spółki Marysię - pochwalił sekretarz redakcji, kiedy dowleczono pakunek do jego gabinetu i powiadomiono go o grożącej przez chwilę klęsce. - Co byście zrobili bez przytomnej dziewczyny?

Pamięć fotoreportera zachowała wyłącznie te słowa, doradca do spraw technicznych natomiast pomyślał, że nie musiałby narażać się na rupturę dygując potworny ciężar...

Generalny przegląd ostatecznie zdobytej broni odbył się w pokoju grafika.

- Pamiętajcie, że macie każdą rękę oddzielnie! - ostrzegał zdenerwowany

sekretarz redakcji, starając się przekrzyczeć odgłosy sprzętu. - Mowy nie ma, żeby trzymać coś w dwóch naraz! I żeby wam nie przyszło do głowy, że sobie popchniecie nogą!

- I w ogóle wszystko musi być w górze, bo schylić się też wykluczone! - przypomniał grafik z troską i równie gromko. - Najlepiej poprzyczepiać do boków albo tak jak kapitan...!

Wskazał pilota, operującego kijkami i trenującego bezbłędne trafianie w wyłącznik suszarki. Popychane przy tym podwozie samochodu grzechotało przeraźliwie, odkurzacz socjologa wył przeciągle i jednostajnie, pobrzękując metalowym wieszakiem, maszyna do

liści wdmuchnęła do kątów wszystkie papiery i co pomniejsze przedmioty, świszcząc przy tym sycząco, wentylatorek na drągu, przekazany grafikowi, furkotał wesoło. Satyryk nie dosłyszał fotoreportera, który o czymś usiłował go przekonać.

- Co mówisz?!

- Mówię, że przecież nie atrament!!! Nie możemy zostawiać trwałych śladów!!! Coś innego, co się łatwo zmywa!!!

- A co się łatwo zmywa?!!!

Doradca do spraw technicznych wyłączył maszynę do liści, a

równocześnie pilot zatrzymał samochód.  
Trzy czwarte hałasu ucichło.

- W ogóle może się nie zmywać!!!

- ryczał nadal fotoreporter głosem trąby jerychońskiej. - To znaczy, mam na myśli, że wcale nie musi być kolorowe!!! Wystarczy, jeśli będzie śmierdziało!!!

- Możliwe, ale nie wrzeszcz tak - powiedział satyryk prawie normalnym głosem. - Czym śmierdziało?

- Zdawało mi się, że jeszcze ciągle nic nie słychać - usprawiedliwił się fotoreporter. - Wszystko jedno czym. Różami, terpentyną...

- A to rzeczywiście żadna różnica, róże czy terpentyna...

- Ale kolorowe daje większy efekt

- wtrącił grafik i wyłączył wentylatorek.

- Mnie to na nic i tak mam filmy czarno-białe. A za taką rzecz, jak zapaskudzenie facetowi marynarki czy koszuli, możesz dostać po mordzie, niezależnie od tego, skąd jesteś.

Doradca do spraw technicznych nie brał udziału w dyskusji, zamyślonym spojrzeniem wpatrując się w uzbrojonych współpracowników. Nagle docenił swoją maszynę do zmiatania liści, która miała własny dwusuwowy silniczek i nie wymagała napędu z

zewnątrz. Napawał się tym przez chwilę.

- Wszystko dobrze - rzekł wreszcie. - Ale do czego wy to podłączycie?

- Jak to do czego? - zdziwił się sekretarz redakcji. - Przecież w helikopterze jest prąd!

Pilot, który już znowu zaczął grzechotać, zatrzymał się nagle i popatrzył na nich, wyraźnie stropiony.

- O rany boskie! Pan ma rację...

Doradca do spraw technicznych odwrócił się ku niemu.

- Jaki pan ma akumulator?

Dwunastowoltowy? Czy dwudziestoczero-...?

- Dwunasto-, ale to nieważne, nam potrzeba dwieście dwadzieścia!

Na chwilę zapadła cisza i wszystkie twarze ujawniły lekki niepokój.

- To jak to? - spytał niepewnie socjolog, wyłączając odkurzacz. - Nie będzie działało...?

Doradca do spraw technicznych i pilot gwałtownie myśleli.

- Druga prądnicą...? - zaczął z

powątpiewaniem doradca do spraw technicznych.

- Wie pan, ja się na tej całej elektryczności tak bardzo nie znam... Ale zaraz, zaraz... Silnik będzie chodził bez przerwy. Akumulator się ładuje... Nie, to nie to... Dodatkowy silniczek i prądnicą na dwieście dwadzieścia...

- Przetwornica - powiedział w natchnieniu doradca do spraw technicznych, w którym nagle odezwało się nabyte przed laty wykształcenie. - Przetwornica kolejowa. Takie coś, co istnieje po to, żeby włączać maszynki do golenia. W wagonach kolejowych...

- Czy chcesz przez to powiedzieć,

że musimy wjechać na garwoliński rynek wagonem kolejowym? - spytał dziwnym głosem sekretarz redakcji.

- Nie wtrącaj się - odparł stanowczo doradca do spraw technicznych. - Ta przetwornica jest nieduża, da się to zamontować w tym pańskim latawcu?

Twarz pilota, na zmianę, chmurzyła się i rozjaśniała.

- Jasne, że się da! Jasne, że przetwornica! Jasne, że będziemy mieli te dwieście dwadzieścia! Trzeba złapać elektryka... Nie, to chyba nie w tej chwili, jutro rano... Tylko dużej mocy to nie da, wie pan...

- No przecież nie będziemy posługiwać się bronią bez przerwy i wszyscy równocześnie!

Reszta obecnych przyglądała się im w napięciu. Satyrykowi mignęła myśl o zbiorowym ataku społeczeństwa, który to atak powinno się odeprzeć albo powstrzymać, jeden z astronautów musiałby się zapewne poświęcić, ale dla jednego owa tajemnicza przetwornica chyba wystarczy...

Doradca do spraw technicznych i pilot raczyli zniżyć się do poziomu humanistycznych umysłów, wyjaśniając zasadę działania proponowanej instalacji. Sekretarz redakcji na krótki moment poczuł się nieswojo,

wspomniawszy, iż do niego należy kontakt z elektrykiem, elektryk zaś już od kilku dni robił takie wrażenie, jakby wirujące świetliste kręgi wyczerpały całkowicie jego równowagę psychiczną.

Elektryk jednakże przetrzymał, instalowanie przetwornicy bowiem, w obliczu wszystkich innych urządzeń, wydało mu się kojąco normalne. Nie protestował wcale, do pracy przystąpił z błogim uśmiechem na twarzy.

Całą zdobytą broń oklejono srebrną folią i przyozdobiono różnymi maskującymi elementami. Satyryk zrezygnował z atramentu i zdecydował się na produkt, uzyskany po kumotersku z

Instytutu Weterynarii. Był to ekstrakt substancji, wydalanej przez egzotyczne zwierzę, mianowicie skunksa. Sporządzono go ze źródeł naturalnych do celów naukowych, ale kumpel fotoreportera, zatrudniony w Instytucie, zgodził się zrezygnować z części posiadanego zapasu na prywatną korzyść kolegi. Osobiście rozcieńczył nawet ekstrakt płynem do spryskiwania drzew owocowych, sam zaciekawiony, co z tego wyniknie.

Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. Uzyskany konglomerat, zdaniem wszystkich zainteresowanych, wydzielał z siebie woń bezkonkurencyjną i nigdzie na świecie

nie spotykaną. Broń stanowił straszliwą.

Pogoda na najbliższy tydzień zapowiadała się piękna, księżyc dochodził bowiem do pełni, i można było wreszcie ustalić datę eksperymentu.

Sekretarz redakcji i fotoreporter mieli zmartwienie dodatkowe.

Organizacja przestępczej orgii, zaplanowana dla zwabienia w leśne ostępy telewizji i kroniki filmowej, przysparzała pewnych trudności. Instytucje owe należało nie tylko ściągnąć podstępnie, ale także zatrzymać aż do chwili lądowania zaziemskiego

pojazdu w miejscu, z którego garwoliński rynek byłby osiągalny w ciągu paru minut.

Miejsce wybrano z łatwością. Zagajnik na skraju miasta, tuż przy lubelskiej szosie, spełniał wszystkie warunki w sposób wręcz wymarzony, przestwór nad miastem był z niego doskonale widoczny, dojazd szosą nie stwarzał najmniejszego problemu, ponadto sekretarz redakcji i fotoreporter nie mieli nawet cienia wątpliwości, że niektórzy członkowie kręcących ekip czas pracy spędzą głównie w knajpie przy rynku, skąd na własne oczy ujrzą wydarzenie i doniosą o nim kolegom. Ustalenie właściwej godziny natomiast

nasunęło trudności zgoła nie do  
przewyciężenia.

O telewizji wiadomo było, że  
spóźnia się wszędzie, zawsze i ze  
wszystkim. W wypadkach niezwykłych,  
jak na przykład wizyta sąsiedniego  
władcy lub też zakończenie Wyścigu  
Pokoju, w którym wygrywamy  
indywidualnie i zespołowo, instalować  
się zaczynają już poprzedniego dnia, a  
możliwe, że nawet wcześniej, bez tego  
zaś rekord punktualności wynosi u nich  
siedem godzin do tyłu. Jak zatem  
sprowadzić ich pod Garwolin dokładnie  
w odpowiednim momencie?

- Chyba się nie wyrobimy inaczej,  
jak tylko przez swojego człowieka -

rzekł smętnie sekretarz redakcji. - Kogoś musimy wtajemniczyć. Będzie wiedział, co jest grane, i jakoś tam zadba. Nie wiem kogo.

- Wiesia - zaproponował po namyśle fotoreporter.

- Wiesia...? - zastanowił się sekretarz redakcji. - No może... Gęby nie otwiera, to fakt, zabierają go wszędzie, ale co tam ma do gadania? W żadnych układach nie siedzi...

- Przeciwnie, we wszystkich - sprostował fotoreporter. - Złapie sprzęt i polecą, a jeszcze gotów w ogóle ruszyć...

Sekretarz redakcji znów się zastanowił. Wiesio był kamerzystą zdolnym, a nawet utalentowanym, ale nie to stanowiło o jego karierze. Cechy fizyczne czyniły go nader pożądanym członkiem każdej wyjeżdżającej w teren ekipy. Potężny, wielki i bykowaty, siły posiadał niespożyte, najcięższą kamerą posługiwał się jak piórkem, nosił wszystko bez najmniejszego oporu i sam jeden mógł zastąpić lewarek przy zmianie koła w furgonetce. Nie lubił tylko wahań i długiego czekania i zdarzało się, że pojazdy telewizji odjeżdżały bez różnych spóźniających się osób, wyłącznie z jego inicjatywy. Jako jednostka z reguły milcząca stwarzał nadzieje na dochowanie

tajemnicy.

Sekretarz redakcji zaaprobował jego kandydaturę, po czym objawiła się zgryzota zasadnicza.

Prosty komunikat, że w szopie na skraju zagajnika spoczywają złodziejskie łupy, wokół których sprawcy kradzieży płąsają wesoło w towarzystwie ofiar płci odmiernej, na każdym kroku gwałconych w wyszukany sposób, odpadał w przedbiegach, w takim wypadku bowiem rękę na pulsie musiałaby trzymać milicja i brak władzy wykonawczej od razu wydałby się podejrzany. Należało kłaść nacisk raczej na malowniczą sensację obyczajową. Podsuwanie myśli o starannie

zaplanowanym szczęśliwym przypadku też wydawało się do niczego. W każdym normalnym kraju każda normalna prasa i telewizja, powiadomione poufnie, iż kroi się specjalna akcja łapania przestępców na gorącym uczynku, z ogniem w oczach i rozcapierzonymi pazurami rzuciłyby się na atrakcyjny temat, tu jednakże ogień i pazury nie wchodziły w rachubę. W całej telewizji nie było ani jednej osoby, której rzeczywiście zależałoby na porządnym efekcie wykonywanej pracy, i zainteresowanie dałoby się wzbudzić wyłącznie na gruncie prywatnym. Sekretarz redakcji i fotoreporter doskonale o tym wiedzieli.

Odrzuciwszy w rozważaniach melinę paserską, nagły wytrysk ropy naftowej, pożar lasu i milicyjną akcję, smętnie stwierdzili, iż pozostaje im tylko orgia.

- Orgia w południe...? -  
powiedział z powątpiewaniem  
fotoreporter.

- No to co? - fuknął gniewnie  
sekretarz redakcji. - A ci, co przegrali w  
brydża Wyspy Kanaryjskie...?

Fotoreporter potrzebował ułamka  
sekundy na przypomnienie sobie  
wycieczki, której uczestnicy,  
opłynąwszy dookoła całą Europę,  
nigdzie ani razu nie wysiedli na ląd, bo

od pierwszej do ostatniej chwili zajęci byli rozgrywkami. Kiwnął głową.

- No może... No dobra, przeciągnęła się. Znaczący, dajesz cynk tym od robót polnych, oni są nastawieni na wyjazd, Wiesio dopilnuje terminu. Fajnie. Przyjeżdżają i co? Szopa stoi, nic się nie dzieje, no, butelki powiedzmy, puste szkło można zorganizować...

- I skóry od salcesonu.

- Dla samych skór też tu nie przyrosną. Jak ich przytrzymać?

- No, coś trzeba... Gołe dziewczuchy latają między drzewami...

- Może latać i goły chłop, tylko skąd ich weźmiemy?

Sekretarz redakcji westchnął ciężko i spróbował wyobrazić sobie sytuację, w której ekipa telewizyjna tkwiłaby dobrowolnie, bez wyraźnych potrzeb służbowych. Mógł bez trudu, stworzyłby ją nawet, ale istotnie, fotoreporter miał rację, dla wyprodukowania wrażeń optycznych brakowało personelu, dla doznań garmazeryjnych zaś pieniędzy. Puste butelki wypadały tanio, pełne były zbyt kosztowne. Zniecierpliwił się.

- Zamarkować. Nie marudź. Niechby im mignęła chociaż z jedna sztuka. O, mamy wtajemniczoną kobietę!

Marysia!

Fotoreporter wzdrygnął się tak okropnie, że łokciem zepchnął z biurka pozostałość po surowcach na odzież kosmiczną - fragment zbroi rycerskiej w postaci mocno zdezelowanego naramiennika. Naramiennik z brzękiem rozleciał się na drobne kawałki, fotoreporter zaś skamieniał.

Na myśl, że jego narzeczona, sekretarka, kobieta, którą zdecydował się poślubić, która z dnia na dzień obrastała w zalety, miałyby prezentować wdzięki bez osłony chciwym oczom tych palantów z telewizji, wyraźnie poczuł wzburzenie całego wnętrza. Pierwszy

raz uświadomił sobie, że ma to być jego żona, a nie własność całego świata, i protest wybuchł w nim gwałtownie i potężnie. Mimo woli spojrział w dół i szczątki naramiennika błysnęły mu mglistą wizją pojedynku z sekretarzem redakcji, cepem i żłobem, który ośmiela się obrażać anioła. Może chociaż strzelić go w ryja...?

- Albo czekaj! Mam pomysł! - kontynuował żywo sekretarz redakcji, całkowicie nieświadom uczuć, jakie wywołał, i niebezpieczeństwa, na jakie się naraził. - Film! Wyświetlić im film z ukrytej kamery, znam jednego takiego, przemycił sobie całkiem niezłe porno, ostre dosyć. Wypożyczy po znajomości.

Co ty na to?

Długa chwila musiała upłynąć, zanim fotoreporter odzyskał równowagę psychiki. Najpierw zrezygnował z mordobicia, później, ze znacznie większym wysiłkiem, usunął sprzed oczu obraz narzeczonej w naturalnym stanie, o tyle interesujący, że jeszcze nie zdążył zapoznać się z nim osobiście. Zaczął nawet czynić pewne intymne postanowienia, ale sekretarz redakcji zdołał wybić go z tematu.

- No, co ty na to? - dopytywał się natrętnie. - W tej szopie, tam jest ciemnawo, zasłoni się okienko, a nawet i na zewnątrz, tam cień pada od drzew. Co ty na to?

Fotoreporter przestawił myśl na sprawy zaziemskie.

- W samo południe nie powiem, co będzie widać nawet w cieniu - odparł trzeźwo. - W środku owszem. No owszem, owszem, pomysły niezły. W gruncie rzeczy... Czekaj, a co im właściwie powiesz?

- Nie ma znaczenia. W tej sytuacji mogę ich zawiadomić o uroczystym odsłonięciu pomnika Lenina, w tej szopie, ludowa rzeźba, taki świątek. Zajrzą, Lenina nie będzie, a za to pójdzie film. Ilu wyjdzie z szopy?

- Żaden.

- No więc właśnie. I nawet wątpię, czy będą mieć pretensje. Potem trochę czasu zajmie im poszukiwanie źródła...

- Znajdą?

- Niech ręka boska broni! Ja mu ten film będę musiał zwrócić. A i tak na flachę trzeba się będzie złożyć, on pija tylko whisky. W PKO, za dolary...

- Zgłupiałeś, czy co? - zgorszył się fotoreporter. - Pójdzie w koszty kulturalne. Coś słyszałem, że w zeszłym roku mieliśmy nadwyżki.

Sekretarz redakcji nagle jakby się ocknął i nieco ochłonał.

- Masz rację, zgłupiałem - przyznał chętnie. - W kosztach na kulturę zmieszczą się, mam wrażenie, nawet dwie flaszki. No dobra, organizujemy robotę...

Dopiero w ostatniej chwili całe grono zdobywców kosmosu uświadomiło sobie w pełni własną sytuację. Zgodnie z planem sekretarza redakcji, głęboką nocą, jeszcze przed świtem, mieli zagnieździć się w helikopterze i w podróżnych strojach doczekać południa, przemieszczenie do Garwolina bowiem musiało nastąpić w ciemnościach, a lądowanie na rynku wymagało białego dnia. Rozpłomieniony i przejęty sekretarz redakcji ustalał

ściśle harmonogram kolejnych poczynań,  
a zamknięci z nim razem w pokoju  
grafika astronauty milczeli strasznie,  
ogłuszeni nieuchronnym koszmarem.

Protest, pełen zgrozy, wyrwał się  
im z ust prawie równocześnie i sekretarz  
redakcji zatrzymał się w swoim  
radosnym rozpędzie.

- No czego? - spytał z irytacją. -  
Wszystko załatwione, szafa gra!

- Sam grasz, baranie, smyczkiem  
na cymbałach! - zawarczał dziko  
satyryk, najciężej doświadczony  
zaziemskim strojem. - Ubrani, gdzie,  
tutaj...? I tramwajem pojedziemy na  
lotnisko?

- A potem, od świtania, zaczniemy szukać po lesie jagódek - dołożył jadowicie grafik.

- Nasze zwłoki zaczną - sprostował gniewnie doradca do spraw technicznych. - Ty się puknij wszędzie, kretynie, kto to wytrzyma tyle godzin?!

- Ludzie nas mogą zobaczyć, a jakby były jakieś krowy, wszystkie stracą mleko - rzekł z troską socjolog.

Fotoreporter milczał, szarpany prywatną rozterką, bo sekretarka, dyplomatycznie i podstępnie nagabnięta przez sekretarza redakcji, wyraziła gotowość biegania po zagajniku w kostiumie kąpielowym bikini cielistego

koloru. Widok stanowiła wysoce atrakcyjny, sprawdził to już, w połączeniu z wyświetlanym w szopie filmem mogła zatrzymać nie tylko telewizję i kronikę filmową, ale nawet cały pochód pierwszomajowy i marsze jesienne, nie był jednakże pewien, czy powinien się na to zgodzić. Dobro sprawy żądało poświęceń, doznania osobiste kategorycznie odmawiały. Zajęty głuszeniem uczuć prywatnych na korzyść służbowych, nie brał udziału w awanturze.

Satyryk pieklił się coraz bardziej, grafik popadał w nastrój szampański i proponował spędzić czas oczekiwania na drzewach, wszyscy mówili

równocześnie. Otumaniony mlekiem socjologa sekretarz redakcji usiłował trzymać się zaplanowanego harmonogramu, doradca do spraw technicznych barwnie określał cechy jego umysłu i charakteru, cała impreza omal nie upadła przez taką drobnostkę jak ludzka wytrzymałość.

Pierwszy odzyskał rozsądek pilot. - Zaraz, panowie, chwileczkę! - zaczął gromkim rykiem, przekrzykując pozostałe osoby i zniżając głos stopniowo, kiedy milkły. - Na jaką wielką grypę macie ze mną lecieć?! Pudło tak, trzeba w nocy, sam dojadę...

- A istoty...? - zaprotestował rozpaczliwie sekretarz redakcji.

- Pojadą byle kiedy i byle czym, jako ludzie. No, rano, żeby mieć zapas czasu... Sprzęt się załaduje, tego podnośnika najwyżej zabiorę, a reszta dojedzie zwyczajnie. Tam się wszyscy ubiorą w ostatniej chwili i po krzyku. Ten cały chłam trzeba zawieźć do hangaru wieczorkiem i ja tak nawet wolę, bo już próbowałem, i latawiec jest trochę mało stabilny. Im krócej z ludźmi i obciążeniem, tym lepiej, szczerze wyznam, że na próbny lot zabrałem spadochron...

Spadochron przesądził sprawę. Sekretarz redakcji położył uszy po sobie i zgodził się na propozycję pilota.

Najpierw popatrzył na zegarek, a potem ze zmarszczoną brwią pochylił się nad płachtą harmonogramu.

- Skoro tak - rzekł stanowczo - to transport zaczynamy o siedemnastej dwadzieścia trzy...

Późną nocą sprzed wrót hangaru uniósł się w górę wielki, dziwny kształt i z cichym pomrukiem popłynął prosto na południowy wschód. Personel techniczny, w osobach dwóch mechaników i jednego elektryka, gapił się nań przez chwilę z zadartymi głowami, a potem otarł pot z czoła i otepiałym nieco wzrokiem popatrzył na siebie wzajemnie.

W lesie za Garwolinem, na skraju dość dużej polany, stały dwie nie oświetlone ciężarówki wojskowe, jeden łazik, jedna furgonetka marki „Nysa” i jeden wartburg. Dookoła kręciło się nerwowo pięć ciemnych postaci, dzierżących w dłoniach różnego rodzaju reflektory. Dwa szperacze na ciężarówkach skierowane były w niebo.

Pomruk nad koronami drzew zabrzmiał w uszach postaci niczym pienia anielskie...

Przypadek sprawił, iż wracający z Hrubieszowa do Gdańska lekarz internista przed Lubicami przejechał

zająca. Do Hrubieszowa udał się wbrew protestom własnej żony, której zdaniem ciągnące go tam sprawy rodzinne nie były warte podróży, wycieczka zaś kolidowała akurat z jej planami. Szybko postanowił zrekompensować swoje nieposłuszeństwo dziczyzną, zatrzymał samochód, wysiadł, wrócił kilkanaście metrów i z latarką w ręku jął szukać w rowie upolowanych zwłok.

Noc była widna, na usianym gwiazdami niebie świecił księżyc w pełni i przy odrobinie wysiłku można było dojrzeć wszystko nawet i bez latarki. W chwili kiedy doktor znalazł swój łup, bez życia, ale w zupełnie niezłym stanie, usłyszał nad głową cichy

pomruk. Pomruk wydał mu się jakoś dziwnie nietypowy. Stojąc na skraju szosy z zającem w rękę, rozejrzał się po niebie i oto na tle gwiazd wyraźnie ujrzał wielki, niezwykły kształt, przesuwający się niezbyt szybko i niezbyt wysoko w kierunku Lublina.

Szczególnym trafem życiowym konikiem doktora była motoryzacja w najszerzej pojętym znaczeniu. Znał się na wszystkim, co jeździ, lata i pływa za pomocą silników, obojętne jakiego rodzaju. Pilnie studiował zagraniczne czasopisma fachowe, oglądał fotografie, czytał opisy techniczne najnowszych wynalazków w ulubionej dziedzinie i chlubił się tym, że nic co ruchome i

mechaniczne nie jest mu obce. Tym razem jednak, wytrzeszczając oczy i zadzierając głowę do góry, aż mu szyja zdrętwiała, w żaden sposób nie mógł zrozumieć, co widzi. Do helikoptera owo coś raczej nie było podobne, tym bardziej do samolotu. Na balon nie wyglądało zupełnie, poza tym balon by nie mruczał. W pewnym stopniu swoją rysującą się na niebie sylwetką mogło ewentualnie przypominać pękatą łódź, widzianą od spodu, ale myśl, że jakakolwiek łódź miałaby latać, wydała się doktorowi absurdalna. Potrząsnął głową, przetarł oczy, popatrzył z bliska na zająca, żeby upewnić się, iż nie ma zaburzeń wzrokowych, po czym znów spojrział ku górze. Ciemny kształt zniknął

w oddali i jakby się zniżał.

Czując dziwne jakieś oszołomienie, połączone z niesmakiem i pretensją do siebie, że przeoczył najnowszy wynalazek, doktor wszedł do samochodu i udał się w dalszą drogę. Do Gdańska przyjechał o szóstej rano, obudził żonę, wręczył jej prezent i opowiedział o powietrznym kuriozum, wciąż nie umiejąc określić, czym ono mogło być. Na całej trasie, od owych Lubic do Gdańska, rozważał problem, nie dochodząc do żadnych wniosków.

Żona zająca przyjęła, schowała do lodówki, z politowaniem popukała się palcem w czoło, ziewnęła i postanowiła nie wracać już do łóżka, tylko umyć się,

ubrać i wyjątkowo wcześnie pójść do pracy, do swojej macierzystej redakcji.

Na garwolińskim rynku toczyło się zwyczajne życie. Autobusy PKS przyjeżdżały i odjeżdżały, pasażerowie ustawiali się w kolejce, wsiadali i wysiadali, mieszkańcy Garwolina robili zakupy i załatwiali inne swoje sprawy tak samo jak zazwyczaj. Nikt nie zwracał uwagi na elementy nietypowe, nie rzucające się zresztą w oczy.

Elementy nietypowe prezentowały się dość monotennie i ograniczały do pięciu osobników. Dwóch z nich siedziało na ławeczce przed dworcem

PKS, dwóch wolnym krokiem przechadzało się wokół rynku, z lekkim roztargnieniem oglądając kolejne, średnio liczne wystawy sklepów, jeden zaś stał, oparty o tyły kiosku „Ruchu”, i czytał gazetę. Wszyscy posiadali dość duże torby, przewieszane przez ramię, oraz dzierżyli w dłoniach coś w rodzaju osobliwie opakowanych bukietów. Były to jakby torby w kształcie rogu obfitości, wykonane z gazet, z których wystawały kawałki trawy i jakiegoś zielska, głównie krwawnika i lebiody. Wszyscy udawali, że nie znają się wzajemnie i wszyscy spoglądali, na zmianę, to na zegarki, to na pogodne niebo, usiłując czynić to nieznacznie.

Sielskiej atmosfery centralnego punktu miasta w najmniejszym stopniu nie mąciły żadne echa dramatu, rozgrywającego się aktualnie o trzy i pół kilometra dalej, w zagajniku przy szosie. Nie dobiegała tu żadna wieść o nich, jedyny przypadkowy widz bowiem patrzył z zapartym tchem i za skarby świata nie oddaliłby się nawet na moment.

Polska Kronika Filmowa przyjechała tu pierwsza, nastawiona na eksperyment gospodarczo-przyrodniczy, mianowicie nowy sposób ścinania drzew, wedle metody kanadyjskiej, tajemniczą maszyną, która jednym końcem usuwa drzewo razem z

korzeniami, a drugim wypuszcza z siebie gotowy mebel. Do eksperymentu wybrano podobno pomnik przyrody, którego bronić miała ludność miejscowa z kosami i widłami w rękach. Wjechali do lasu mały kawałek i zatrzymali się, wzrokiem poszukując owego pomnika przyrody, żeby zawczasu znaleźć najlepsze miejsce do filmowania.

Zdążyli stwierdzić istnienie przeciętnego drzewostanu i jednej drewnianej szopy, kiedy nadjechała telewizja.

Telewizja, powiadomiona dla odmiany o gorszących scenach, którym miał służyć zagajnik, zamówiona została na piątą rano. Przybyła o godzinie

jedenastej, spóźniona zaledwie o sześć godzin, czym pobiła własne rekordy. Zatrzymała się tuż za wozem kroniki, z furgonetki wyskoczył wielki, potężny facet i zanim zdołały wysiąść jakieś inne osoby, już jął rozstawiać statywy i mocować na nich kamery i reflektory.

Dwie instytucje nawiązały ze sobą kontakt bez żadnych przeszkód.

- Wy też? - zdziwił się facet z kroniki filmowej. - Dziwne. Mogliście wszystko dostać od nas. Gdzie te chłopcy z widłami?

Facet z telewizji popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Chłopy rozumiem, zgadza się, ale na cholere im widły? O takich zwyrodnieniach nie było mowy!

- No jak to, mają bronić.

- Kogo? Tych dziwek...?!

Nagła przemiana pomnika przyrody w tajemnicze dziwki zdezorientowała kronikę filmową do reszty. Zanim wymieniono pomiędzy sobą sprzeczne informacje, zorientowany w sprawie Wiesio zdążył usiać teren sprzętem, możliwie najcięższym. Polecono mu marnować czas, stworzył po temu optymalne warunki, zapakowanie wszystkiego z powrotem mogło zająć parę godzin przy

minimalnym staraniu.

Zlecenia, na podstawie których przybyły tu dwa różne zespoły filmujące, okazały się całkowicie odmiennej natury i jedyne, co je łączyło, to określenie „sceny gorszące”. Istotnie, to, co powinno się tu dziać, mogło zgorszyć wszystkie warstwy społeczeństwa, na razie jednak nie działało się nic. Z dużym powątpiewaniem reporter z kroniki filmowej popatrzył na chłopaka w wieku gimnazjalnym, teoretycznie pasącego krowy, w praktyce zaś gapiącego się chciwie na obie ekipy. No owszem, zamiast siedzieć w szkole, pęta się po skraju lasu, na upartego można by się tym zgorszyć.

- Co za cholera! - powiedział ze złością. - Znów jakaś kretyńska pomyłka, pewno to w Kampinosie albo w Białowieży...

Kierownik ekipy telewizyjnej pokręcił głową.

- W maliny - zawyrokował. - Myśmy dostali poufnie, żadna Białowieża, żaden Kampinos...

- A co?

Kierownik ekipy telewizyjnej nie chciał przyznać, że też się dał naciąć, tyle że na inny temat. Wciąż kręcił głową.

- Trudno powiedzieć. Oficjalnie przodujące sianokosy, a prywatnie miało być coś interesującego. Niejasno powiedziane, ale źródło w zasadzie pewne.

- Kombinowali coś, ale zrezygnowali - wysunął przypuszczenie filmowiec.

- Też możliwe...

- Wracamy?

- Bez pośpiechu. Jakiś materiał warto by mieć. Niechby chociaż te sianokosy...

Kronika filmowa też była zdania,

że powinna coś nakręcić, bodaj grube drzewo. Grubym zagajnik nie dysponował, rosły w nim wyłącznie średnie i cienkie, śmieci za to leżała wielka obfitość, szczególnie na skraju. Śmieci stanowiły temat, który obrzydł już wszystkim, uwiecznione były na całych kilometrach taśm i nikt nie chciał więcej.

- Jedziemy gdzie indziej -  
zdecydował filmowiec.

Obejrzał się na swoją furgonetkę i ujrzał, że została częściowo opróżniona z narzędzi pracy. Wpływ na to miał Wiesio, który działał konsekwentnie, rozproszywszy po lesie sprzęt macierzystej instytucji, unieruchomił w

pewnym stopniu także i kronikę filmową. Operator kroniki, oszołomiony pracowitością kolegi po fachu, z łatwością dał się namówić do wyjścia w plener, chociaż żadnych pociągających obiektów nie widział.

Kierownik ekipy filmowej rozzłościł się do reszty, bo i tak był już zirytowany idiotyczną pomyłką.

- No i masz! - warknął. - Cholera, pracowici się znaleźli! Jak cysterna z benzyną leci w powietrze, to ich ciężko z letargu wyrwać, a jak nic się nie dzieje, to już gotowi! Niech to piorun spali, piknik sobie tu robią...

- O...! - krzyknął na to z nagłym

wybuchem emocji facet z telewizji.

Kierownik kroniki filmowej odwrócił się dostatecznie szybko, żeby ujrzeć przyczynę okrzyku. Zza drzewa wyskoczyła nagle istota płci żeńskiej niewątpliwie młoda i wyglądało na to, że pozbawiona odzieży całkowicie. Krótka była widoczna, bo myśliwych coraz silniej utwierdzało się w mniemaniu, iż ofiarę usiłuje dopaść złoczyńca, tajemniczy i niewidzialny, ona zaś zgłupiała ze strachu do tego stopnia, że nie dostrzega tabunu obrońców i ucieka także i przed nimi. We wzniostym celu służenia ratunkiem gonili tym gorliwiej.

Sekretarka bawiła się znakomicie.

Łowy trwały. Z nadludzkim wręcz wysiłkiem fotoreporter zdołał zmienić kierunek i nawrócić ku szosie. Łomoty, trzaski i okrzyki ponownie zbliżyły się do szosy i chłopaka od krów.

Oczekujący na garwolińskim rynku zakończenia pokazów i powrotu głównych aktorów, sekretarz redakcji stracił w końcu cierpliwość i zdenerwował się poważnie. Chwila zasadnicza nadbiegała świńskim truchtem, chciał mieć wokół siebie personel w komplecie, szczególnie że towarzyszący mu zastępca dyrektora Ośrodka Badania Opinii Publicznej okazywał pewien brak opanowania.

- Ale przecież nie wiemy, czy zatrzymali telewizję... - mamrotał nerwowo. - Nie wiem, co się tam... A może oni odjechali... A może oni w ogóle... Czy pan jest pewien, że we właściwym momencie...

Sekretarz redakcji niczego nie był pewien i dłużej nie wytrzymał. Wsiadł do redakcyjnego fiata i podążył na miejsce akcji wstępnej.

Zatrzymał samochód na szosie akurat naprzeciwko ukrytej w zieleni szopy i jął wzrokiem badać sytuację. Zorientował się, że widowisko podchodzi niczym wzbierająca morska fala, ale wciąż nie miał na nie żadnego wpływu. Ujrzał wreszcie wśród zarośli

fotoreportera.

Ile wysiłku zużył, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, nie wpadając przy tym w oko nikomu innemu, ludzkie słowo nie opisze. Udało mu się to wręcz cudem.

- Wsiadaj, do cholery, jedziemy! - wrzasnął rozpaczliwym szeptem. - To już będzie za chwilę, lada moment nastąpi lądowanie, wsiadaj...!!!

- Gównu!!! - wysyczał dziko rozwścieczony i zziębnięty fotoreporter. - Nie zostawię jej tu na pastwę tych erotomanów!!! Pocałuj mnie w lądowanie!!!

- O rany boskie, to ją zabierz!

Niech też jedzie! !! I tak będą latać po krzakach, niech ich zwabi do szopy, ta kamera startuje na fotokomórkę!

Człowieku, ty rozum tracisz...!

- Ja się z nią żenię...!!!

- No to co?! Każdy się żeni! Do szopy, mówię! Do szopy...!!!

Sekretarkę skoki po lesie już nieco zmęczyły. Tyraliera się zacieśniała i osaczała ją nieco przesadnie. Wiedziała z całą pewnością, że parę ujęć kamerzystom wyszło i nie upierała się przy szerszym serwisie, postanowiła zakończyć przedstawienie. Wyznaczony jej czas upłynął już dawno, czuła to

wyraźnie, ponadto w dalszych zamierzeniach technicznych zorientowana była doskonale, przemknęła zatem do szopy, już wcześniej odpowiednio przygotowanej. Chwyciła z kąta swoją odzież, przezornie tu właśnie pozostawioną, wylaźła drugą stroną przez specjalnie obluźwane deski i wpadła wprost w objęcia narzeczonego. Przez krótką chwilę miała słodkie wrażenie, że w tych objęciach pozostanie na dłużej, ale fotoreporter, na szczęście, zdołał się jakoś opamiętać. Jedną ręką przyciskając do siebie przedmiot gwałtownie wybuchłych namiętności, drugą obrócił zakrzywione gwoździe, unieruchomił deski i powlókł odzyskaną

własność ku szosie. Zęby mu same zgrzytały, a wzrok rzucał dzikie błyski.

Błogość niebiańska spłynęła na całe jestestwo sekretarki, sekretarz redakcji zaś doznał ulgi bez granic. Nie odzywając się ani słowem, wrzucił bieg, puścił sprzęgło i docisnął gaz. Fotoreporter zatrzasnął drzwiczki już przy czterdziestu na godzinę.

- Marysiu, ty złoto jesteś, nie dziewczyna - powiedział sekretarz redakcji, uzyskując na liczniku osiemdziesiąt. - Pół litra, co ja mówię, szampana, koleję brylantową, przydział na co chcesz...

- Talon na telewizor - odparła

bardzo zadowolona sekretarka. - Niech pan trochę zwolni, panie redaktorze, przecież tak na tym rynku nie wysiadę, muszę się ubrać.

Fotoreporterowi przeleciało przez myśl, że gdyby tak wysiadła na rynku, lądować mogłoby dwadzieścia pojazdów z innej planety i nikt by na nie nie zwrócił uwagi, ale nie powiedział tego, bo ciągle jeszcze miał jakby szczękościsk.

W przeszukiwanym lasku łowiona postać mignęła przy szopie i w chwilę później wpadło za nią do wnętrza dwóch myśliwych. Rozejrzeli się pilnie, bo szopa była ciemnawa, jeden rzucił się z powrotem ku wyjściu, zamierzając

oblecieć budynek dookoła, drugi zatrzymał się na dodatkowy moment, bo zaintrygowało go dziwaczne, mocno zużyte prześcieradło, rozpostarte na ścianie. Popatrzył na nie i okrzyk zawrócił jego kolegę.

Obaj patrzyli przez kilka sekund, po czym gromki wyraz emocji zwabił do szopy wszystkich.

- Ludzie! Rany kota...!!! Niech ja skonam i w domu nie nocuję...!!!

Czterdzieści pięć minut całkowitej nieruchomości dwóch ekip było zagwarantowane. Dodatkowym widzem stał się chłopak od krów, osłupiały doszczętnie.

Sekretarz redakcji niepotrzebnie śpieszył się aż tak bardzo, bo startujący z leśnej polany zespół kosmiczny miał lekkie opóźnienie. Spowodowała je dynia, aczkolwiek ułożona w pionie, to jednak ciągle mieszcząca się z trudem. Przyozdobiony nią ciężarówiec zyskał wprawdzie oblicze doskonale nieludzkie, szczególnie że w samym środku hipotetycznej twarzy sterczał oszczędzony przez poprzednich twórców ogonek, nie mógł przy tym jednakże nie tylko się podnosić, ale nawet siedzieć normalnie. Przeszkadzał dach. Posadzony na podłodze rozpychał dynią pozostałych pasażerów. Ponadto brak

swobody ruchu uniemożliwiłby mu wykonanie pracy zasadniczej, korba mogłaby wypsnąć mu się z ręki, a na to żaden z astronautów nie miał ochoty się narażać. Pompowanie z dynią odpadało w ogóle.

Zdecydowano w końcu, że podróż na rynek odbędzie się bez dyni i ubierze się w nią sam po spełnieniu obowiązków, co w pełni leżało w jego możliwościach. Niemniej rozwikłanie problemu trochę potrwało...

Fiat redakcyjny wjechał na rynek powoli i zatrzymał się na parkingu. Wsiadły z niego trzy osoby,

spokojniejszy już nieco sekretarz redakcji, fotoreporter i normalnie ubrana sekretarka. Wsiadłszy, musiała się tylko nieco otrząsnąć wijącym ruchem, żeby uporządkować zakładaną w ciasnocie odzież, ale uczyniła to nieznacznie. Wszyscy skierowali się ku kawiarni, przy czym fotoreporter był ostatni, musiał bowiem powyciągać z bagażnika cały sprzęt fotograficzny. W przewidywaniu własnych zajęć dodatkowych, wszystkie akcesoria profesjonalne upchnął przedtem w pojeździe redakcyjnym, co okazało się pomysłem wyjątkowo sensownym.

W kawiarni, przy stoliku tuż obok okna z doskonałym widokiem na rynek,

czekał do szaleństwa zdenerwowany zastępca dyrektora Ośrodka Badania Opinii Publicznej.

- Boże jedyny - wyszeptał. -  
Nareszcie...! Już myślałem, że szalu dostanę! Nic nie widzę! Nasi ludzie są w poczekalni PKS! A panowie gdzie...?

- My tu - odszepnął z niejakim zdziwieniem fotoreporter, który odzyskał już równowagę i lokował swój sprzęt pod stolikiem.

- Ale reszta gdzie...?

Sekretarz redakcji podsunął krzesło sekretarce i usiadł obok.

- Reszta wszędzie - wyjaśnił szeptem. - Pochowani. Kronika i telewizja w lesie, możliwe, że ruszą, jak zobaczą helikopter... - Spojrzawszy na zegarek, dodał: - Na moje oko za jakieś czterdzieści minut będą już zdolni do pracy...

Konspiracyjne szeptery przerwała kelnerka.

- Trzeba będzie od razu zapłacić - powiedział fotoreporter. - Potem możemy nie zdążyć.

- O, są nasi - zauważył nerwowo sekretarz redakcji, dostrzegłszy dwóch panów, przechadzających się i oglądających wystawy.

Zastępca dyrektora omal nie wybił głową szyby.

- Którzy? Ci z torbami? A co oni mają...? To takie... To coś...?

- Które?

- No, te... w rękach... Te... Bukiety...?

- Mikrofony. Opakowane i zasłonięte roślinami. Żeby nikt się nie zorientował. Przewód mają w rękawie.

- Oni są wtajemniczeni? Wiedzą wszystko...?

Sekretarz redakcji westchnął,

sapnął i zachichotał nerwowo.

- No więc, tego, jak by tu powiedzieć... Oni wiedzą, że coś będzie i mają badać reakcję społeczeństwa, ale jest to informacja tajna. Przeciek z tych... no, rozumie pan. Wysokie szczeble. Więc nikt się nie przyzna, że coś wie, bo każdy myśli, że od razu polecą. Zostało im to dane do zrozumienia tak jakby odgórnie.

- I wystarczająco mętnie, żeby wyglądało na prawdziwe - uzupełnił spokojnie fotoreporter.

Zastępca dyrektora Ośrodka dał spokój wiedzy pracowników prasy i zainteresował się tym, na czym zależało

mu najbardziej. Jął pytać o telewizję i kronikę filmową. Sekretarz redakcji bardzo chętnie wyjaśnił mu, co trzyma dwie ekipy w zagajniku pod lasem. Fotoreporter przez ten czas z wielką uwagą patrzył w okno, a zastępca dyrektora Ośrodka słuchał chciwie.

- Jak to, kamera...? Automatycznie się włącza...? Tam jest prąd? Czy panowie podprowadzili...?

- E tam, kto by się wygłupiał! Była myśl, żeby wojsko podciągnęło linię, ale okazało się, że nie potrzeba. To jest kamera na baterie i niech pan tego nie rozgłasza.

Zastępca dyrektora Ośrodka

zachłysnął się fusami z kawy-plujki. W sekretarce ocknęły się nagle obowiązki służbowe, wzięła zamach i rąbnęła go w plecy. Już po krótkiej chwili odzyskał głos.

- Skąd...?!

Sekretarz redakcji przechylił się w kierunku jego ucha i coś w nie poszeptał.

- Wyobrazić pan sobie nie potrafi, jaki oni sprzęt mają - dodał półgłosem, tonem wręcz upojenia. - Kontakt mamy...

Urwał i drgnął gwałtownie, ponieważ wciąż wpatrzony w okno fotoreporter z całej siły kopnął go w

kostkę pod stołem. Sekretarz redakcji  
omal nie zdradził tajemnicy, że to  
własny pracownik zastępcy dyrektora,  
pan Zdzisio, socjolog, załatwił kwestie  
techniczne przez swojego brata w  
wojsku. Kopnięty, zreflektował się  
nagle.

- ...prywatny - kontynuował. -

Liczne kontakty prywatne...

Zmieszany był jednakże nieco,  
łypnął zatem okiem na sekretarkę, z  
czego skołowany całą sytuacją zastępca  
dyrektora Ośrodka wywnioskował, że  
siedzi przy jednym stoliku z  
następczynią Maty Hari. Na wszelki  
wypadek porzucił temat zakulisowych  
intryg.

- Boże, jaki ja jestem zdenerwowany! - wyrwało mu się. - Zaraz się zacznie...

- Spokojnie - powiedział nerwowo sekretarz redakcji. - Jeśli nadlecą punktualnie, to jeszcze dziesięć minut...

Ze zdenerwowania nie mógł przestać mówić, wyjaśnił zatem zastępcy dyrektora, że sam osobiście dopilnował załadunku helikoptera i przyodziania kosmonautów, pozostawiając ich gotowych do akcji przed godziną i pięcioma minutami. Wstępu na pokład miał dopilnować automatyczny podnośnik. Fotoreporter z

sekretarką zajęci już wówczas byli telewizją i kroniką filmową, przyjechał po nich...

- A tak między nami mówiąc, mój wartburg został w lesie - przypomniał sobie nagle fotoreporter.

- Nie szkodzi - zapewniła tkliwie sekretarka. - Pojedzie się po niego. Będę pamiętać.

Sekretarz redakcji wreszcie zamilkł i teraz wszyscy czworo zapatrzyli się w okno.

Dwaj panowie na ławeczce przed

dworcem przesunęli się kawałek dalej, w cień. Osiemdziesiąty raz spojrzeli na zegarki, a potem w niebo.

- Mogliby się pośpieszyć - mruknął jeden. - To słońce grzeje jak cholera, udaru dostanę.

- Marynarkę bym chociaż zdjął - westchnął drugi. - Ty, słuchaj, może by przeciągnąć przewód przez rękaw koszuli?

- Teraz już za późno, lada chwila nadlecą. Nie będziesz się przecież przebierał przy ludziach!

Drugi pan znów westchnął.

- Ty się w ogóle orientujesz, o co tu chodzi? - spytał z nadzieją. - Wiesz może, co to jest to coś, co leci?

- Tego, zdaje się, dokładnie nie wie nikt. Mamy się tym nie zajmować. Nietypowe.

- Cholernie podejrzana sprawa...

Spacerujący wokół rynku panowie z bukietami spotkali się przed wystawą sklepu odzieżowego. Na wystawie stała duża donica z pelargonią, wisiały trzy portrety dostojników własnych i zaprzyjaźnionych, z góry spływała draperia w kolorze nieco wyblakłej

czerwieni, na dole zaś spoczywał towar zasadniczy w postaci jednego swetra nieokreślonego kształtu w szerokie pasy brudnoszare i buraczkowe oraz bardzo grubej marynarki w zieloną jodełkę, szytej zapewne na postać nietypową. Widać było, że jest szalenie wąska w ramionach, bardzo długa i ma króciutkie i nader ciasne rękawy. Do marynarki dołożono coś, co na pierwszy rzut oka robiło wrażenie ścierki do podłogi, wyeksponowanej przez pomyłkę, po bliższym przyjrzeniu się zaś nabierało charakteru damskiej apaszki.

- Masz jakieś pojęcie, w co tu się gra? - spytał półgębkiem jeden z panów, wpatrzony w donicę z pelargonią.

- Jakieś odgórne klocki - odparł drugi, z zainteresowaniem oglądając marynarke. - Ty, jak myślisz, co to za rozmiar?

- Dla inwalidy może. Podobno coś tu ma lądować?

- Tak wychodzi. No... prawdę mówiąc, mam podejrzenia...

Obaj obejrżeli się, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje, i z uwagą jęli studiować towar na wystawie, jeden apaszkę, a drugi sweter.

- Myślisz, że co...?

- Nie zajmować się tym barachłem, tylko ludźmi. Reakcjami, gadaniem... To niby co to ma znaczyć? Patrzy mi na to, że ktoś się z czymś wyrwie.

Pierwszy pan pomyślał i skrzywił się z niesmakiem.

- Jeżeli ma to być akcja antyszpiegowska, to takiego kretyństwa w życiu nie widziałem...

- Ja też - zgodził się drugi. - Dlatego podejrzewam, że jest to wykwit umysłów na szczycie. Bo jeśli nie, to chyba zacznie mnie to ciekawić...

- Niechby się już zaczęło...

Porzucili wystawę odzieżową i wolnym krokiem rozeszli się w dwie przeciwne strony.

Sekretarz redakcji spojrział na zegarek po raz czwarty w ciągu ostatnich dwóch minut.

- Spóźniają się - zauważył z troską. - Jezus Mario, co się tam stało? Powinni już być!

- W jakim stanie ich zostawiłeś? - zainteresował się fotoreporter.

- Ubranych. Broń była załadowana, no, może ją tam trzeba było

trochę przemieścić... Mieli wsiadać.

- No to nie wiem... Z drugiej strony lepiej, że ich jeszcze nie ma.

- Dlaczego...?!

Fotoreporter zdobył się na wysiłek poruszenia wstrętnego tematu.

- Źle wyliczyliśmy czas - rzekł sucho. - Za późno ta kamera ruszyła. Jeszcze co najmniej przez kwadrans telewizji i kroniki z tej szopy żadna siła nie wyrwie...

Sekretarz redakcji po krótkim zastanowieniu przyznał mu słusność, co w najmniejszym stopniu nie przytłumiło

szalejącej w nim niecierpliwości. Dziko i namiętnie chciał wreszcie ujrzeć ewenement, na który czekał całe życie. Na telewizję i kromkę w gruncie rzeczy kichał.

Za to zastępca dyrektora Ośrodka na wzmiankę o tych instytucjach bez mała stracił przytomność. Były mu niezbędne, bez nich cała impreza traciła dla niego służbowy sens. Sam już nie wiedział, co wolałby zobaczyć wcześniej: lądujący pojazd międzyplanetarny czy ziemskie wozy techniczne. Ze zdenerwowania zaczął się jąkać.

Pełny spokój zachowywała tylko sekretarka, napawająca się swoją

satysfakcją prywatną. Przeczuwała, co się tu już wkrótce będzie działo.

- Po pierwsze, zawsze w ostatniej chwili coś tam wyskakuje - rzekła kojąco. - Dadzą sobie z tym radę, stoją tam przecież także mechanicy. Zaraz nadlecą. Po drugie telewizja też nie ruszy w ciągu minuty. A po trzecie ja nigdzie nie idę, zostanę tutaj i zatrzymam stolik. Jakaś baza powinno się mieć.

W jakiś tajemniczy sposób jej słowa odrobinę złagodziły atmosferę. Fotoreporter obejrzał się na kelnerkę...

Wysoko na błękitnym, bezchmurnym niebie ukazał się nagle świetlisty punkcik. Przez długą chwilę

wyglądał jak nieruchoma iskierka, zawieszona w przestrzeni, po czym zaczął się dość wyraźnie obniżać i rosnać.

Zastępca dyrektora Ośrodka trafił nań wzrokiem i nagle przewrócił szklanekę z resztką kawy.

- Są...! - zakwilił, usiłując się zerwać. Sekretarz redakcji chwycił go za rękę.

- Bez paniki! - zażądał groźnie. - Spokój, panowie! My nic, my tylko patrzemy! Nie robić sensacji!

Zastępca dyrektora posłusznie opadł na krzesło, nie będąc w stanie

oderwać oczu od srebrzystego drobiazgu na firmamencie. Fotoreporter zaczął wywlekać spod stołu swoje pakunki. Kolejno wieszał na sobie różne futerały, starając się czynić to powolnymi ruchami i nieznacznie.

- A co będzie, jak ich nie zauważą? - zaniepokoił się niemal bez tchu zastępca dyrektora Ośrodka.

- Nie ma obawy - odparł twardo sekretarz redakcji. - Od tego mamy tam Wiesia.

Srebrny punkcik spływał w dół...

Ukryta przemyślnie w listowiu okolicznych drzew i doskonale wycelowana na właściwy kawałek szopy kamera zacięła się akurat kilkanaście sekund przed końcem filmu. Stłoczone w środku grono widzów jakby złapało oddech i przetarło oczy. Obarczony brzemieniem odpowiedzialności za wszystko, kamerzysta Wiesio przecknął się z zapatrzenia i pierwszy wyszedł na zewnątrz, czując w sobie jakby ciężką pretensję.

- Mogły chociaż, skurczybyki, uprzedzić, co tam będzie... - mamrotał pod nosem.

Rozejrzał się wokół dla

sprawdzenia, czy przypadkiem ukryta kamera nie stała się widoczna, popatrzył wyżej i znieruchomiał. Na niebie świeciła rosnąca powoli iskierka.

Wiesio był osobnikiem solidnym i swoje obowiązki traktował poważnie. Nie miał wprawdzie pewności, czy zacięta kamera nie ruszy z nagłą i nie ukaże resztek szaleńczo atrakcyjnej taśmy, ale wyraźnie widział, że czekać już na to nie należy. Oglądane w szopie widoki napełniły go jakąś potężną mocą, której koniecznie i natychmiast musiał dać ujście. Obowiązki doskonale z nią korespondowały. Kiedy kolejni widzowie, straciwszy nadzieję na dalszy ciąg tajemniczego widowiska, zaczęli

opuszczać szopę, połowa rozstawionego po lesie sprzętu była już załadowana. Co prawda, statyw telewizji znalazł się w furgonetce kroniki filmowej, a reflektor kroniki w furgonetce telewizji, ale na to nikt nie zwrócił uwagi. Wiesio pracował niczym furia. - Jazda!!! - ryczał strasznie, nie dopuszczając do głosu współpracowników. - Tam coś leci! Podejrzane !!! Jazda na rynek!!!

Otumanienie dotychczasowymi zjawiskami, szczątkami orgii w postaci gołej baby wśród krzewów, pełną orgią na starym prześcieradle w szopie, teraz zaś rykami Wiesia, spowodowało, że sugestii poddali się wszyscy. Nikt nie był zdolny do protestów. Wiesio jedną

ręką wrzucił do samochodu ostatnie kamery, a drugą ukazywał niebo.

- Coś leci - zauważył odkrywcozo reporter z kroniki.

- Nie leci, tylko siada - skorygował elektryk z telewizji.

- Gdzie siada? Na dachach?

- Może będzie katastrofa! - ucieszył się gwałtownie kierownik ekipy telewizyjnej. - Zdążymy nakręcić! Jazda!

Obaj kierownicy milczeli, ale w sobie czuli moce, podobne do Wiesiowych. Równocześnie zapalili silniki furgonetek, dźwięk ten zaś

podziałął bardziej dopingujące niż nagły wybuch wulkanu za plecami. Pchając się dziko i niemal tratując wzajemnie, oba zespoły w obłądnym pośpiechu wbiły się do pojazdów.

W trzy minuty później, w ogóle nie zdążywszy ochłonać, wszyscy znaleźli się w centrum Garwolina.

Srebrny punkcik, teraz już cały duży punkt, wisiał pionowo nad rynkiem. Przez okno kawiarni widać było dworzec PKS i ludzi wokół niego. Nadjechał właśnie autobus i przed przystankiem uformowała się niezbyt długa kolejka. Ktoś stojący na końcu

pokazał nagle palcem w górę i głowy zaczęły się stopniowo zadzierać.

- Nie warczy...? - wyszeptał za szybą pytająco półprzytomny z przejęcia zastępca dyrektora Ośrodka.

- Specjalnie wytłumiony - odszepnął sekretarz redakcji, resztką sił hamując emocje. - Genialny facet, jak on pięknie schodzi! Dokładnie według umowy...

Na rynku większość ludzi pozadzierała już głowy do góry. Lśniący srebrzyście przedmiot, trochę podobny do grubego wrzeciona, z wielkim wirującym świetlistym kręgiem u góry i drugim, nieco mniejszym, na jednym

końcu, wisiał już wprost nad rynkiem, obniżając się bardzo wolno. Wsiadający do autobusu pasażerowie zaczęli się zatrzymywać i tempo wsiadania wyraźnie osłabło. Kierowca spojrział przez swoją szybę, patrzył przez chwilę, po czym wysiadł.

- Helikopter...? - powiedział niepewnie.

- Gdzie tam, panie - odparł stojący obok jakiś facet. - Całkiem niepodobne do helikoptera. Już prędzej sputnik.

- Nie za małe na sputnik...?

Sprawujący w Garwolinie nadzór autorski architekt z warszawskiego biura

projektów, załatwiwszy swoje sprawy wczesnym porankiem, zamierzał właśnie wracać autobusem. Obejrzał się i zastygł z nogą na stopniu.

- Sputnik ląduje w Garwolinie? - powiedział ze śmiertelnym zdumieniem.

Stojąca za nim gruba baba z koszem pełnym drobiu, bezmyślnie wpatrzona w srebrny przedmiot, ożywiła się nagle, oderwała od kontemplacji, odepchnęła osłupiałego architekta i wsiadła do autobusu.

- Mnie tam nie obchodzi - oznajmiła z gniewnym sieknięciem. - Sputnik, nie sputnik, ja tam jadę.

Architekt nie protestował, przyszło mu bowiem nagle do głowy, że, być może, jest świadkiem wydarzenia, wobec którego obowiązki służbowe mogą trochę poczekać. Poza tym był ciekaw, co to jest, to coś, do niczego niepodobne, co tak elegancko spływa w dół. Odsunął się nawet nieco od wejścia do autobusu, żeby nie przeszkadzać innym pasażerom.

Ludzie jednakże przestali wsiadać. Po uwadze grubej baby w autobusie zapanowało lekkie podniecenie. Ulokowani już podróżni zaczęli wstawać z miejsc, wtykać głowy w okna i pchać się na jedną stronę.

- Kto powiedział, że sputnik?

- Patrz pan, całkiem pojazd kosmiczny...!

- Amerykański czy ruski?

- Panie, czego pan mi się wali na głowę?!

- A gdzie mam się pani walić?  
Pani w ogóle weźmie tę głowę,  
wszystko pani zasłania!

- A co, może mam sobie uciąć dla pańskiej przyjemności?!

- Pani patrzy, kochana, całkiem nie z tego świata...

- Co to za nieużyte ludzie, każdy sam się gapi, a drugiemu nie da...

- Panie, pan nie wysiada, autobus ruszy, a pan z tem sputnikiem zostanie, jak jaki głupi w konopiach...!

- Gdzie tam ruszy, kierowca też wysiadł... Przy drzwiach zrobił się tłok, autobus coraz szybciej zaczął się opróżniać. Wszyscy wysiadający stawali wokół, ciekawie przyglądając się zjawisku. Na przełaj, przez pola, pędziło dwóch kilkunastoletnich chłopaków, którzy zwagarowali ze szkoły na korzyść przygotowań do połowu ryb. Przed paroma minutami dostrzegli przybywającą z błękitnych przestworzy maszynę, zdążyli uczynić

kilka przypuszczeń, pokłócić się, następnie zawrzeć zakład, teraz zaś śpieszyli, żeby go rozstrzygnąć. Co do kosmicznych cech pojazdu byli w pełni zgodni, posprzeczalili się jedynie o jego pochodzenie. Jeden twierdził, że przybywa z Marsa, a drugi, że ze Związku Radzieckiego.

Pomrukując i szumiąc cicho, tajemnicza maszyna obniżyła się całkowicie i dolną częścią dotknęła nawierzchni rynku. Świetlisty krąg na górze przez chwilę wirował tak samo jak w czasie lotu, po czym zwolnił nieco, a jego blask jakby odrobinę przygasł, chociaż wciąż stanowił konkurencję dla słońca. Następnie

zmienił się jakoś. Robiło to takie wrażenie, jakby jeden rodzaj świetlistego kręgu przeistoczył się w drugi, teraz było to trochę mniejsze, ale za to znów wirowało szybciej. Ciągnęło oczy i wręcz uniemożliwiało porządne obejrzenie całości.

Całość zaś stała na środku rynku i poza lśniącym wirowaniem nie działało się z nią nic. Nie odsuwała się żadna szyba, nie otwierały się żadne drzwi, nie mówiąc o tym, że nie widać było drzwi, a szyby istniały w nikłym zakresie, wyłącznie u samej góry. O ile to w ogóle były szyby. Wirujący krąg przeszkadzał stwierdzić, czy w środku coś się rusza. Ludzie dookoła trwali w

milczeniu i bez ruchu, wpatrzeni w osobliwość.

- Zdalnie sterowane...? - bąknął niepewnie kierowca autobusu.

Nikt mu nie odpowiedział. Z bocznej ulicy zaczęła wyjeżdżać na rynek furmanka, woźnica spojrzął i gwałtownie ściągnął lejce. Zatrzymawszy konie, siedział na worku sieczki i gapił się bez słowa. Konie wydawały się zadowolone z postoju.

Sekretarz redakcji i zastępca dyrektora Ośrodka patrzyli na żywy obraz przez szybę kawiarni. Po uprzednim napięciu oczekiwania doznali takiej ulgi, że z przyjemnością

posiedzieli jeszcze trochę na krzesłach. Widoczność mieli doskonałą, pojazd kosmiczny wylądował akurat przed nimi, a pomiędzy widzami na rynku jeszcze istniały luki. Największa gęstość zaludnienia występowała w pobliżu autobusów PKS i przed sklepem mięsnym, gdzie oczekiwano przybycia jakiegokolwiek towaru.

Fotoreporter opuścił lokal i przygotował się do akcji.

Zwyczajny helikopter, siadający w środku miasta, nie stanowiłby wielkiego dziwowiska, aczkolwiek również obudziłby żywe zainteresowanie. To coś jednakże nie było helikopterem. Nie mogło być. Wyglądało i zachowywało

się tak, że nawet dzieci nie postąpiły krokiem w jego kierunku. Obecne były zresztą tylko młodsze dzieci, starsze bowiem siedziały jeszcze na ostatnich lekcjach w szkole.

Po jednej stronie tajemniczego pojazdu bardzo powolnym ruchem ruszyły, kręcąc się, trzy równie tajemnicze, lśniące szpikulce z kulami na końcach. Obróciły się i zatrzymały. Po chwili to samo uczyniły trzy z drugiej strony. Społeczeństwo wydało z siebie jakby zbiorowe, potężne westchnienie i znieruchomiało ponownie.

Dwóch zziajanych wyrostków wypadło spomiędzy domów i

gwałtownie zahamowało na skraju rynku.

- Niech skonam, Marsjanie! -  
wykrzyknął ze zdumieniem były  
zwolennik Związku Radzieckiego.

Okrzyk wstrząsnął tłumem i wyrwał go ze stanu tępego osłupienia. Na zamarłym przez kilka długich chwil rynku zapanowało poruszenie. Wokół srebrnej maszyny utworzył się szeroki krąg, pęczniejący w miarę przybywania coraz większej ilości widzów. Rosło zainteresowanie, zmieszane z niepewnością, zjawisko wydawało się bowiem tak osobliwe, że nie sposób było wyrobić sobie na nie jakiś pogląd.

Zaintrygowany architekt uczynił kilka kroków ku środkowi placu. Na ten dowód straceńczej odwagi tłum zareagował ostrzegawczym krzykiem.

- Panie, pan nie podchodzi, nie wiadomo, co to jest!

- Trzeba najpierw zobaczyć, kto z tego wysiądzie!

- Pan się cofnie...!

- Ludzie, ja wam mówię, że to jest latający talerz!

- Jaki talerz, panie, za długie na talerz! Latający półmisek, to jeszcze.

- Gdzie pan widział taki półmisek?!

- Jezusie Maryjo! - zawył znieścacka przenikliwy damski głos na tyłach kręgu. - Marsyjany przyleciały...!!!

- Czy to aby nie atomowe? - zaniepokoił się ktoś. - Bo może wybuchnie?

- Niech ręka boska broni, wypłuj pan to słowo...!

- Ja się odsunę, na wszelki wypadek - powiedziała nerwowo młoda dama z dziecinnym wózkiem, wypychając się tyłem.

Kilka osób obejrzało się za nią.

- Pani w ogóle stąd odejdzie, bo dziecku może zaszkodzić...

Architekt powstał chwilę, jak harcownik przed uformowanym do bitwy wojskiem, po czym, nie widząc efektu stania, wrócił w łono kręgu. Cofając się, nastąpił na nogę wysokiemu szczupłemu facetowi, zachłannym wzrokiem wpatrzonemu w lśniący pojazd. Facet co parę sekund gorączkowo przecierał okulary kawałkiem irchy. Był historykiem, wracał z Lublina do Warszawy i właśnie nabierał przekonania, iż przerwa w podróży uczyniła go świadkiem epokowego wydarzenia.

Posykując, chwycił się za przydepniętą nogę, podskoczył na drugiej, kawałkiem irchy przetarł but i powiedział tajemniczo:

- Bo to może być, proszę pana, radioaktywne.

- Ależ skąd! - zaprotestował zaskoczony architekt. - Przecież tam są ludzie!

- Kto to panu powiedział, że tam są ludzie?

- A któżby inny? Marsjanie?!

- Nie wiem czy Marsjanie, na Marsie podobno nic nie ma...

Urwał i odsunął sprzed twarzy jakieś zielsko, mającące mu się pod nosem. Zielsko było opakowane w gazetę, którą dzierżył przepychający się między ludźmi szalenie ruchliwy facet. Przez tłum przebiegło jedno słowo, podchwyczone z rozmowy.

- Marsjanie! Ludzie, to podobnież Marsjanie...! W górnej części pojazdu coś się poruszyło. Ruch byłby prawie niedostrzegalny, gdyby nie to, że z poruszonego miejsca, tuż pod wirującym ciągle kręgiem, posypały się nagle złociste iskry, przy czym rozległo się ciche skwierczenie, słabo słyszalne. Krąg cofnął się nieco wśród objawów wzrastającego niepokoju. Od strony

Warszawy ukazał się nadjeżdżający autobus PKS.

- Jeszcze ogień z tego będzie, albo co...

- Niech kto zadzwoni po straż pożarną!

- Jakie potwory wysiądą, o Jezu, co to się robi...

- Autobus jedzie! Zatrzymać autobus!

- Od tych iskier miasto z dymem pójdzie...!

- To jakieś głupie przyleciały,

susza drugi tydzień, iskry puszczają,  
tylko patrzeć, jak się co zapali...!

Ożywienie wokół rynku wzmogło się wyraźnie. Kierowca nadjeżdżającego autobusu, nie rozumiejąc, co się dzieje, na wszelki wypadek zatrzymał się na szosie. Jego pasażerowie opuścili wehikuł w sposób, pozwalający mniemać, iż za pół minuty pojazd wyleci w powietrze.

Kierownik apteki, stojący w jej drzwiach wejściowych, ocknął się z osłupienia. Do drzwi prowadziły trzy schodki, stał na najwyższym i miał doskonały widok na wszystko. Nie dalej jak poprzedniego dnia przestudiował cały zbiór artykułów o rezultatach badań

kosmicznych i z artykułów tych niezbitcie wynikało, iż na spotkanie rozwiniętych form życia poza terenem Ziemi nie ma żadnej nadziei. Rozczarowało go to ogromnie i napełniło niesmakiem. Teraz zaś na własne oczy widział, jak rzeczywistość przeczy wszelkim przewidywaniom nauki, i w jego świeżo nabytych poglądach nastąpiło gwałtowne zamieszanie.

Skwierczące iskrzenie trwało, z tym że kierownik apteki skwierczenia nie słyszał, oglądał tylko iskry. Przez lekko oszołomiony umysł przeleciało mu wszystko, co kiedykolwiek czytał i wiedział o inwazjach przybyszów z innych planet. Przybysze, co prawda, nie

mieli prawa istnieć, ale cokolwiek tkwiło tu, na tym rynku, z pewnością stanowiło zagrożenie. Zawrócił do środka apteki, chwycił słuchawkę telefoniczną i wykręcił numer straży pożarnej.

- Tak jest, na rynku! - zawiadamiął z przejęciem, odpychając wolną ręką jakiegoś faceta, który nie wiadomo, skąd się pojawił i znajdował obok niego, przy czym cały czas usiłował podetknąć mu pod nos dziwną, papierową torebkę z wystającym ze środka zielskiem. - Przy dworcu PKS! Idź pan do cholery...! Nie, to nie do was, nie, jeszcze się nie pali, ale zaraz się będzie paliło! Co...? Człowieku, nie wiem

gdzie, możliwe, że wszędzie! Jak to  
dlaczego, mówię przecież, że od tego,  
co tu stoi... Panie, a skąd ja mam  
wiedzieć, co to jest, nikt nie wie!  
Mówią, że Marsjanie wylądowali... Jaki  
dowcip, panie, ja jestem poważny  
człowiek! Tak jest, kierownik apteki!  
Weź pan to, czego mi pan to pcha w  
zęby, ja skupu ziół nie prowadzę! Sam  
wiem, że to bzdura, pan mi nie musi  
tłumaczyć, ale na własne oczy to widzę!  
Na środku rynku stoi i ogień krzesa!  
Iskrzy, mówię przecież! Górą cholernie  
iskrzy...!

W progu opustoszałej kawiarni  
stał sekretarz redakcji z zastępcą  
dyrektora Ośrodka. Porzucili stolik, bo

przez okno widzieli już tylko plecy rodaków. Obaj mieli wypieki i obaj zachłannym wzrokiem wpatrywali się w skłębione wokół rynku społeczeństwo. W pobliżu nich fotoreporter pstrykał bez wytchnienia. Sekretarka spokojnie siedziała na swoim miejscu, pilnując mienia ukochanego, bo nie wszystko zdołał na sobie zawiesić.

- Dlaczego nie wysiadają? - pytał niespokojnym szeptem zastępca dyrektora. - Na co czekają...?

- Na nic. Pompują pilota. Wszystko zgodnie z planem...

- A co to jest, to na górze...? Czym oni puszczają te iskry? O czymś takim

nie było mowy...!

- Była, była... Zimne ognie.

- Jakie zimne ognie?!

- Takie choinkowe. Na patyku.

Wiatraczek taki mają i kręcą...

Telewizja i kronika filmowa, nadjechawszy w momencie lądowania, zaparkowały w bocznych ulicach tuż za domami. Nikt na nie nie zwrócił uwagi. Wiesio nie musiał już czynić żadnych wysiłków, obie ekipy zainteresowały się zjawiskiem na rynku wręcz do szaleństwa, nie trzeba ich było zachęcać do pracy. Sam Wiesio z kamerą w rękach tkwił tyłem do zjawiska, a

frontem do mas.

W tajemniczym pojeździe iskrzenie nagle ustało. Kawalek górnej części przesunął się i w powstałym otworze ukazała się jakaś postać. Z chóralnym okrzykiem tłum rzucił się w tył.

- O rany boskie...! - jęknął z przerażeniem zastępca dyrektora Ośrodka, który nie we wszystkie szczegóły przygotowań był wtajemniczony. - Co to jest...?!!!

- Pański własny pracownik - odparł z niebotyczną satysfakcją sekretarz redakcji. - Miał siedzieć z brzegu, więc to musi być on...

Tłum falował niespokojnie. Kilka osób uciekło, zatrzymując się w odległości, uznanej za bezpieczną, kilkanaście pochowało się za narożnikami budynków i autobusami PKS, większość jednak trwała na posterunku. Chłop na furmance był chłopem inteligentnym, z uwagą spojrzął na konie, wiedział bowiem, że zwierzęta mają zdrowy instynkt. Konie nie okazywały żadnego niepokoju, pozostał zatem na miejscu. Pomiędzy ludźmi pojawił się nagle milicjant, który, energicznym krokiem wyszedłszy z głębi ulicy na rynek, potknął się jakby i stanął jak wryty.

- Proszę się rozejść - powiedział

automatycznie i bez przekonania, osłupiałym wzrokiem wpatrując się w kosmiczny pojazd. Nikt nie poświęcił mu nawet jednego spojrzenia.

Dziwna, pękata, lśniąca postać na wielkich łapach i z długim ryjem wylazła z maszyny i tajemniczym sposobem zsunęła się w dół. Za nią pojawiła się druga, taka sama. Okrzyki tłumu nabrały znamion szczególnych, stały się nieco ochryple i mniej dźwięczne.

- Wysiadają...! - rozległo się coś pośredniego pomiędzy szeptem a jękiem.  
- Ludzie, to przecież nie ludzie...!!!

Myśl grafika święciła triumfy.

- Rany boskie, Marsjanie...!

- Patrzcie, jest trzeci! Czwarty...!

- Niech ja skonam, piąty...

- Jeszcze nie atakują... -

powiedział do architekta historyk,  
dławiąc się niemal z emocji.

- Nie będą atakować, wykluczone!

- zawyrokował dziko przejęty architekt.

- Tak wysoko rozwinięta cywilizacja nie  
zaczyna od ataku, tylko od  
porozumienia!

- To niech pan się z nimi

porozumiewa, proszę bardzo. Ciekawe,  
w jaki sposób...

- Za pomocą matematyki. To jest wiedza wszechświatowa.

- I uważa pan, że znają Pitagorasa?

- Z pewnością! Niekoniecznie z nazwiska...

Z oddali dobiegło wycie straży pożarnej. Jakiś facet, stojący tuż obok architekta i historyka, spojrzał nagle na nich z wielkim zainteresowaniem, popatrzył na wysiadające zaziemskie istoty, zawahał się, po czym oderwał od zwartego kręgu i galopem popędził w kierunku szkoły.

Pięciu Marsjan stało wokół pojazdu nieruchomo i w milczeniu.

Pomiędzy nimi spoczywały na ziemi jakieś nader niezwykle przyrządy i maszyny. Dookoła widniała pusta przestrzeń, a dalej trwał ciasno zbity tłum szaleńczo zemocjonowanych ludzi, z których nikt nie miał najmniejszego pojęcia, co właściwie należałoby teraz zrobić. Pękate potwory, wysiadłszy, również nie wykazywały żadnej inicjatywy i zanosilo się na to, że ta pełna zdenerwowania stabilizacja nie ulegnie zmianie aż do chwili, kiedy do akcji wkroczą dźwięki trąb na Sąd Ostateczny.

Sprawę rozstrzygnęła straż pożarna, w pewnym stopniu zastępująca trąby. Czerwony samochód z wizgiem

zahamował na skraju rynku. Na widok zbiegowiska strażacy nie namyślali się ani chwili, w mgnieniu oka byli na ziemi i z hydrantami w rękach ruszyli biegiem, rozpychając tłum.

Przybysze z obcej planety nagle ożyli i zareagowali równie sprawnie. Dwóch uczyniło krok ku tłumom, w głąb rynku, a trzech zwróciło się w kierunku nadbiegających strażaków. Złowieszczo połyskująca na ziemi maszyna zawyła nagle ponuro i przeciągle, niepojętym sposobem wznosząc wokół siebie potężny kłęb kurzu, wymieszanego ze śmieciami i końskim łajnem, mniejszy od niej przedmiot, grzechocząc przeraźliwie, plunął obłokiem

srebrzystego pyłu, niewątpliwie  
ogromnie szkodliwego dla zdrowia,  
długi, świecący drąg z wirującą na  
końcu, rzucającą dzikie błyski tarczą,  
pochylił się w stronę

- Ludzie, uciekajmy stąd, jak tu  
przyjdą, to już nikt z życiem nie ujdzie!

- Nie idą jeszcze, pani, czego się  
pani rzuca?!

- Zginiem w tem kurniku...!

- Stój pani spokojnie, do wielkiej  
Anielki, co pani po odciskach tupie...!

- Co oni tam robią? Panie, niech  
pan wyjrzy!

- Nic nie robią. Stoją, jak stali...

- A spod rąk im nie pryska?

- A cholera ich wie, gdzie mają ręce, ale nigdzie nie pryska...

Wepchnięci już w pierwszej chwili do wnętrza kawiarni sekretarz redakcji i zastępca dyrektora Ośrodka zdołali uczepić się stolika, przy którym siedziała sekretarka. Zgarnęła pod nogi pilnowane puste i pełne futerały i całkowicie straciła spokój i opanowanie.

- Gdzie Januszek?! - dopytywała się gwałtownie, bliska łez. -  
Zostawiliście go na pastwę...! Zatrzuje

go to dzikie stado! Czy oni zwariowali,  
po co straszą tych ludzi, gdzie  
Januszek...?!!!

- Jest Januszek, jest! - uspokoił ją  
pośpiesznie sekretarz redakcji. - Widzę  
go, lata za ludźmi z kamerą! Marysiu,  
przestań histeryzować, przecież Janusz  
nie ucieka...!

- No to co?! Ale reszta ucieka...!

- Czy to było... tego... w  
planach...?! - pytał natrętnie zastępca  
dyrektora Ośrodka, kurczowo trzymając  
się nogi stolika i z całej siły starając się  
zachować pod sobą krzesło. - Trochę  
gwałtowne to zamieszanie...  
Spontaniczna reakcja...

Jeden uciekinier z placu boju wyrznął go łokciem w ucho, więc zamilkł. Sekretarz redakcji zlitował się nad nim z pewnych szczególnych przyczyn.

- No, w jakimś stopniu owszem... Społeczeństwo do paniki ma prawo. Okazuje się, że nietypowa broń robi wrażenie...

- Mam wrażenie, że strasznie śmierdzi - zauważyła sekretarka, która błyskawicznie odzyskała równowagę, ujrawszy przez okno fotoreportera w doskonałym stanie. W obliczu zachowania reszty społeczeństwa występował w charakterze albo bohatera, albo idioty. - Niech on się też

schowa, bo ktoś zacznie coś podejrzewać.

- Ty jesteś bardzo mądra, Marysiu  
- pochwalił sekretarz redakcji i zaczął pukać łyżeczką od kawy w okno kawiarni. Opuszczenie lokalu było niemożliwe z racji tłoku, pukanie zaś było bez sensu o tyle, że fotoreporter przy największych staraniach nie mógłby się dostać do środka.

Wcale nie chciał. Żadna siła nie zaciągnęłaby go teraz do kawiarni, ani też nigdzie, do żadnego wnętrza. W rekordowym tempie, zmieniając aparaty co najmniej tak, jakby miał cztery ręce, zdążył uchwycić liczne sceny ucieczki

narodu oraz chroniące się za różnymi szanćami jednostki, z których dwie usiłowały osłonić się rowerem listonosza. Po czym, w istnej euforii, zajął się wykonywaniem podobizn bardzo zdyszanego chłopaka z gałęzią w rękę, jedyne, który nie uciekł, samotnie sterczącego na środku rynku, nie mając przy tym pojęcia, że chłopak przeżywa największy dzień swojego życia.

Był to ten sam chłopak od krów, dla którego ogłuszające sensacje zaczęły się znacznie wcześniej. Najpierw oglądał orgię w postaci sekretarki w kostiumie bikini, potem film w szopie, potem zaś ujrzał kosmitów. Przyleciał na

rynek właśnie przed chwilą, na piechotę pokonawszy drogę, przez telewizję i kronikę filmową przebytą znacznie szybciej, i żadne kataklizmy świata nie ruszyłyby go z miejsca. Całkiem rozsądnie był zdania, że czegoś podobnego nie zobaczy już nigdy w życiu i przygotował się na wszystko.

Widok dwóch ryzykantów, którym nic się nie stało, spowodował, że panika trochę osłabła. Ponadto spocony z emocji chłop zdołał wycofać konie z podwórza, odrywając je od zrujnowanego wychodka. Wśród skomplikowanych wysiłków przedostał się z powrotem na rynek, przez chwilę w zapadłej na nowo, pełnej napięcia ciszy

słyszeć było tylko łomot podkutych kopyt i poskrzypywanie furmanki, różne okrzyki w obliczu ogólnego bezruchu zamarły chłopu na ustach i też się zatrzymał. Konie głowy nie zawracały, uspokoiły się od razu i wyraziły zgodę na postój.

Pięciu Marsjan wróciło wolno na swoje poprzednie miejsce w pobliżu maszyny. Znów stali nieruchomo, chwilami zbliżając ku sobie baniaste łby i nie okazując żadnych wrogich zamiarów. Robili wrażenie odrobinę zdezorientowanych i jakby niepewnych.

- Jeżeli zawezwą wojsko, to co zrobimy? - spytał szeptem pilot, zwracając się ku doradcy do spraw

technicznych.

- Może pan nie szeptać, na zewnątrz nie słychać. Z wojskiem nie będziemy się wygłupiać.

Z miejsca pryskamy!

- Wspaniałe! - zachwycił się socjolog. - Nadzwyczaj prawidłowe reakcje! Chciałbym się jeszcze upewnić, czy w nas wierzą, panowie, musimy się porozumieć z ludnością!

- Nie ma z kim na razie - zauważył grafik. - A jak przyjedzie wojsko, to tym bardziej porozumienie szlag trafi.

- Ale nie możemy do tego

dopuszczyć!

- To co pan chce zrobić? Z wojskiem żartów nie ma.

- Wojska też jeszcze nie ma - zwrócił uwagę pilot, żywo zainteresowany rozwojem sytuacji. - No dobra, ruszmy się, okazujemy przyjacielskie zamiary...

- Tak jest, tak jest! - przyświadczył gorączkowo socjolog. - Podejdźmy bliżej do ludzi!

- Pan odstawia ten odkurzacz, bo znów uciekną - ostrzegł grafik. - Za cholere nie wiem, jak się okazuje przyjacielskie zamiary. Wrogię, to

jeszcze, można pięścią wygrażać, ale przyjacielskie...?

- Możesz czule cmokać - mruknął satyryk.

- Przecież nie usłyszą...!

- Ach, Boże drogi! - jęknął socjolog, nagle straszliwie zmartwiony.

- Co się stało? - zaniepokoił się doradca do spraw technicznych.

- Szczegóły... Czas trwania...

Okres reakcji... Jezus Mario, przecież ja nie mam żadnych możliwości robienia notatek...!

Teraz dopiero wyszły na jaw drobne błędy. Socjolog nie tylko nie miał szans na notatki, niedostępny był mu także zegarek. Upływ czasu mógł oceniać wyłącznie na oko i wyczucie, spragniony zaś był ścisłości. Na chwilę prawie wpadł w rozpacz.

Równocześnie doradca do spraw technicznych uświadomił sobie, że sam, osobiście i dobrowolnie, wykluczył możliwość porozumienia się z personelem towarzyszącym. Nie istniał żaden sposób, w jaki mogliby odezwać się do kolegów, chociażby z zaleceniem sporządzania notatek dla socjologa. W razie jakichkolwiek kłopotów własnych astronauta byli bezsilni. Słuchawki, w

których rozlegał się ich głos, posiadał wyłącznie automatyczny podnośnik, gdyby miał je na uszach cały czas, mógłby ewentualnie dać znać specjalnemu człowiekowi sekretarza redakcji, ale primo, zarazem dałby znać wszystkim przypadkowo nastawionym na jego długość krótkofalowcom, a zatem całemu światu, a secundo, w słuchawki na jego uszach doradca do spraw technicznych mocno wątpił. Nie korespondowały z dynią, miał się ubrać w dynię, słuchawki zatem zdjął... Napluł sobie w brodę i polecił się opiece opatrności.

- Sam pan chciał robić za istotę -  
wytknął socjologowi satyryk.

- No tak, no tak... Nie pomyślałem wcześniej...

- A że pański dyrektor nie pomyśli także i później, za to głowę dają. Dyrektorów mamy nie od myślenia.

- Ale to jest zastępca!

- A, zastępca. No to może...

Rozpacz socjologa trwała jednakże krótko, upojenie przerosło ją bez trudu. Machnął ręką na ścisłość, pomyślał, że w ostateczności może liczyć do stu, do trzystu, do pięciu tysięcy... Zaczął nawet liczyć, ale pomylił się już przy czterdziestu.

- Ale co za reakcje...! -  
wykrzyknął entuzjastycznie.

W całości powiadomiona już o wydarzeniach ludność miasta reagowała rzeczywiście prawidłowo. Kierownik sklepu jubilerskiego, rzucając w kierunku rynku niespokojne spojrzenia, gwałtownie opuszczał żaluzje, znał bowiem życie i nie miał złudzeń. Jakikolwiek los miał spotkać powierzoną mu placówkę, na wszelki wypadek wolał być przy tym nieobecny.

- Pani Zosiu, pani zamknie od tyłu - polecał stanowczo ekspedientce. - I sztaby niech pani założy. Ja pani zaraz pomogę. Żeby potem nie było, że sklep nie został zabezpieczony. Pani Zosia

była posłuszna.

- Co wywiesić, remanent czy przyjęcie towaru?

- Remanent. Niech sobie nikt nie wyobraża, że tu jest jakiś towar. Diabli wiedzą, czy oni nie potrafią czytać. Pani wie, jak to jest, jakby co, to będzie na nas. Pani zawoła kogo, musimy mieć świadków, że wychodzimy z pustymi rękami... O, tam siedzi kierownik SANEPID-u, tam, za śmietnikiem. On partyjny. Pani leci po niego, niech tu przyjdzie i patrzy...

Kierownik SANEPID-u zgodził się porzucić swój szaniec, ale patrzył głównie w stronę rynku. Gotów był

zaświadczyć wszystko pod warunkiem, że nie przeszkodzi mu to w ucieczce w razie rozwoju kataklizmu.

W Radzie Narodowej sekretarka przewodniczącego, ciężko dysząc i podzwaniając zębami o szklanę z wodą, pólleżała na krześle. Jej zwierzchnik trzymał się za głowę i wydawał z siebie żalosne jęki.

- I to w takiej chwili...! Akurat teraz...! To się trzeba jakoś ustosunkować...! A sekretarza nie ma...!

1 nie wiadomo, jaki u nich ustrój...

Oderwał nagle ręce od głowy.

- Mówili co? - spytał chciwie.

- Nic nie mówili, wyleźli i stali koło tej maszyny - odparła potwornie zdenerwowana sekretarka. - Ja tam więcej nie idę, ja się boję!

- Może to jaka propaganda amerykańska? Kulturalno-oświatowy powinien się tym zająć! Gdzie on jest?!

- Już tam poleciał. Wszyscy poleciecieli. - Sekretarka podniosła się z krzesła, dołała sobie trochę wody, wypła ją i odetchnęła. - Ma pan rację, nieszczęście z tym sekretarzem. Ale na takie coś to może go wypuszczą ze szpitala? Operacji przecież jeszcze nie zrobili.

Przewodniczący ożywił się nagle.

- Nie zrobili, mówi pani...? No tak, przecież nie chciał! Pani Helenko, idziemy tam!

- Na rynek...?! Za nic...!!!

- Na jaki rynek, do szpitala! Może go wypuszczą...

Przewodniczący poderwał się od biurka, ale nic więcej nie zdążył uczynić, bo do pokoju wpadł instruktor kulturalno-oświatowy, blady i z wielce wzburzonym obliczem.

- Atakują! - krzyknął dramatycznie.

- Rzucili się na straż pożarną! Mają

takie miotacze i gaz się wydziela!

Sekretarka z krzykiem runęła w kąt pokoju, usiłując ukryć się za szafą. Przewodniczący Rady Narodowej padł z powrotem na fotel i znów z jękiem chwycił się za głowę.

- Jezus Mario, koniec świata! Musiało to na nas trafić...? Może już na całym świecie lądują... Dużo osób zginęło?

- Nie wiem, możliwe, że niedużo, bo wszyscy uciekli. Straż pożarna też. Tu była taka rura...

Kulturalno-oświatowy odepchnął krzesło, przewrócił wieszak i usiłował

odsunąć szafę, w czym zdecydowanie przeszkadzała mu wciśnięta z drugiej strony sekretarka. Przewodniczący zerwał się z miejsca i jął szarpać go za ramię.

- I sekretarza nie ma!!! - jęczał z bezgraniczną rozpaczą. - Niech pan słucha... Na cholere panu rura, do diabła?!

- Jakaś broń trzeba mieć, nie?

- Pan zostawi broń, do ciężkiej zarazy! Dużo pan zwojujesz tą rurą! Chodź pan, lecimy do szpitala, bo jeszcze drogę odetną! Sekretarz się tym powinien zająć, ja odpowiedzialności nie biorę! Zostaw pan tę szafę, do

wszystkich diabłów! Chodź pan!!!

Gwałtowne nalegania, w czasie których z trzaskiem zleciała na podłogę stojąca na słupku palma, oderwały wreszcie kulturalno-oświatowego od poszukiwania broni. Obaj panowie wybiegli, pozostawiając pokój w stanie ruiny i sekretarkę w stanie hysterii.

Problem przewodniczącego Rady Narodowej polegał na tym, iż sprawujący faktyczne rządy w mieście sekretarz POP-u, czyli Podstawowej Organizacji Partyjnej, bez którego nie podejmowano żadnych decyzji i na którego można było przerzucić wszelką odpowiedzialność, przebywał właśnie w szpitalu z rozpoznaniem kamicy

nerkowej. Cały personel lekarski, przy intensywnej pomocy rodziny sekretarza, usiłował nakłonić go do wyrażenia zgody na operację, chory zaś protestował wszelkimi siłami. Próżno tłumaczono mu na różne sposoby, iż posiadany przez niego gatunek kamienia sam z siebie za żadne skarby świata nie opuści organizmu i trzeba go wyjąć przemocą, próżno straszono okropnymi skutkami zwłoki, próżno prezentowano optymistyczne i pouczające przykłady udanych zabiegów. Sekretarz POP-u trwał przy swoim, zajmując łóżko w szpitalu, dezorganizując pracę Rady Narodowej i cierpiąc katusze.

W szpitalnej ciszy, męczonej

wyłącznie przeraźliwymi brzękami naczyń kuchennych i urządzeń transportowych, narastał powoli niezwykły, niespokojny gwar odmiennego rodzaju, który dotarł wreszcie do uszu myjącego ręce lekarza. Lekarz mył ręce już przeszło piętnaście minut zupełnie bez potrzeby, nie miał bowiem zaplanowanej żadnej operacji. Zastanawiał się jednakże nad tym, czy by nie należało skontaktować sekretarza POP-u z jakimś znachorem, i rozmyślał o tym tak intensywnie, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Nasilający się nietypowy gwar oderwał go od rozważań. Przez otwarte na korytarz drzwi ujrzał pielęgniarkę.

- Co się tam dzieje? - spytał. - Co to za hałasy w szpitalu? O co chodzi?

Pielęgniarka miała jakiś dziwny wyraz twarzy. Zatrzymała się.

- Nic w ogóle nie rozumiem - odparła z zakłopotaniem. - Podobno na dworcu PKS wylądował pojazd kosmiczny.

Lekarz zainteresował się żywo.

- Radziecki czy amerykański? - spytał z zaciekawieniem i zaczął wycierać ręce.

- Kiedy właśnie podobno w ogóle jakiś obcy. Z innej planety.

- U nas, w Garwolinie? - zdumiał się lekarz. Przez chwilę patrzył na swoją pracownicę z wyrazem niesłychanego zaskoczenia, po czym zreflektował się nagle. - Co za bzdura! Pojazd z innej planety! Idiotyzm. Pewno film kręcą, a ludzie zaraz brednie opowiadają.

- Kiedy nie - powiedziała coraz bardziej zakłopotana pielęgniarka. - Wcale nie ma filmu. W ogóle nikogo nie ma. Naoczni świadkowie mówią, że wysiedli jacyś całkiem niepodobni do ludzi i rzucili się na straż pożarną. I w ogóle wszystko jakieś dziwne...

Lekarz zawahał się i spojrzał na nią niepewnie.

- Niemożliwe - powiedział bez przekonania. - Z innej planety...?  
Nonsens! Chociaż... Diabli wiedzą...  
Coś by się o tym wiedziało, gdyby do nas lecieli...

Pielęgniarka spojrzała dziwnie.

- No tak - zgodził się lekarz. -  
Mogli ukryć, nie słuchałem ostatnio Londynu ani „Wolnej Europy”... -  
Bardzo trzeszczy...

- Wzmocnione zagłuszanie...? Coś w tym może być... Może to i dobrze, że jeszcze nie zrobiliśmy tej operacji.  
Sekretarz POP-u...

Sekretarz POP-u uniósł się

właśnie na łóżku i z nie skrywanym przerażeniem patrzył na przejętą i zdenerwowaną salową.

- Co pani powiedziała? - spytał niespokojnie. - Jakież przyleciały z kosmosu? Czy to pewne?

- Jak amen w pacierzu - przyświadczyła salowa i łupnęła się pięścią w rozległą klatkę piersiową. - Żebym skonania nie doczekała! Nadleciało takie świecące, srebrne, i wysiadły z tego takie tyż świecące, jak ropuchy, nie wiadomo, co to takiego. Nie ludzie, nie. Ogniem bryzgają. Nic nie mówią całkiem, tylko warczą do ludzi, a straż pożarną przegoniły...

- A co tam straż pożarna robiła na rynku? - spytał sekretarz podejrzliwie.

- Ano ludzie wezwały, bo bryzg taki szedł, takie ognie, i mogło się co zapalić, ale nic się wcale nie zapaliło, tylko te świecące wylazły, ryje takie mają po kolana...

Rozważania lekarza i pielęgniarki na temat przydatności sekretarza POP-u w chwilach ważnych wydarzeń dziejowych przerwał zniecierpliwiony ryk.

- Siostro...!!! - wrzeszczał pacjent, aż szyby drżały. - Siostro...!!!  
Prędzej...!!!

- Co pan...?! - przestraszyła się  
salowa.

- Siostro...!!! - darł się sekretarz  
POP-u. - Prędej!!! Natychmiast  
operację!!! Narkozę...!!!

Niebotycznie zdumieni i  
zaskoczeni, lekarz i pielęgniarka  
poniechali wszelkiej myśli o kosmosie,  
innych planetach i ukrywaniu przez  
władze rozmaitych informacji. Personel  
medyczny stłoczył się w drzwiach  
hałaśliwej separatki. Kamiennie  
dotychczas oporny pacjent zdecydował  
się poddać zabiegom leczniczym,  
domagając się ich w trybie  
przyśpieszonym. Do operacji wszystko  
było przygotowane i nic nie

przeszkadzało przystąpić do niej w każdej niemal chwili, nagła odmiana poglądów chorego obudziła jednakże powszechne zainteresowanie.

- Przecież pan się nie zgadzał? - zauważyła z wahaniem dyżurna pielęgniarka.

- Ale już się zgadzam! Zgadzam się natychmiast!!! Za pół godziny będzie za późno! Narkozę dawać! Natychmiast narkozę...!!!

- Ależ co pan...? Narkozę dostanie pan na stole...

- Na żadnym stole!!!  
Natychmiast!!! Dłużej sobie pośpię...!

- Będzie pan rzygał - ostrzegł lekarz brutalnie.

- To będę! Chcę rzygać! Lubię rzygać!!! Po mnie tu już lecą! Ja nie będę reagował, żeby potem wszystko było na mnie! Nic nie wiem o żadnych pojazdach, pluję na pojazdy!!! Ja jestem ciężko chory, ja żądam operacji natychmiast!!! Ja żądam narkozy!!! Niech mnie siostra uśpi!!!

Dziki ryki, których nic nie było w stanie przerwać, spowodowały, że anestezjolog przystąpił do swoich czynności wcześniej niż zazwyczaj. Żądania sekretarza POP-u spełniono tylko po to, żeby go wreszcie uciszyć. W chwili kiedy przewodniczący Rady

Narodowej z instruktorem kulturalno-oświatowym wbiegali kłusem w progi szpitala, interesujący ich pacjent spał na stole operacyjnym z błogim wyrazem twarzy...

Kierownik szkoły prowadził lekcję matematyki, kiedy za drzwiami rozległ się jakiś hałas, okrzyki i zamieszanie. Kierownik przerwał wyjaśnienia, z naganą i niezadowoleniem patrząc na drzwi. Drzwi otwarły się gwałtownie i do klasy wpadł osobnik dorosły, niesłychanie przejęty.

- Panie profesorze, prędko, niech

pan idzie! - krzyknął gorączkowo. - Na dworcu PKS wylądowali Marsjanie! Mówią, że nie ma jak się z nimi dogadać, trzeba matematycznie! Rysować im te tam takie, pan rozumie, trójkąty! Prędko!

- Spokój proszę! - powiedział odruchowo kierownik w stronę klasy, która jakby na moment skamieniała. - Proszę pana, co to za niesmaczne dowcipy...

- Ale jakie tam dowcipy, w życiu bym się nie ośmielił! Jak Boga kocham, święta prawda!

Za plecami osobnika ukazał się zziębnięty wyrostek.

- Panie profesorze, jakieś takie na rynku! Całkiem nieludzie! Żadną mową nie gadają, tam wszyscy mówią, że tylko matematycznie, pan profesor prędko leci, bo nikt nie umie!

Matematyk spojrział z niedowierzaniem i zawahał się.

- No, jeśli to są żarty... - zaczął groźnie.

- Żarty, akurat! - prychnął chłopak i popędził z powrotem.

Osobnik dorosły przytupywał niecierpliwie w progu. Przez klasę szedł już prąd dzikiej emocji. Matematyk uczynił jakiś niezdecydowany gest, po

czym rzucił się ku wyjściu. Z korytarza zawrócił, chwycił kilka kawałków kredy i popędził za wysłańcami. Młodzież opuściła szkołę jeszcze szybciej, częściowo drzwiami, a częściowo oknem.

Do mieszkania na peryferiach Garwolina wpadła czternastoletnia dziewczynka, straszliwie zdyszana.

- Mamo, Marsjanie! - wrzasnęła. -  
Stoją koło PKS-u! Takim czymś  
przyjechali!

- Autobusem? - spytała z  
zaciekawieniem matka dziewczynki,

przerywając obieranie kartofli.

- Ale gdzie tam! Takim srebrnym, z góry nadlecieli i wylądowali na rynku! Mama idzie zobaczyć! Prędko!

- Co ty mi tu za głupoty opowiadasz! - zirytowała się matka. - A w ogóle co ty tu robisz? W szkole masz być!

- Całą szkołę rozpuścili, kierownik też poleciał! Będzie im rysował geometrię! Ludzkiego języka nie znają!

Udział w imprezie kierownika sprawił, że matka uwierzyła. Zdenerwowała się, porzuciła kartofle i

zerwała się z miejsca.

- Jezus Mario., dopust boży!

Czekaj, gdzie lecisz?! Bierz siatkę!

Czekaj, bierz drugą...!

- Po co?

- Bierz, mówię ci! Jezusie

Nazarejski, gdzie ja mam porponetkie...?

Cukru trzeba kupić i mąki! Marsjanie, a

tu żadnych zapasów...! I spirytusu...!

Miotając się jak oszalała po mieszkaniu, chwyciła torbę, portmonetkę, wybiegła do sieni i załomotała pięścią w sąsiednie drzwi.

- Pani sąsiadko! Pani Kaparowa!

Sądny dzień będzie, Marsjany przyleciały! Ja lecę kolejkę zająć w spółdzielni...!

Komendant MO nerwowo dopinał pas i poprawiał kaburę.

- Dzwóńcie do Warszawy, do Komendy Głównej - mówił do sierżanta.  
- Marsjanie to już ich sprawa, nie nasza. I dzwońcie na wszystkie posterunki dookoła, jak leci, niech przysyłają ludzi, nie wiadomo, co tu jeszcze będzie. Do Lublina też dzwońcie.

- Jakby co, to strzelać? - spytał sierżant ze słuchawką w rękę i wciąż z

wyrazem osłupienia na twarzy.

- Niech ręka boska broni! -  
przeraził się komendant. - Nawet w  
ostateczności nie strzelać! Jakby, nie daj  
Boże, trzecia wojna światowa, to będzie  
na nas! Wezwać straż pożarną... Chociaż  
nie, straży podobno nie chcą... Ale  
wojsko! Chociaż nie, wojska nie  
wzywać! Tylko zawiadomić! Jak mają  
przyjechać, to na własną  
odpowiedzialność...!

Z kościoła wyszedł ksiądz i dążył  
w kierunku rynku, dookoła niego zaś  
leciało kilka ogromnie zdenerwowanych  
bab. Ksiądz szedł niechętnie i z

wahaniem.

- Pośmiewisko z siebie zrobię - mamrotał pod nosem z wielkim niezadowoleniem. - To tak, jakby kto wyświęcał tramwaj. Co za ciemny naród...

- Bo jak to jakie mamidło piekielne, to po wyświęceniu zniknie - przekonywała zdyszana baba.

- A już nijakiej mocy nie będzie miało!

- A jak cały naród wymordują, w kamień i wodę zamienią, to już chociaż po chrześcijańsku skonać - dyszała pobożnie druga.

- Jeśli to rzeczywiście istoty z innej planety, mogą w tym ujrzeć jakąś napaść, albo co - mrucał z niechęcią ksiądz. - Daj to...

Odebrał kłusującemu obok ministrantowi kropidło i nie zwalniając kroku, jął kropić wszystko dookoła. Po drodze poświęcił operatora kroniki filmowej. Dotarł do rynku i zawahał się.

Srebrny pojazd stał nadal, świetlisty krąg powoli wirował nad nim, tłum trwał dookoła, zapatrzony w zjawisko. Wszyscy spłoszeni wracali już na rynek i wyłazili z ukrycia. Dwa kosmiczne potwory pilnowały swojej maszyny, trzy pozostałe nawiązywały kontakt z ludnością.

Nauczyciel matematyki rysował kredą na kocich łbach twierdzenie Pitagorasa. Rysował je tak już piąty raz, coraz to dalej, usiłując przemieścić istotę z przestrzeni z nierównego środka rynku na nieco równiejszy chodnik, co wyglądało trochę tak, jakby wabił kurę. Istota posłusznie człapała za rysunkiem, za nią lazły dwie następne. Dotarłszy wreszcie do płyt chodnikowych, nauczyciel rozpoczął właściwy eksperyment. Do dwóch boków trójkąta dorysował kwadraty, spojrział pytająco i zachęcającym gestem wyciągnął rękę z kredą. Trzy potwory, z trudem zgięte ku przodowi, przez chwilę wpatrywały się w chodnik, po czym zbliżyły ku sobie

baniaste łby.

- Co on chce, żeby zrobić? - spytał niespokojnie socjolog głosem, na wszelki wypadek, zniżonym.

- Twierdzenie Pitagorasa - odparł również z niepokojem doradca do spraw technicznych. - Trzeba dorysować trzeci kwadrat. Tyle to ja umiem, ale jeśli przejdzie do matematyki wyższej...

- Niech pan na razie dorysuje ten kwadrat!

- Jak? Przecież się nie schylę!

- No weź to - mówił łagodnie nauczyciel. - No weź to. Nie bój się...

Wszystkie oczy zwrócone były na scenę, rozgrywającą się pomiędzy pedagogiem a przybyszem z kosmosu. Zemocjonowany tłum dzielił się uwagami, po większej części szeptanymi, żeby nie zagłuszać możliwych zaziemskich dźwięków.

- Łazą jak pokraki...

- Niewzyczajone. Może być, że u siebie nie na łapach chodzą, tylko czym jeżdżą.

- Wysportowane to nie są - ocenił krytycznie miejscowy bramkarz.

- Ale przyleciały, nie...?

- Po rusku z nimi ktoś próbował?

- Panie, po rusku, po angielsku, po niemiecku, fryzjer nawet po francusku zagajał, wszystko na nic. Słuchają jak głąby i nic!

- Kierownik apteki po łacinie do nich mówił!

- A co mówił?

- Różne lekarstwa wymieniał, bo więcej nie umie, ale też na nic...

- Może trzeba po chińsku...?

- Panie, co pan...? Rany boskie!

- Ludzie, zobaczcie, czy oni aby nie żółte tam w środku...!

- Sama pani sobie zobacz!

- To już prędzej po japońsku, bo te kitajce ostatnio różne takie rzeczy robią...

- Kierownik gieesu był w Wietnamie! Niech kto skoczy po niego!

- Na nic, panie, oni w ogóle po ludzku nie mówią...

- Patrz pan! On coś robi!

Potwór z pewnym wysiłkiem wyjął srebrną łapą kredę z ręki

nauczyciela, zbliżył się do ściany budynku, narysował na niej skośną kreskę, odpowiadającą trzeciemu bokowi trójkąta, po czym dorysował do niej resztę kwadratu. W tłumie rozległy się oklaski. Nauczyciela dopadł nagle szaleńczo przejęty historyk.

- Operują skrótami myślowymi - mówił gorączkowo. - Wyższa inteligencja! Trzeba im narysować układ słoneczny i w ogóle galaktykę, może pokażą, skąd przylecieli. To może być myśl zamieniona w energię! Niech pan rysuje!

- Układ słoneczny mogę, ale reszty na pamięć nie umiem - odparł zakłopotany nauczyciel. - Wolałbym

matematycznie...

Wyciągnął z kieszeni drugi kawałek kredy i przystąpił do pisania po ścianie.

- Zachowują się jak krowy - powiedział z irytacją pozostały przy pojeździe satyryk do pilota. - Ludzie klaszczą, a oni nic. Debile!

- A co powinni zrobić? - zaniepokoił się pilot. - Kłaniać się?

- Pan też chyba zgłupiał. Przeciwnie, przestraszyć! No niech pan sobie wyobrazi, poleciał pan na jakieś tam Alfa Centauri, nawiązuje pan stosunki pozornie przyjacielskie, a tu

nagle za panem obce dźwięki. Zgrzyty, kwiki, albo co. Przynajmniej by się pan zaniepokoił!

- Popatrzyłbym - zgodził się pilot.

- Jaki mają wyraz twarzy...

- A może oni w przypiływie życzliwości warczą i szczerzą zęby? Albo plują? Nie musi pan oceniać prawidłowo!

Pilot zrozumiał problem.

- Cholera. Ma pan rację. Ale może dać im do zrozumienia, że ich znamy, bo już tu byliśmy potajemnie. Wiemy, że klaskanie to aprobata...

- Niby można, tylko jak...?

Pilot w zakłopotaniu bezwiednie poruszył podwoziem samochodu, przejechał kawałek tam i z powrotem i zagrzechotał.

- Podejść kawałek i powiedzieć im? Ta nasza akustyka ma zasięg piętnaście metrów.

- Zaraz, tu mamy obowiązki...

Ksiądz umoczył kropidło w wodzie święconej, niesionej przez ministranta, i uroczyście zbliżył się do srebrnego pojazdu. Pilnujące go potwory nie protestowały, jeden z nich tylko wysunął przed siebie niewielki

błyszczący przyrząd, który zaterkotał głośno i zamilkł. Ksiądz cofnął się nieco, po czym zamaszystym i zdeterminowanym gestem pokropił srebrzystą maszynę, Marsjan i ludzi wokół. Kilkanaście osób w tłumie pokłekało i zaczęło się żegnać.

Sekretarz redakcji z mikrofonem w rękę i błogim szczęściem w duszy tkliwie obserwował scenę wyświęcania z bliskiej odległości. Za łokieć chwycił go nagle jakiś facet.

- Pan jest może dziennikarzem? - spytał pośpiesznie i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: - Wszystko jedno zresztą, pan ma mikrofon, proszę pana, to trzeba nagrać!

- Które? - spytał sekretarz redakcji, odrobinę zdezorientowany.

- Ten terkot. Słyszał pan? Ta maszyna wydaje jakieś dźwięki! To może coś oznaczać, to może być ich mowa, to trzeba zbadać! Niech pan idzie!

Sekretarz redakcji gwałtownie zaprotestował, usiłując mu się wyrwać.

- Ależ co pan, panie...! Na nierównościach grzechocze... Na co to komu...

- Niechże pan nie stawia przeszkód! - upierał się z naganą facet,

ciągnąc sekretarza redakcji w kierunku Marsjanina. - Pan utrudnia postęp nauki! On się zaraz poruszy... Niżej, niżej... No...!

Potwór z kosmosu przesunął lśniący przyrząd z głośnym grzechotem. Zaskoczony i nieco ogłupiały sekretarz redakcji, szarpany przez podnieconego osobnika, zbliżył mikrofon do przyrządu. Potwór uprzejmie przysunął przyrząd do mikrofonu.

Sekretarz redakcji, niezdolny oprzeć się presji, starannie nagrywał na taśmę terkot podwozia dzieciennego samochodu...

Nauczyciel napisał na murze

budynku wzór matematyczny i odwrócił się wyczekująco. Doradca do spraw technicznych zbliżył dłoń ku ścianie. Stojący obok grafik gwałtownie pochylił się ku niemu i wyrzucił hełmem w jego banię.

- O rany! - jęknął doradca do spraw technicznych. - Co robisz, ogłuszyłeś mnie!

- Co ty chcesz zrobić? - spytał grafik ostrzegawczo.

- Napisać mu byle jaki inny wzór...

- Zwariowałaś?! Przecież nie znamy tego alfabetu! Rysuj coś, nie pisz!

I niech ci nie strzeli do głowy greckim,  
też go nie znamy!

- Kiedy nie wiem, co rysować.  
Tales odwalony, ja już nie pamiętam  
więcej tej geometrii...

- To mu narysuj budowę atomu...

Doradca do spraw technicznych  
zastanowił się, kiwnął banią, zbliżył się  
znów do muru i na poziomie własnego  
żołądka jął rysować skomplikowane  
elipsy. Nauczyciel wpatrywał się w to z  
napięciem...

Socjolog przyglądał się małej  
dziewczynce, stojącej w tłumie i  
jedzącej jabłko. Dziewczynka schowała

się za dorosłymi ludźmi.

- Może on głodny? - powiedział ktoś.

- E tam, głodny! Pewno w ogóle nie wie, co to jest...

Ktoś inny wypchnął dziewczynkę ku przodowi.

- Nie bój się, dziecko, pokaż mu, jak się u nas je...

- Pan zostawi dziecko, jeszcze jej co zrobi! Sam niech mu pan pokazuje!

- Słoń dorosłego skopie, a dziecka nie ruszy!

- Panie, przecież to nie słoń...!

Jakiś młody facet z jabłkiem w rękę wysunął się przed dziewczynkę.

- Ty, patrz - powiedział, pożerając jabłko. - U nas to tak się robi, o, widzisz? Żarcie, rozumiesz?

Zachęcająco wysunął ku zaziemskiej istocie rękę z drugim jabłkiem.

- Na, weź, nie bój się, weź...

Potwór z Marsa po pewnym wahaniu przyjął owoc. .Po chwili już kilkanaście osób przed nim demonstracyjnie jadło jabłka. Ktoś

wyciągnął kawałek kiełbasy.

Socjolog miał w oczach łzy rozczulenia, czego na szczęście na zewnątrz nie było widać. Przepełniały go doznania wzniosłe, zachwyty, euforia, miłość do tego cudownego społeczeństwa, które tak życzliwie traktowało obcego stwora z innej planety, i nawet uczucie potężnego głodu nie przeszkadzało mu napawać się wymarzoną chwilą. Nie wiedział tylko, co ma zrobić z otrzymanym jabłkiem. Spożycie go odpadało, schować nie miał szans, upuszczenie na ziemię mogło wydać się niegrzeczne i nadwerężyć doskonałe stosunki. Trzymał je w srebrnej łapie i pocił się przeraźliwie

nie tylko z gorąca, ale także z zakłopotania, aż wreszcie błysnął mu pomysł.

Odwrócił się, poczłapał ku maszynie i wręczył jabłko pilotowi, którego rozpoznał po rodzaju broni. Pilot przyjął podarunek.

- I co mam z tym zrobić? - spytał niepewnie.

- Nie wiem. Niech pan może ogląda, jako niezwykłość. Widzi pan sam, jakie mają podejście, słowiańska gościnność, nie możemy ich rozczarować!

- Dobra. Jakby dali kiełbasę, niech

pan też bierze...

Na poczcie kłębił się tłum, wszyscy równocześnie usiłowali zamawiać rozmowy błyskawiczne z różnymi miastami. Wygrany był facet, który wpadł na ten pomysł pierwszy. Przedarł się na zewnątrz, poprawił na sobie przekręconą odzież i z satysfakcją popatrzył na kłębowisko. Pół godziny wcześniej wrzeszczał do słuchawki:

- Jak Boga kocham! Mówię ci, że to prawda! Nie jestem pijany, w ustach nic nie miałem, własnymi oczami na to patrzę! Wsiadaj w cokolwiek, pociąg, samolot, samochód,...! Draka nie z tej

ziemi! Nie wiem, jest telewizja i kronika, ale oni przypadkiem, pytałem... Prasy chyba jeszcze nie ma, zaraz pewno nadlecą z Warszawy! Co...? Rysują na budynku figury geometryczne! Nie, nie ludzie, mówię przecież! Nie wiadomo skąd, podobno z kosmosu...!

W Gdańsku, w redakcji dziennika, odłożył słuchawkę osobnik z ogłupiałym wyrazem twarzy. Rozejrzał się po otoczeniu.

- Pojazd kosmiczny wylądował w Garwolinie - oznajmił, wyraźnie wstrząśnięty. - Mój brat dzwonił...

- Jaki pojazd kosmiczny? - zaciekał się sprawozdawca sportowy.

- Amerykański?

- Nie, podobno w ogóle nie nasz.  
To znaczy, nie z Ziemi. Nie wiadomo  
skąd.

Na chwilę zapadła cisza.

- Twój brat jest całkiem zdrowy? -  
spytał troskliwie krytyk teatralny.

- Jak byk. I w zasadzie nie pije.  
Teraz też był trzeźwy...

Wszyscy gapili się w milczeniu  
przez parę sekund. Potem zaczęli mówić  
równocześnie.

- Przybysze z kosmosu...?

- W Garwolinie? Dlaczego w Garwolinie?!

- A dlaczego nie? Jeśli z kosmosu, to im chyba ganc pomada, gdzie lądują!

- E tam, balona z ciebie zrobił!

- Kiedy przysięgał, że nie, że to fakt, na własne oczy widział i cały czas patrzy...

- Niemożliwe. Gdyby w ogóle cokolwiek do nas leciało, już by zauważyli. Dawno byśmy mieli informację!

- W duchy wierzysz...?

- A czy ja mówię, że od  
naszych...?

- Może się tam gdzie zaplątał  
między sputnikami i przeoczyli...

- Jedni i drudzy ukryli  
wiadomość...

- Może tak szybko przeleciał, że  
nie zdążyli rozpowszechnić... ?

- Bzdura! Pomyłka albo pić na  
wodę! Wszystkie badania wykazują...

- Pocałuj ty mnie w badania! Już  
miałaś Miczurina i Łysenkę!

- Kochani - mówił rzewnie i

marząco sprawozdawca od połowów i rekordów rybackich. - Gdyby coś takiego faktycznie nadleciało... Te obrazki Majów i Azteków... Inne życie...

- Albo wysoko rozwinięty komunizm... - podsunął kąśliwie krytyk teatralny.

- Coś tam w każdym razie chyba nadleciało i na tym rynku siedzi...

- Ale przecież nie z kosmosu, kretyństwo, kto uwierzy w takie brednie, pomyłka w lądowaniu sputnika, to jeszcze, błąd w nawigacji...

- Zamknijcie te głupie gęby!!! - wrzasnął okropnie odbiorca telefonu. -

Mój brat mówi, że oni z tego wysiedli!!!

- No to co, że wysiedli...

- Z każdego czegoś wysiadają...

- Ale on mówi, że to nie są ludzie...!!! Znów zapanowała cisza.

Nagle poderwała się z krzesła specjalistka od wywiadów z naukowcami.

- Mój mąż...!!!- krzyknęła zdławionym głosem.

- Co twój mąż...?

- On to widział! Mówił dziś rano!  
Widział w nocy! Leciało w stronę

## Garwolina...!!!

W ciągu trzech minut wydarto z żony lekarza wszystkie informacje, jakich udzielił jej mąż razem z zającem. Komunikat z Garwolina nabrał cech prawdy.

- I dopiero teraz to mówisz, ty kretynko! - zawołał z oburzeniem sprawozdawca sportowy.

- Ona w ogóle nie rozumie, o czym się dyskutuje...!

- Odczepcie się! Nie słuchałam! Zajęta jestem! Z jednego akapitu mam zrobić trzy szpalty...!

- Wszystko jedno, cokolwiek to jest, na wszelki wypadek trzeba zobaczyć! Jazda, może jeszcze zdążymy!

W mgnieniu oka redakcja opustoszała. Cztery osoby wepchnęły się do opla sprawozdawcy sportowego, który wystartował z wizgiem opon. Żona lekarza odetchnęła i zabrała się do roboty.

Eksperymenty międzykonstelacyjne na rynku garwolińskim nie tylko trwały, ale rozwijały się ku powszechnemu zainteresowaniu. Sekretarz redakcji i fotoreporter odnaleźli się wzajemnie i

stali w grupie ludzi w pobliżu pojazdu kosmicznego. Do srebrzystej maszyny ostrożnie zbliżyło się dwóch najodważniejszych strażaków bez hydrantów, z pustymi rękami, ale za to w azbestowych kombinezonach.

Jeden z pilnujących potworów odwrócił się ku nim i znów popchnął przed sobą terkoczącą maszynę. Strażacy zatrzymali się, potwór również. Strażacy uczynili ruch ku przodowi, potwór także uczynił jakiś ruch i z hałaśliwej maszyny trysnęła chmura srebrnego pyłu. Strażacy rzucili się ku tyłowi.

- A mówiłem, że nie chcą, żeby podchodzić! - stwierdził z satysfakcją osobnik obok fotoreportera.

Fotoreporter opuścił aparat fotograficzny, bo już mu trochę ręce zdrętwiały.

- Suszarka do włosów i brokat fryzjerski - szepnął z podziwem do sekretarza redakcji. - Popatrz, co za efekt...! Niech się tylko człowiek nastawi, sam bym uwierzył...

- Cholera - odszepnął z irytacją sekretarz redakcji. - Musiałem nagrać ten rzęgot, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Nieznacznym ruchem uniósł mikrofon, bo rozmowy wokół nich nie milkły.

- Ciekawe, czy to w ogóle istoty żyjące? - mówił z ożywieniem stażysta od weterynarza. - Bo może przyleciały automaty?

- Automaty w takich kombinezonach? Muszą być ludzie, znaczy nie ludzie, ale coś żywego. Nasza atmosfera pewno im szkodzi...

- A pewnie! Smrodzą z tych autobusów, że udusić się można!

- Dziwne, że nie ma radia i telewizji...

- Coś pan! Telewizja jest już dawno i nawet kronika, za rogiem stoją!

- Jak na Marsjan, to mało...

- To nie Marsjanie, na Marsie nie ma ludzi!

- Nie wszystko panu jedno? Grunt, żeby się z nimi jakoś w końcu dogadać!

- Tu jeden gość ma krótkofalówkę, cały czas nadaje, gdzie popadnie. Całą Europę zdążył już chyba zawiadomić...!

Fotoreporter i sekretarz redakcji przypadkiem usłyszeli to zdanie. Popatrzyli na siebie z lekkim niepokojem i usunęli się na stronę.

- Cholera, trochę za wcześnie - ocenił fotoreporter. - Lada chwila

przydmucha tu coś poważnego...

- Nie tak zaraz, w pierwszej chwili nikt nie uwierzy - odparł optymistycznie sekretarz redakcji. - Powymieniają między sobą parę słów na odległość, a to musi potrwać.

Fotoreporter ożywił się nagle.

- Ty, Krzysiek, a jakby tak przeczekać chociaż ze dwa dni...? Zdjęcia, taśmy, ty masz pojęcie, jaka to forsa...?! Nie mówię, że muszą wierzyć, sama niepewność wystarczy!

Sekretarzowi redakcji rozjaśniła się twarz, ale już po trzech sekundach pokręcił głową i westchnął.

- Żadne takie. Czerpanie zysków z nierządu, znaczy tego, rozumiesz... Zanim się obejrzymy, już idziemy siedzieć.

Fotoreporter też westchnął.

- Szlag jasny, taka okazja...! - rzekł z żalem. - Ale może coś tam się uskrobie na uboczu. No dobra, to co robimy? Kończymy imprezę czy ryzykujemy i czekamy, aż kto przyjedzie? Do ostatniej chwili?

- Ja bym zaryzykował. Trzeba tylko uprzedzić Olszewskiego, niech on z nimi gada, jakby co, powie prawdę, bo i tak bez dementi się nie obejdzie. Wykorzystajmy okazję do końca!

Fotoreporter rozejrzał się po rynku.

- Olszewski płacze się tam - rzekł, wskazując ruchem brody zastępcę dyrektora Ośrodka, który, rozanielony, na wszystkie strony zadawał rozmaite pytania i bez żadnego wysiłku, po raz pierwszy w życiu, uzyskiwał prawdziwą opinię społeczeństwa. Z notowania zrezygnował, bo i tak nie mógł nadażyć, więc nikogo nie płoszył, usiłował tylko wszystko zapamiętać.

Sekretarz redakcji z fotoreporterem przepchnęli się do niego. Bez sekundy namysłu poparł zdanie sekretarza, wykorzystać okazję do końca!

- Panie, czyś pan zwariował?!!! -  
ryczał dyspozytor dworca PKS. - Pan  
ma trzy i pół godziny spóźnienia!!!  
Wszystkie telefony zablokowane!!! Ja  
mam gdzieś istoty z kosmosu i cały  
kosmos!!! Jedź pan, do ciężkiej  
cholery!!!

- Kto nie ma spóźnienia? -  
uspokajał go kierowca, nie odrywając  
chciwych oczu od srebrnej maszyny i  
pękatek stworów. - Wszyscy mają. A w  
ogóle kto panu teraz stąd odjedzie?!

- Co to pana obchodzi?! Leć pan  
pustym wozem! Warszawa czeka na

autobusy!!! Telegram przysłali, bo się nie mogą dodzwonić!!! Lublin też!!! Rany boskie, kurza wasza plazma z galaktyki, jedź pan!!! Jedźcie wszyscy, zaraza na was morowa!!!

- No dobra, dobra, zaraz jadę...

Zupełnie pusty autobus z wyraźną niechęcią utorował sobie drogę przez tłum i ruszył w kierunku Warszawy...

Na jednej z bocznych ulic kierownik sklepu jubilerskiego konferował szeptem ze swoim szwagrem.

- Nie wiadomo - mówił pośpiesznie. - A jeśli mają minerały, to mogą mieć i złoto. Albo brylanty, albo w ogóle kamienie szlachetne. Ty wiesz, Leoś, jak to jest, kto pierwszy, ten lepszy. Mogą pojęcia nie mieć o wartości, a u nas im się spodoba na ten przykład brukowiec. Kamieni na polach jak śmiecia.

- Pewnie, racja - przyświadczał gorliwie szwagier. - Tylko jak się z nimi dogadać? Trzeba było może co zabrać i pod mordę im podetknąć...

- Gdzie, w tej kupie ludzi?

- A masz co przy sobie? Może by wziąć którego przy tej maszynie na

stronę... Franiu, jaki to może być interes...!

Kierownik sklepu jubilerskiego, rozglądając się niespokojnie dookoła, wyjął coś z kieszeni.

- No to przecież mówię, ty trąbo... Masz tu... Brylant... Ruski i nieduży, ale zawsze... Chodźmy, spróbujesz...

- Dlaczego ja? A ty sam...?

- Na mnie zaraz będą podejrzenia. No dobra, chodźmy razem...

Pośpiesznym krokiem ruszyli w stronę rynku. Szwagier kierownika zaciskał spoconą dłoń...

W spożywczym sklepie szalało piekło na ziemi. Tłum bab szturmował na ladę. Ekspedientka, ogołociwszy półki, sprzedawała towary bezpośrednio z magazynu na zapleczu.

- Pani nie waży, biorę cały worek...!

- Gdzie, co, jaki worek?! Znalazła się...! Pani nie sprzedaje więcej jak po pięć kilo! Dla innych nie starczy...!

- Gdzie się pani pchasz?!  
Kolejka!!!

- Kobity, co robicie?! Przecie oni

nic nie żrą, nawet jabłka do tego ryja nie  
wzięli...!

- A pani sama co robisz...?!

- Już, już, kochana, tera ja! Cukru  
pięć, mąki pięć, soli pięć...!

- Pani daje te kasze...!

- Co panna Hania mówi?  
Kapary...? Pani daje te kapary!  
Wszystkie dziesięć...!

- Ni ma dziesięć, dla mnie pięć...!

Burza nad Azją przybierała na sile  
w miarę ubywania towarów.  
Zaopatrzone w dość niezwykle produkty,

grube, rozczochrane, zziajane baby wyszarpywały z tłoku wypchane torby i siatki, okiem nawet nie rzucając w kierunku rynku. Wokół nich miotał się jakiś osobnik z bardzo pogniecionym bukietem zielska w dłoniach. Nie próbował dokonywać zakupów, życiu jego zatem nic nie groziło...

Pilnujący pojazdu satyryk zauważył nagle, że w jednym fragmencie rozległej widowni nastąpiło jakby lekkie zagęszczenie. Ludzie gromadzili się wokół jednego osobnika, który pokazywał coś palcem, po czym odwracali się i pilnie zaczęli wpatrywać w machinę już, zdawałoby

się, obejrzaną dokładnie i zaakceptowaną. Zaniepokoiło go to nieco i poczłapał do pilota, pilnującego drugiej strony.

- Jakiś bigos - zameldował, puknąwszy lekko głową w jego banię. - Gapią się i wytykają nas palcami. Nie wiem, o co im chodzi.

Pilot zainteresował się żywo i przeczłapał za satyrykiem na jego stronę. Społeczeństwo rzeczywiście wpatrywało się intensywnie tak jakby w górną część kosmicznego pojazdu. Zaniepokoił się również.

- Oderwało się coś...? - zaczął i nagle zgadł. - Rany Boga żywego!

## Automatyczny podnośnik...!

Ze zgrozy obaj znieruchomieli i przestali myśleć.

Zagęszczony tłum dzielił się spostrzeżeniami i uwagami.

- A coś pan myślał, że tak to luzem zostawią? Najmarniej jedna sztuka musi jeszcze być w środku!

- Ale jakoś inaczej wygląda...

- Ten przez lornetkę widział! A ten drugi z dymnika patrzy!

- Grzesiu, coś widział? Gadaj porządnie! Bez kitu!

- Jakiego kitu, na co mnie kit, jak na ludzkich oczach stoi! Ruszało się, to popatrzałem! Morda taka jak dynia, do niczego to niepodobne, za szybko się kiwa! O, stąd widać!

- Fakt, rusza się! O Jezu, i jakby błyska...!

- Ten w środku może być w naturalnej postaci - przekonywał z przejęciem kierownik stacji benzynowej. - Te, co wysiadły, to ubrane, a ten w środku goły...

- I myślisz pan, że tyłek wystawia?  
- spytał w zadumie mechanik z warsztatu wulkanizacyjnego.

- Jaki tyłek?! To morda! Mordy mają takie w naturze!

- No to przystojne nie są - skrytykowała ekspedientka ze sklepu obuwniczego.

- A pani chciałaś się za któregoś wydać...?

- Dowcipny się znalazł... Sam pan się wydawaj!

- Ciekawa rzecz, co to błyska. Może ślipiami mryga? Oczów mają jak mrówek i na wszystkie strony naraz łypią...

- Jak to jest morda, to ja nic nie

rozumieć - powiedział rozsądnie  
kierowca zakładu pogrzebowego. -  
Wielka kobyła, w te ich banie by nie  
weszła. No popatrzcie ludzie, gdzie tym  
ubranym do tamtego gołego...!

Istotnie, dynia automatycznego  
podnośnika znacznie przerastała  
rozmiarami hełmy kosmonautów.  
Żadnemu z nich nie przyszło do głowy,  
że może to obudzić zastrzeżenia  
społeczeństwa.

- Bo pewno ugnietli - zauważyła  
odkrywczo kierowniczka skupu pierza. -  
Takie to więcej gumiane i jak ugnietą  
zdrowo, to maleje.

- Mniejsze, większe, może być, że

im to wsio rawno - poparł ją konwojent MHD. - Wynalazek... E, flimon, co mnie tu do wążania wtykasz! Zabieraj te pokrzywy, bo ja nerwowy jestem!

- Nie flekuj, Gieniu - ułagodził go kolega. - Nie wal w ryja, grzecznie trzeba, zagranica patrzy. Goście przyleciały, niech widzą, że my dobrze wychowane...

Satyryk i pilot wciąż stali pod swoim pojazdem jak martwi. Przyszło im wreszcie na myśl, że automatyczny podnośnik powinien zniknąć z pola widzenia ludności, ale nie mieli żadnego sposobu, żeby go zawiadomić, jak ogromne wrażenie uczynił na mieszkańcach Garwolina. Mieli

nadzieję, że sam to spostrzeże, ale ulgi doznali dopiero, kiedy wśród zainteresowanych dostrzegli fotoreportera, a w chwilę później także i sekretarza redakcji.

- W razie czego chyba ich powstrzymają - westchnął z nadzieją pilot, pukając w banię satyryka. - A przynajmniej nas ostrzegą...

- Mogliby chociaż pomachać do tego cepa, żeby nie wystawiał pyska na widok publiczny! - zdenerwował się satyryk. - Połóży imprezę!

- Tamtym gorzej... - zauważył pilot i wskazał ruchem bani drugą stronę rynku.

Zbita gęstwa trwała przy ścianie budynku, gdzie nauczyciel ocierał pot z czoła. Doradcy do spraw technicznych dawno już zabrakło figur geometrycznych, jał zatem tworzyć, za podpuszczeniem grafika, zaziemskie pismo. Grafikowi się nie spodobało. Zbliżył banię do jego bani.

- Głupoty wypisujesz! - szepnął gniewnie. - Oddaj tę kredę, za bardzo te twoje gryzmoły podobne do naszych! Ja mam pomysł!

Doradca do spraw technicznych z wielką ulgą przekazał mu kolejny kawałek kredy. Kredy jeszcze nie

zabrakło, popędziła po nią bowiem obecna na miejscu młodzież szkolna. Wszystkie klasy zostały pozbawione materiału do pisania po tablicy, zapas dla przybyszów z kosmosu zgromadzono duży, zużywał się szybko, ale jeszcze resztki zostały.

Grafik wpadł w natchnienie.

Nauczyciel pisał  $a^2 + b^2 = c^2$ , grafik zaś, wpatrując się w to pilnie, rysował obok wężyki, trójkąciki, romby, kreski oraz różne inne kształty, trudne do określenia. Historyk nie opuszczał stanowiska, dobił do niego architekt, obaj starali się uwiecznić pismo z innej galaktyki. Grafik pokrył część muru drobnymi kropkami.

- To pan - szeptał nerwowo historyk. - Niech pan odtwarza! Pan umie rysować, ja nie, później się to zbada...

- Pan policzy te kropki, na wszelki wypadek - rozkazał architekt. - Ilość przechodzi w jakość... to jest nie, nie to chciałem powiedzieć, ilość może mieć znaczenie...

Grafik zorientował się, iż przerysowujący jego twórczość facet jest architektem, i postanowił przerzucić się na zaziemskie budownictwo. W architekcie ocknął się instynkt zawodowy. Rozpłomieniony, z wypiekami na twarzy, wiernie odtwarzał linie z muru na odwrotnej stronie

odbitek, dostarczonych mu z kontrolowanej budowy. Bezeciarz z owej budy znalazł się na rynku jako jeden z pierwszych i gorliwie służył pomocą. Historyk nie marudził, nie protestował i nie stwarzał trudności, trzymał się tylko architekta wręcz kurczowo, postanowiwszy sobie nie wypuścić z rąk bezcennych materiałów.

Szalejącego wśród tłumu sekretarza redakcji odnalazł jeden z panów, piastujących w dłoniach mocno już zdewastowane bukiety w opakowaniu z gazet.

- Panie Krzysztofie - rzekł półgłosem - tu jest jeden profesor, fizyk

zdaje się, ze swoimi... Własne zdjęcia zrobili...

Sekretarza redakcji jakby ktoś oblał zimną wodą.

- Bóg ci zapłać - szepnął. - Ktoś jeszcze co wie?

- Tam chyba Jędrus trochę wyłapał. Ale widzę, że dopadł Januszka...

Sekretarz redakcji obejrzał się na fotoreportera. Fotoreporter kiwał głową, w skupieniu słuchając słów innego pana z bukietem. Sytuacja rozwijała się w kierunku niekoniecznie pożądanym.

Monstrum przy ścianie budynku kontynuowało twórczość na murze. Ze skłębionych dookoła widzów wypchnął się fotoreporter i stanął tuż za jednym z potworów.

- Zaczynajcie się zmywać - polecił przenikliwym szeptem. - Zdaje się, że zaczyna być gorąco. Bez pośpiechu, ale bliżej maszyny...

Potwór, zawierający w sobie doradcę do spraw technicznych, odpoczywającego po wysiłkach, zakołysał się gwałtownie.

- Pan się odsunie! - krzyknął nerwowo ktoś z tłumu. - Nie dają do siebie podchodzić!

Fotoreporter cofnął się pośpiesznie, monstrum zaś zbliżyło się do pozostałych i przytknęło łeb do ich bani. Grafikowi skończyła się wreszcie kreda, porzucił zatem twórczość i po chwili wszystkie trzy istoty ruszyły powoli i godnie w kierunku pojazdu. Tłum przemieszczał się razem z nimi.

Sekretarz redakcji na wszelki wypadek ukrył mikrofon w wewnętrznej kieszeni marynarki i wyglądał jak zwyczajny człowiek. Historyk policzył już kropki, podążył za potworami i znalazł się obok niego.

- Bo widzi pan, to może być cywilizacja odległa od nas o setki lat świetlnych - kontynuował z rozpędu

kwitnącą w nim myśl. - Możliwe, że to, co widzą od siebie... gdyby mogli zobaczyć cokolwiek... to ziemia we wczesnym stadium rozwoju... może dinozaury...

Sekretarz redakcji odwrócił się ku niemu, niedbale odchylając klapę marynarki.

- I myśli pan, że lecieli do nas przez cały ten czas? - spytał z podejrzliwym zainteresowaniem. - Młodo wyglądają, jak na te tysiące lat.

- No, ewentualnie Średniowiecze - zreflektował się historyk. - Jednak rok to rok, z tym się zgadzam... Ale przelecieć mogli w ciągu jednej sekundy!

- Wydaje mi się, że pan przesadza. Schodzili do lądowania ładne parę minut.

- Do lądowania tak, to już w naszej atmosferze. Ale odległość od siebie mogli przebyć na zasadzie przemiany energii w materię i odwrotnie...

Sekretarza redakcji płomienne, acz nieco mętne wypowiedzi historyka zainteresowały do głębi trzewi. Prawie poczuł emocje w śledzienie, a już jego przysadka mózgowa zgoła strzeliła iskrami. Otworzył usta, żeby zadać tysiące pytań równocześnie, wchłonąć w siebie obce, a tak bliskie mu poglądy, ale w tym momencie dotarł do niego

fotoreporter, chwycił za łokieć i odciągnął na ubocze.

- Jada prawdziwi naukowcy! - wysyczał mu w ucho. - Wysłani przez brzmwtysm... Podobno na siłę. Cynk poszedł z ambasady...

Sekretarz redakcji wzdrygnął się silnie i po raz pierwszy przyszła mu do głowy myśl o reperkusjach politycznych. Jego rozognione wnętrze poczuło jakiś mroźny powiew. Zawahał się, bo z jednej strony dzika namiętność nie chciała opuścić stanowiska, z drugiej zaś realna groźba zaryczała mu nad głową posepnym głosem. Mignęła mu jeszcze krótka ponętna wizja ucieczki, w

razie czego, przez zieloną granicę, ale niedostateczna znajomość języków obcych zgasiła ją w zarodku. Dogadać się mógł, pisać wykluczone, a ostatecznie był dziennikarzem i nie miał chęci zmieniać zawodu. Z głębokim żalem zrezygnował z historyka, zawistnie spoglądając na architekta, człowieka o profesji międzynarodowej, który na języki obce mógł pluć i kichać.

- Skąd wiesz? - spytał szeptem.

- Twój człowiek doniósł. Ten miejscowy z krótkofalówką, to fakt, trąbi jak gigantofon, chłopak przed chwilą się dogadał...

Sekretarza redakcji ogarnęła

determinacja.

- Dobra, to tym bardziej... Niech startują. Nagrać, ile się da, z biglem!

Fotoreporter zrozumiał jego uczucia. Kiwnął głową i znów ruszył w tłum.

- ...a ja bym chciał zobaczyć, jak to wygląda gołe - upierał się hydraulik z budowy. - Przecież w te całe podróże poleciały chyba ubrane, nie?

- Myślisz, że wzięli jaką babę? - zaciekał się cieśla.

- A kto ich tam wie? Może wszystkie są baby?

- Iiiii - skrzywił się stojący obok nich pomocnik kominiarza. - To co z nimi gadać...?

Hydraulik miał przy sobie nożyce do cięcia stali. Po krótkiej naradzie z cieślą i przybyłym właśnie betoniarzem zdecydował się na dokonanie próby. Podkraść się do któregoś i ciachnąć, diabli ich wiedzą, co mają na sobie, ale nożyce to wykażą. Albo się opsną, albo złapią.

- I wtenczas wyjdzie na jaw. Coś tam się w środku pokaże...

- A jak taki nadcięty zdechnie? - zaniepokoił się pomocnik kominiarza.

- E tam, zdechnie! Jak poleciały na wycieczkę, znaczy mają twarde zdrowie. Byle z daleka od autobusu, bo faktycznie to powietrze z rury może ich zadusić...

Pod słuchujący i nagrywający naradę sekretarz redakcji poczuł, że zaczyna być kłopotliwie. Społeczeństwo przystosowało się do sytuacji i wykazywało nadmiar inicjatywy, musiał temu jakoś przeciwdziałać. Zarazem tkwiły w nim wypowiedzi historyka, może dziwne, ale otwierające jakby nowe horyzonty, chciał się tym zająć, równocześnie musiał tu trzymać rękę na pulsie. Przejawy inwencji narodu

dobiegały go ze wszystkich stron.

- ...przydział! - szeptał w napięciu badylarz spod Grójca, który akurat przyjechał tu do kuzyna po eternit, uzyskany na pokrycie podpalonej obory.

- Jakby tak na ten przykład u nas zostali, przydziały muszą dostać, nie? Na materiały budowlane jak leci, nie? Przecie w tej gablocie mieszkać nie będą, nie...? - A co ten kierownik lubilera tak się tam przymierza? - pytała głośno i podejrzliwie jakaś baba obok. - Już za handel się bierze? O, jak to ręcamy majta...

Kierownik sklepu jubilerskiego rozpaczliwie usiłował skłonić swojego

szwagra do podejścia bliżej ku satyrykowi i otwarcia przed nim dłoni. Szwagier bał się panicznie zarówno istoty z obcej planety, jak i własnych rodaków. Czynił niepewne wypadki ku istocie i wracał w tłum. Satyryk na wszelki wypadek obrócił w jego stronę gruszkę do lewatywy, co jeszcze bardziej utrudniło porozumienie.

Pragnienie wiedzy kwitło i objawiało się niepokojąco. Praktykant ze spółdzielni ślusarskiej pertraktował z chłopem na wozie.

- E! Panie furman! Podjedź pan bliżej, niech zobaczą żywe stworzenie!

- Ale...! - zaprotestował chłop. -

Jeszcze mi znowuż konie spłoszą!

- Jakie tam spłoszą, pan widzisz, że niemrawe. No podjedź pan, podjedź, chociaż z kawałek!

Zgromadzone wokół towarzystwo poparło go żywo. Po krótkim wahaniu chłop ruszył końmi. Z tupotem kopyt wjechał w głąb rynku i zbliżył się do zaziemskiego pojazdu.

Istoty okazały niezdecydowanie. Oręż na ziemi zaklekotał krótko i umilkł, srebrzysty drąg uniósł się i opadł, bez błysków i furkotania.

- Żadne takie - mówił gorączkowo satyryk do pilota. - Niech Bóg broni,

koniom nie damy rady, jak się spłoszą,  
rozniosą wszystko. Z końmi łagodnie...

- Wjedzie mi ten kmiot w  
helikopter...

- To w ostatniej chwili, ale jakoś  
tak, żeby poszły w bok...

- Patrz pan, jakie mało strachliwe  
- dziwiła się ekspedientka sklepu  
mięsnego, w którym personel już dawno  
nie miał nic do roboty na skutek  
całkowitego braku towaru. - Nie  
uciekły, tylko się gapią.

- Przecie konie to nie tygrysy!

- Hej, a jakby im kota pokazać...?

Niech kto złapie kota!

Chłop na wozie nie zamierzał szarżować na obcych przybyszów. Podjechał ostrożnie i nie za blisko, konie okazały całkowitą obojętność. Stał chwilę, po czym na wszelki wypadek znów ruszył i oddalił się w kierunku drugiego końca rynku.

Kontakt zaziemskich istot z końmi rozczarował widzów, nikt nie zareagował atrakcyjnie, ani istoty, ani zaprzęg. Dwóch młodzieńców skoczyło w zakamarki w poszukiwaniu innej zwierzyny.

- ...aby ruskie nie wjechały -  
mówił z troską dyżurny mechanik PKS. -

Nie daj Boże, czołgami ruszą, co by tu zrobić, żeby tym patafianom powiedzieć, jaki u nas ustrój...

- Jaką mapę im pokazać -  
podsuwał kierownik stacji benzynowej.  
- To nie ma siły, na mapach muszą się  
znać. Drogową najlepiej...

- A masz?

- Mam, ale całkiem poszarpaną.

- To niechby chociaż powiatu. W  
Radzie Narodowej powinna być.

- A tam, powiatu, tu Europa  
potrzebna! I Azja...

Koty w Garwolinie nie stanowiły stworzeń egzotycznych, łatwo było je znaleźć. Dwaj młodzieńcy wrócili, piastując w objęciach egzemplarze okazowe.

Sekretarz redakcji zaczynał mieć pełne ręce roboty. Kosmiczni naukowcy spod muru człapali w kierunku pojazdu, hydraulik z nożycami do cięcia stali usiłował się ku nim przepchnąć. Młodzieńcy z kotami ustawili się przed dwoma odważnymi potworami w pozycji wypadowej, policzyli do trzech, zniecka i prawie równocześnie rzucili koty w ich kierunku.

Reakcja przybyszów z kosmosu zaspokoila najbardziej wygórowane

wymagania. Tak pilot, jak i satyryk, w pełni świadomi byli stanu dętek odzieżowych oraz możliwości kocich pazurów. Unik i skok do tyłu, jaki zgodnie zdołali wykonać, godny był najbardziej wyszukanych sztuk akrobatycznych, wsparli się na trzeciej nodze, przeguby lamp ugięły się gwałtownie, wyłącznie miłosierdzie sił wyższych sprawiło, że plecami trafili na podstawę helikoptera. Pilot odbił się i pojechał podwoziem samochodu, nie żałując brokatu fryzjerskiego, satyryk rozpaczliwie posłużył się gruszką do lewatywy i chwycił drąg grafika, wentylatorek zafurkotał wściekle. Zachwycony spektaklem naród rzucił się wstecz.

- Nie oddychać!!! - wrzasnął ktoś.

- To gazy!!!

- A, cholery głupie, to ludzie z sercem przyleciały, a te kotamy w nich ciskają! - pomstowała kierowniczka baru mlecznego. - Całe miasto tera wytrują, czekaj, ty pryszczu, niech ja cię dopadnę...!

- O Jezu, wojna z tego będzie! - krzyknęła rozpaczliwie kasjerka z poczty.

- Patrz pan, to konie takie duże i nic, a kotów się boją - dziwił się pomocnik ślusarski.

- Możliwe, że u nich duże

stworzenia łagodne, a tylko małe  
szkodliwe - pouczał technik z  
najbliższego POM-u. - Na ten przykład  
koza człowiekowi nie przeszkadza, a  
karaluch albo szczur wręcz przeciwnie.  
Gdzie kozie do karalucha.

Koty miały w nosie wojnę  
światów, nie pchały się do kosmitów,  
szmyrgnęły na dwie strony i uciekły w  
panice. Jeden wpadł pod nogi sekretarza  
redakcji, który poczuł w sobie nagle  
szaloną chęć wyrywania włosów z  
głowy. Doradca do spraw technicznych,  
socjolog i grafik spróbowali  
przyśpieszyć kroku, widząc, że coś się  
dzieje.

Zdobywcy kotów co prawda

postarali się ukryć, bo społeczeństwo zdecydowanie ganiło ich czyn, ale i tak już co najmniej od godziny młodzież przysparzała kłopotów. Z właściwą jej lekkomyślnością próbowała podkraść się bliżej pojazdu i przynajmniej dotknąć go palcem, oswojona już z istotami, które, jak dotąd, nie zrobiły nikomu nic złego. Tylko czujność pilota i satyryka utrzymywała jeszcze jaki taki dystans, teraz jednak pilotowi zaczęło brakować amunicji, zużytej na koty.

- Niech pan smrodzi! - zażądał desperacko. - Niech oni się pośpieszą!  
Co w ogóle ma być...?!

Kosmiczni naukowcy dotarli

wreszcie do swego pojazdu. Doradca do spraw technicznych na wszelki wypadek rozpędził nieletnie społeczeństwo maszyną do zmiatania liści, obficie dekorując je kawałkami suszonego i świeżego końskiego łajna. Brak kontaktu z personelem towarzyszącym utrudniał podjęcie jakichkolwiek decyzji.

- Szczują nas końmi i kotami - zawiadomił nerwowo satyryk. - Lada chwila wpędzą tu złe psy. Lecimy...?

- A w zasadzie pełna życzliwość i kontakty przyjacielskie - mówił rozgorączkowany socjolog. - Nic nie rozumiem. Tak różne reakcje... A...! Rozumiem, eksperymenty...

- Chyba lepiej startować -  
zastanawiał się doradca do spraw  
technicznych. - Janusz ostrzegał... No nie  
wiem... Niech ktoś warknie na tego  
gnoja!

Tłum trwał wokół, podchodząc  
coraz bliżej. Szwagier kierownika  
sklepu jubilerskiego spoufalił się do  
tego stopnia, że próbował poklepać po  
ramieniu satyryka. Być może  
powstrzymała go tylko wątpliwość,  
gdzie istota ma ramię. Hydraulik z  
nożycami czaił się już w pierwszym  
szeregu widzów. Sekretarz redakcji nie  
wytrzymał. Kosmiczne istoty gmerały się  
wokół swojego pojazdu, nie wykazując  
żadnych sensownych zamiarów. Wypadł

na wolną przestrzeń, potykając się i udając, że został wypchnięty. Posunięcie było ryzykowne, w społeczeństwie bowiem lęła się już zawiść, wzajemnie zaczynało pilnować, żeby nikt nie nawiązał z przybyszami z kosmosu zbyt bliskiego, osobistego kontaktu.

- Pyskać! - wybulgotał głosem przyciszonym. - Jazda stąd! Startować!

Najbliższy mu grafik kiwnął banią i przytomnie skierował ku niemu srebrny drąg z wentylatorkiem na końcu. W tłumie rozległy się okrzyki.

- E, panie, gdzie tam...?!

- Nie podchodzić...!!!

- O rany, coś mu robi...!

- A niech ma, po cholere się tam pcha do nich...?

- Co pan masz do nich za interesy? Odważny się znalazł...!

Sekretarz redakcji cofnął się pośpiesznie. Wyraz twarzy miał taki, że ludność miejscowa zgodnie uznała go za szaleńca, przejętego wydarzeniem aż do utraty rozumu. Przebaczone mu wypad. Grafik postął jeszcze chwilę, wyłączył wentylatorek i skierował się do pojazdu.

Sekretarz partii ocknął się z

narkozy, oprzytomniał w rzadko spotykanym tempie i gorzko pożałował, że zbyt wcześnie przeprowadzono mu operację. Impreza wcale nie uległa zakończeniu, trwała nadal, co gorsza, wkroczyła na tereny czysto ziemskie. Z kosmitami jeszcze może dałby sobie radę, władza na ziemi wymagała znacznie większego wysiłku i wyszukanej dyplomacji. Na korytarzu pod salą operacyjną czekał już na jego odzyskanie świadomości nie tylko przewodniczący Rady Narodowej, ale także przybysz z Warszawy, a to już groziło poważnym niebezpieczeństwem.

Zdobył się na wysiłek nadludzki i uruchomił umysł, usuwając z niego

ponarkotyczne otępienie. Mściwie pomyślał o swoim zastępcy. Zastępca wczesnym rankiem pojechał do swojej ciotecznej siostry na świniobicie i miał wrócić dopiero nazajutrz, sekretarz jednak w ciągu pięciu sekund zrezygnował z szynki i schabu. Jego stanowisko było warte więcej.

- Madejczak - wyszeptał słabym głosem do dwóch pochylonych nad nim dostojników. - W Przykorach... Niech kto skoczy po niego... Ja jestem ciężko chory...

Przewodniczący Rady Narodowej ujrzał przed sobą cień nadziei. Doskonale znał Madejczaka, wiedział o świniobiciu, zdawał sobie sprawę, że

wszyscy w tych Przykorach są  
kompletnie pijani, ale cóż to szkodziło.  
Należało czym prędzej sprowadzić na  
miejsce ofiarę, na którą zwali się całą  
nieprzyjemność. Sam się pchał na  
posadę zastępcy sekretarza, proszę  
bardzo, niech teraz ma! Partia, siła  
wiodąca, chce czy nie chce, musi  
decydować, a on się chętnie  
podporządkuje dyrektywom. Chyba że  
ten z Warszawy przejmie na siebie  
odpowiedzialność...

Ten z Warszawy też był nie w  
ciemie bity i wolał wrobić władze  
miejskowe. Usłyszawszy, iż do owych  
Przykór jest zaledwie dwanaście  
kilometrów, zdecydował się wysłać

swój samochód z kierowcą, któremu towarzyszyć miał i wskazywać drogę instruktor kulturalno-oświatowy.

Dalej pojawiły się same komplikacje. Instruktor kulturalno-oświatowy plątał się w tłumie na rynku, kierowca poleciał tam również i przepadł. Obowiązek odnalezienia ich padł na specjalną komórkę milicji, ale w komórce nie było żywego ducha, albo również tkwili na rynku, albo ukryli się starannie, przewodniczący Rady Narodowej podejrzewał, że raczej to drugie, podejrzeń jednakże wolał nie wyjawiać. Dostojnik ze stolicy miał dość przezorności, żeby osobiście w wydarzeniach nie uczestniczyć i na

bezpośredni kontakt się nie narażać. W ten sposób władze miasta i siła wiodąca ugrzęzły w dyżurce pielęgniarek, gdzie kuzynka żony przewodniczącego dostarczyła środek wzmacniający z zapasów ordynatora szpitala. Po zaginione osoby wysłano obsługę kostnicy.

Opel sprawozdawcy sportowego z Gdańska był samochodem sprawnym i szybkim, ale kłopoty z dętkami opanowały cały kraj. W Pasłęku zwyczajnie zmienił koło, co trwało dość krótko, w Nidzicy jednakże był już zmuszony znaleźć warsztat wulkanizacyjny. Wyłącznie silna presja

prasy, połączona ze zgodą na ekspresową cenę, pozwoliła uzyskać usługę na poczekaniu, zajęło to już jednakże znacznie więcej czasu.

O osiemnastej dziesięć trzecie koło zmienił pod Mławą.

- Coś ty powtykał w te opony! - warczał na niego wściekle krytyk teatralny. - To jakieś gównno, a nie dętki! Już ci tak ciężko było kupić nowe?!

- A spróbuj! - rozzłościł się sprawozdawca sportowy. - Mam chody, kto powiedział, że nie?! Dwie kupiłem...

- I już lecą...?!

- Jakie lecą?! Leżą w domu w szafie, nie miałem kiedy założyć! A na resztę zabrakło mi forsy, marynarze na kredyt nie dają!

- W sklepie...

- Kretyn!!! W sklepie dętki do opła...!!! „Stomil” może i wyrwiesz pazurami, wejściówki dałem na mecz całemu personelowi...!

- A...! - przerwał z zainteresowaniem specjalista od połowów rybackich. - To dlatego tak się piekliłeś o te wejściówki...?

- A jak...? Mnie samemu na cholere...? A ja chciałem „Dunlopy”...!

Marynarze przywożą, ale drogo...

- Wiecie, tak sobie myślę... - rzekł w zadumie siedzący na skraju rowu i wpatrzony smętnie w dal redaktor działu kryminalnego, ten, który odebrał telefon od brata z Garwolina. - Jak by to było, gdyby wszystko dawało się kupić zwyczajnie w sklepach, bez tych rozmaitych sztuk... Drogo czy tanio, ale na miejscu, bez kolejki, bierzesz towar, płacisz, wychodzisz... Jeszcze masz wybór, grymasisz...

- Fantasta! - zaśmiał się drwiąco sprawozdawca sportowy, zaciskając śruby. - Mrzonki głupie! To chyba u tych z kosmosu...

Krytyk teatralny odruchowo rozejrzał się dookoła. Nikt ich nie podsłuchiwał.

- Powiem wam prawdę - rzekł konfidencyjnie. - Podobno u tych z takiego Paryża też...

Pod Płońskiem warsztat wulkanizacyjny okazał się znów niezbędny.

- Czego to te ludzie nie wymyślą, żeby tylko bez kolejki - mówił z irytacją właściciel warsztatu, oderwany od wieczerzy w rodzinnym gronie. - Pojazd kosmiczny. I co jeszcze...? Panie, to jest dętka? To jest stary kalosz, a nie dętka! Ja panu zwulkanizuję, a obok puści...

- Coś bym zjadł - mówił ponuro krytyk teatralny. - Może po drodze, w Warszawie...

- Zgłupiałeś? Na dansing pójdziesz...? Bo inne nocne możliwości nie istnieją.

- A dworzec Główny...?

- Landrynki, herbatniczki i zaschłe jajko w starym majonezie. Które z tego budzi w tobie apetyt...?

Krytyk teatralny westchnął i nie udzielił odpowiedzi.

Jako pierwszy powrócił do zaziemskiego pojazdu pilot.

Pieczołowicie ukryty w osłoniętej części wnętrza ciężarowiec, któremu znudziło się już wyglądać na zewnątrz, zdjął z siebie dynię i zdążył się zdrzemnąć. Zbudzony dyskretnym pukaniem w karoserię helikoptera, oprzytomniał dość szybko i zrozumiał, czego się od niego żąda. Klęcząc, żeby nie było go widać przez szyby, bez wielkiego wysiłku jął kręcić korbą, nawijając stalową linkę spreparowanej drabinki. Drabinka wraz z uczepionym jej Marsjaninem majestatycznie podjechała do góry. W dziwnej pozycji, banią do przodu, pilot wylądował w

okolicy swojego fotela. Po krótkiej chwili podjeżdżał w górę drugi Marsjanin.

- Panie, wypuść pan ze mnie to powietrze, jak rany! Prędezej! - awanturował się pilot, usiłując wierzgać łapami.

- Nie mogę. Zaraz... Żebym się skichał, tego korka nie złapię... Pan mi zdejmie rękawicę! Chociaż jedną!

Pilot miał ręce przygniecione własnym ciężarem. Porządnie nadmuchane dętki, wbrew obawom, trzymały doskonale. Nie miał najmniejszych szans na spełnienie życzenia grafika, w dodatku obsuwał się

coraz bardziej głową w dół.

- Niech ta mała nasadzi słuchawki na uszy!!! - wrzasnął rozpaczliwie.

Przybyły jako drugi grafik znalazł sposób porozumienia się z automatycznym podnośnikiem. Akustyczne odpadało, w przypiływie desperacji pchnął go całym sobą w wystającą część tylną i omal nie spowodował katastrofy. Ciężarowiec zdołał nie wpaść w otwarte drzwi tylko dzięki temu, że trzymał się korby. Obejrzał się.

- Co...? - zaczął z oburzeniem.

W tym momencie przypomniał sobie nagle, że porozumienie z zaziemskimi istotami prowadzi wyłącznie przez słuchawki. Chwycił je czym prędzej i nasadził na głowę.

- Powietrze...!!! - usłyszał wściekły krzyk. - Cholery na was nie ma! Wypuścić to powietrze, bo mnie szlag na miejscu trafi!!!

Speszony nieco własnym niedopatrzaniem, w pierwszej chwili usiłował odmienić kształty grafikowi, ale dalsze, nader dobitne w treści, okrzyki obu astronautów skierowały go na właściwą drogę. Z dużym wysiłkiem odnalazł wentyle w stroju pilota. Powietrze zaczęło uchodzić z sykiem,

pilot zaś stopniowo odzyskiwał swobodę ruchów. Wyglądał już prawie jak człowiek i siedział nogami do dołu, a głową do góry, kiedy po doradcy do spraw technicznych i maszynie do zmiatania liści na drabince wjechał satyryk.

- Potwornie ciężka ta pionierska praca - wysapał. - W żaden kosmos więcej nie lecę!

Ostatni został wciągnięty socjolog, równie spocony i zgrzany, jak rozanielony. Społeczeństwo go zachwyciło, gdyby nie dojmujący głód oraz inne potrzeby fizjologiczne, chętnie zostałby na garwolińskim rynku dłużej,

nawiązując ściślejsze kontakty.

- Cudowne, nadzwyczajne! -  
powtarzał z entuzjazmem. - Co za  
reakcje! I wszystko było słychać! Teraz  
właśnie próbowali z nami handlować,  
przystosowali się błyskawicznie!

- Jedno, co wiem z pewnością -  
oznajmił satyryk, usiłując przyjąć  
pozycję możliwie najmniej niewygodną  
- to to, że alkoholizm ten cały kosmos  
majak w banku. Pokazywali mi ziemskie  
rozrywki, chyba ze trzy litry poszły na  
demonstracje. Dobrze, że odlatujemy, bo  
już zaczęli proponować, że mi wleją  
trochę przez tę rurę...

- Hełmy zostawić! - zarządził

grafik. - Mogą nas jeszcze widzieć przez jakiś kawałek szyby...

Tłum na rynku falował niespokojnie. Wszystkie potwory już wsiadły, zabrały swoje przyrządy, kosmiczny pojazd niewątpliwie przygotowywał się do startu.

- Odsunąć się! Mogą jakie gazy wypuścić!

- Nie podchodzić...!

- Pani zabierze dziecko...!

Trzech milicjantów nareszcie

mogło zachować się jak należy. Usuwali ludzi nieco dalej, pilnując, żeby nikt nie wyłaził na pole startowe. Nie wiedzieli wprawdzie, po co to czynią, ale utrzymywanie dystansu między jakimkolwiek wydarzeniem a narodem weszło im w nałóg.

Z szosy dobiegły klaksony samochodów.

- O, z Warszawy jadą! Spóźnili się!

- Może by ich jeszcze trochę zatrzymać...? Trzy samochody przebiły się przez skłębioną cizbę, nie przejeżdżając nikogo, i zahamowały na skraju rynku. Z pierwszego od razu

wyskoczył dziennikarz z kamerą w ręku. Sekretarz redakcji, fotoreporter i zastępca dyrektora Ośrodka, odnalazłszy się nawzajem, znów zajęli stanowisko w wejściu do kawiarni.

- Niechże startują, do diabła! - denerwował się fotoreporter. - Na co jeszcze czekają?!

- Lada chwila tych ludzi już nic nie powstrzyma! - szeptał rozpaczliwie zastępca dyrektora. - Ten z nożycami czai się, żeby odciąć kawałek...

- Nic nie odetnie, już lecą, już - uspokoił go zdławionym głosem sekretarz redakcji. - No, jazda...!

Świetlisty krąg nad maszyną zawirował szybciej i zmienił oblicze. Rozległ się nieco głośniejszy pomruk, z rynku podniosła się chmura kurzu. Srebrny pojazd oderwał się od ziemi i powoli uniósł w przestworza dokładnie w pionie. Ludzie z zadartymi głowami objęli się o siebie wzajemnie. Kosmiczny pojazd, nabierając wysokości, kierował się na wschód i nikł w oddali.

Teraz dopiero sekretarz redakcji przecknął się jakby i wrócił do rzeczywistości. Rozejrzał się po rynku i uświadomił sobie, że zaplanowane dementi ulgowo nie przejdzie. Co najmniej trzy czwarte społeczeństwa

uwierzyło święcie w wizytę istot z kosmosu, połowa zaś wiedziała na pewno, iż takich wizyt będzie więcej. Istoty przyleciały, spodobało się im, przylecą zatem ponownie i niewątpliwie coś przywiozą, jakieś wysoce atrakcyjne towary. Na pytania, kiedy to ma nastąpić, wprawdzie wyraźnie nie odpowiadali, ale tak jakoś wyglądali, jakby niedługo. Tylko patrzeć...

Wyjawienie prawdy i rozczarowanie narodu mogło mieć skutki nieobliczalne. Sekretarz redakcji całym sobą czuł, że rozzłoszczona ludność zareaguje ostro, a jakoś nie miał ochoty narażać się nie tylko na lincz, ale nawet na podbite oko i podartą marynarkę.

Błyskawicznie pomyślał, że muszą się ukryć, gorzej, jeśli chcą wyjść z tego bez szwanku, muszą w ogóle ukryć swój udział w imprezie!

W rozważaniu sprawy przeszkadzały mu entuzjastyczne okrzyki zastępcy dyrektora Ośrodka, który wyzbywszy się obaw po starcie pojazdu, wrócił do zainteresowania społeczeństwem. Żadna myśl o niebezpieczeństwie nie zaświtała mu w głowie i mógł się swobodnie napawać przejawami życia wokół.

Tłum na rynku gęstniał, bo dobijali spóźnieni. Szosą nadjeżdżały samochody, autobusy PKS ruszały z przeraźliwym trąbieniem, prawie puste,

bo nikt nie miał ochoty porzucić rozrywki. Przyjechały za to dwa następne, zapchane do ostatecznych granic, i pasażerowie z nich zmieszali się ze szczęśliwcami, którzy widzieli kosmitów na własne oczy.

Wokół zarysowanej kredą ściany budynku kłębiła się zbita masa. Fotografowano mur, kilka osób kopiowało rysunki w notesach. Półprzytomny i ochrypły nauczyciel matematyki udzielał wyjaśnień.

- To moje. To ich. To też moje. To nie, to ten jeden rysował, a to ten drugi...

Jakiś osobnik w skupieniu rysował i fotografował napisy na sąsiedniej

ścianie. Napisy brzmiały: „ZOŚKA MAŁPA”, „Stasiek jest świnią”, „Kocham Gienia”, „NIECH ŻYJE VI ZJAZD”.

W miejscowym zakładzie fotograficznym pośpiesznie wywoływano zdjęcia. Razem z kierownikiem zakładu miotało się w ciemni kilka osób.

- Wszystkie mogą być prześwietlone - martwiła się jedna z nich. - Nie wiadomo, jakie substancje z tego promieniowały...

- Chyba nie są prześwietlone, panie profesorze - mówiła druga z przejęciem. - Coś się pokazuje... O!

Coś spadło, zachlupotał płyn w kuwecie.

- Panowie, wyleje się...! -  
krzyknął rozpaczliwie fotograf.

- Jest! Jest! Widać...!

- Łby mieli jak banie, a kadłuby  
takie pękate - opowiadał aptekarz,  
słuchający zaś dziennikarze pośpiesznie  
notowali. - Łapy krótkie i rozklapane, a  
z tyłu mieli takie coś, cienkie, zagięte,  
jakby podpórka albo trzecia noga, ale  
całkiem inna...

- A nie ogon? - przerwał

podejrzliwie jeden z dziennikarzy.

- Nie machali tym. Na ogon nie wyglądało. W tych baniach coś było widać jakby oczy albo co innego. Sami z siebie żadnych odgłosów nie wydawali, ale mieli coś takiego małego, świecącego, co warczało, a czasem leciały z tego takie chmurzaste wybuchy. Pył. Podsuwali to do ludzi. Na żaden język nie reagowali...

Mechanik PKS objaśniał inną grupę.

- Długie było dosyć i grube w sobie. W górze kręciło się takie wielkie

świecące koło, jak przy helikopterze, a na jednym końcu drugie takie samo, tylko mniejsze...

- Wirujący świetlisty krąg... -  
mruczał pod nosem notujący dziennikarz.

- O to, to, właśnie! Całe było ze srebrnej blachy, jak chromowane, płóz nie miało, tylko taką jakby łapę i na tej łapie staęło...

- Morcę było widać jak na patelni  
- mówił dumnie chłopak, który większą część kosmicznej wizyty przesiedział na dachu ze starą wojskową lornetką przy oczach. - Nie tak całkiem od razu,

dopiero za jakiś czas się pokazała,  
wielka jak bania, trochę żółta, a nos w  
środku...

- Miała w środku nos? - pytał  
chciwie reporter.

- A ja wiem, czy to nos? Może  
całkiem co innego, ale było w samym  
środku i takie jakieś... Jakby robał jaki,  
albo co... Ale było...

- I ślipiami błyskało -  
przypominali dodatkowi rozmówcy.

- Duża ilość oczu... - mamrotał do  
siebie reporter. - Umieszczone... Gdzie  
umieszczone?

- Po całym pysku, gdzie popadło. Ruszało się i mrygało. Schowało się potem i już we środku nic nie było widać, tylko jakby kudły takie, ale co to było, te kudły, za chińskiego boga nie zgadnąć...

Na marginesie należy zauważyć, że automatyczny podnośnik był silnie owłosiony.

- Z całą stanowczością inteligencja wyższa - informował z zapalem historyk. - Porozumienie przy pomocy matematyki osiągnięto prawie od pierwszej chwili. Osobiście odniosłem wrażenie, że jest to rodzaj

eksperymentu, lądowanie w obcym świecie...

Architekt towarzyszył mu wiernie i nie omieszkał się wtrącić. Na twarzy miał jeszcze resztki wypieków.

- Nie takim obcym, nie takim obcym - zaprotestował. - Egzystencja u nich w pewnym stopniu przypomina naszą, istnieje budownictwo, o którym usiłowali nas poinformować. Ja to spróbuję opracować w domu...

Przybyły ze stołeczną prasą fotograf ponownie w wielkim skupieniu wykonał zdjęcia wskazanego fragmentu muru nieco obdrapanej kamienicy...

- Karaluchy mają u siebie i pluskwy - brzmiał komunikat wymieszanego ze sobą personelu baru mlecznego i POM-u. - I szczury. Małego stworzenia się boją, małego rozumu od zwyczajnego kota dostają, a dużego nic wcale.

- A zwierzęta jak reagują na nich?

- pytał dziennikarz. - Jakiś niepokój, obawy...?

- E tam, nijak...

- Jakie nijak, konie tupały!

- A co miały robić kopytami innego...?!

- A koty nawiały jak wściekłe!

- Popłoch i panika wśród zwierząt... - notował przedstawiciel prasy.

- Ja, obywatelu majorze, tylko porządek utrzymałem - meldował dość rozpaczliwie komendant posterunku MO.  
- Zakłóceń nie stwierdzono. Znaczy się, tak jest, zgromadzenie ludności na rynku, ale bez transparentu i okrzyków antypaństwowych. Chuligańskich wybryków nie stwierdzono. Obecne na miejscu konie zachowały spokój...

Na leśnej polance panowała atmosfera niezadowolenia i niepokoju. Zapadał zmrok, pobłyskiwał wciąż jeszcze udekorowany helikopter, wokół którego kosmonauci wyplątywali się z podróżnych strojów. Wyszło właśnie na jaw, iż dalszy ciąg wydarzeń nie został dokładnie zaplanowany i teraz nie wiadomo, co robić.

Wybrana przez fotoreportera leśna kryjówka znajdowała się w odległości pięciu i pół kilometra od Garwolina w linii prostej. Drogi dojazdowej do niej w zasadzie nie było i po gruncie stałym, w pewnej części leśnym duktem, miało się do przebycia całe dziesięć kilometrów. Na piechotę, po miedzach i

prosto przez las, odległość znów się skracała i wynosiła około sześciu i pół kilometra.

Owe sześć i pół kilometra zdyszczanym kurcgalopkiem przebył chłopak od krów, pokonując trasę w tempie godnym podziwu. O swoich porzuconych krowach nawet nie pomyślał, z głową zadartą do góry ruszył za pojazdem kosmicznym od razu, wpatrzony w srebrny punkcik gnał przez bezdroża i w pobliżu lasu zdążył ujrzeć, iż punkcik schodzi w dół.

Napełniło go to jakąś mętną nadzieją. Do żadnego myślenia wciąż nie był zdolny, od pierwszej chwili dzisiejszych wydarzeń jego umysł

opanovało osłupienie, wykluczające pracę, chłonał wszystko wzrokiem i na tym się jego możliwości kończyły. Uczucia jednakże nie uległy w nim zniweczeniu, przeciwnie, wybuchały z potężną siłą i gdyby ktoś koniecznie kazał mu je zlokalizować, chłopak byłby skłonny twierdzić, iż kłębią się W okolicy kiszek i żołądka. Burzą w jestestwie gnany, czuł, że to nie koniec, zaświatowe potwory zbliżają się znów ku ziemi, wszystko jedno, wylądują w środku lasu czy nie, oderwać się od nich w żaden sposób nie może.

Dopadł skraju polanki za ledwie w pół godziny później niż kosmonauci. Ciężko zziajany zatrzymał się przy

ostatnim drzewie. Już widział. Nie musiał lecieć dalej...

- Głodny jestem jak cholera - powiedział z irytacją grafik, uwalniając nogi z ostatnich dętek rowerowych. - Ci wszyscy ludzie jedli jak głodomory! Żarli i żarli! Czy to ma być reakcja na nietypowe zjawiska?

- Nie, to była demonstracja - odparł żywo socjolog, usiłując uporządkować na sobie normalną odzież. - Pokazywali nam, jak się odżywia ludzkość na ziemi, słusznie, zdrowy instynkt! Jestem zachwycony, znakomity efekt, znakomity! Chciałbym wiedzieć, co zrobią teraz, jedźmy tam!

- Tam nie ma nic do jedzenia - ostrzegął satyryk. - Garwolin jak pustynia, pożarte i wyżłopane wszystko, co było.

- Ależ nie o to chodzi! Chciałbym zobaczyć reakcję na dementi...!

- No więc właśnie, co z tym dementi? - zdenerwował się doradca do spraw technicznych. - Kto to ma podać, w jakiej formie?!

Satyryk gniewnie wzruszył ramionami.

- Co cię obchodzi? Niech się Krzysiek martwi. Formę miał ustalić zależnie od rozwoju sytuacji. Ma tam

krótkofalówkę...

- A ja tu mam radio - przypomniał pilot, zlążąc właśnie po wybrakowanej drabince i wyraźnie zakłopotany. - I mam kanapki. I kawę. Boję się tylko, że nie wypadnie dużo na jedną gębę, ale chętnie się podzielę...

- O, złoty chłopak! - wykrzyknął grafik z czułością i w tym momencie z helikoptera wystawił głowę automatyczny podnośnik.

- Jest tu żarcie dla panów - oznajmił. - Oraz napoje. Proszę...

- Wreszcie widzę u Krzysia jakiś rozumny pomysł - pochwalił satyryk,

przejmując z jego rąk wielką pakę i wypchaną siatkę. - Aż dziw bierze, że w tym całym rejwochu zadbał o zaopatrzenie!

- A nie, to nie pan redaktor. To panna Marysia.

- Marysia...! Ależ to cud, nie dziewczyna! Ten Janusz na nią wcale nie zasługuje...

Kwestia dementi poszła chwilowo w zapomnienie. Rozgorączkowany i nalegający na powrót do Garwolina socjolog na widok pasztecików, pierożków i kawałków pieczonego kurczaka ochłódł nieco w swoich zapalach i poczuł, że też jest głodny

niczym dzikie zwierzę. Cały dzień  
emocji bez pożywienia... Poniechał  
protestów, przysiadł na pieńku i wziął  
udział w uczcie.

Na polankę wjechał łązik  
wtajemniczonych mechaników.  
Wysiedli, kręcąc głowami,  
równocześnie rozśmieszeni i zatroskani.

- W ostatniej chwili, obywatelu  
kapitanie - zwrócili się do pilota. -  
Melanż tam się zrobił nie z tej ziemi,  
cała Polska pruje do Garwolina. Gorzej  
niż cud...

- Spotkaliście naszych? - spytał  
żywo doradca do spraw technicznych.

- Nie było jak się dopchać do siebie, ale obywatel redaktor machał z daleka rękami tak, jakby odpędzał. Wychodziło, że kazał lecieć do domu.

- To nie teraz - odparł stanowczo pilot. - Za chwilę, jak się ściemni...

- Ale przecież mieliśmy tu poczekać, żeby wszyscy mogli obejrzeć helikopter z bliska i przekonać się, że dementi jest prawdziwe! - przerwał z oburzeniem grafik.

Mechanicy popatrzyli na siebie.

- Chyba lepiej nie. Tam już prawie wszyscy wierzą w ten kosmos, mogą się zdenerwować. Redaktor słusznie

machał...

- Ja tam muszę być! - krzyknął socjolog, zrywając się z pieńka. - Ja to muszę wiedzieć! I słyszeć!!!

Między drzewami błysnęły reflektory i na polance pojawił się fiat sekretarza redakcji. Sekretarz redakcji wychylił się przez otwarte drzwiczki.

- Chłopaki, nawiewać! - wrzasnął gorączkowo. - Lada chwila będzie dementi, Janusz mówi, że nas zlinczują, pański dyrektor go popiera! Nie powie się, że to my, ale jak was tu znajdą...! Ja wracam!

Trzasnął drzwiczkami, ruszył,

omiótł reflektorami .drugą stronę polanki i z mroku wyłowił między drzewami chłopaka od krów. Zobaczyli go wszyscy.

Przez krótki moment w leśnej głuszy trwał żywy obraz, a potem zapanowało szaleństwo. Sugestia sekretarza redakcji, jakoby oszukane społeczeństwo miało wyrzucić zemstę na fałszywych istotach, całemu zespołowi przemówiła do przekonania. Społeczeństwo, jak widać, już do nich dotarło, forpoczta na polance, za nią nadejdzie szturm. Uciekać...!!!

Spektakl stanowił dla chłopaka ukoronowanie całodziennych doznań. Na oślep wrzucając gdziekolwiek

rozproszony w trawie sprzęt i zdjętą z siebie odzież kosmiczną, zarówno astronauta, jak i pomoc techniczna, runęli do pojazdów. Satyryk wylał na siebie kawę z termosu, doradca do spraw technicznych rozdeptał nie dojedzone kanapki pilota, grafik walnął w oko socjologa obgryzioną nogą kurczaka. Pilot osiągnął swoje miejsce w helikopterze skokiem z rozbiegu. Socjolog wdarł się do fiata sekretarza redakcji, omal nie wyrywając mu drzwiczek z zawiasów, automatyczny podnośnik, bądź co bądź sportowiec, zdołał dostać się do powietrznej maszyny metodą zbliżoną do akrobacji cyrkowych, reszta wpadła do dwóch wojskowych dziupli. Jeszcze nie zdążył

się zamknąć właz helikoptera, jeszcze głowa grafika znajdowała się w dole, podczas gdy nogi sterczały w górze, kiedy jeden z kierowców coś usłyszał.

- Cicho...!!! - ryknął potężnie.

Dziki chaos nagle znieruchomiał. W leśnej ciszy zgodnym chórem odezwały się trzy odbiorniki radiowe z trzech samochodów. Czwarty, ten z helikoptera, nie był słyszalny na zewnątrz.

Radio powiedziało:

- Uwaga, uwaga. Nadajemy komunikat specjalny...

W przeraźliwie zatłoczonej kawiarni fotoreporter, sekretarka i zastępca dyrektora Ośrodka wciąż okupowali swój stolik. Niecierpliwie i z niepokojem czekając na dementi, zdołali nawet utrzymać krzesło dla sekretarza redakcji. Fotoreporter wymieniał filmy w aparatach i zakładał nowe kasety, zastępca dyrektora tulił do piersi przekazany mu pod opiekę mikrofon sekretarza redakcji.

Przez gwar kawiarni przedarł się głos spikera radiowego.

- ...Ośrodek Badania Opinii Publicznej zainscenizował w dniu

dzisiejszym fikcyjne lądowanie przybyszów z kosmosu w Garwolinie. W postaci istot z innej planety wystąpiło kilku przebranych dziennikarzy. Jako pojazdu, użyto helikoptera o specjalnie przebudowanym nadwoziu...

Gwar w kawiarni przycichł. To samo nastąpiło na rynku, gdzie głośniki na słupach obwieszczały komunikat, włączywszy się w sieć krajową z lekkim opóźnieniem. W zapadłej ciszy wyraźnie było słychać słowa:

- ...start z rynku już nastąpił.

Zarówno helikopter, jak i jego pasażerów można jeszcze obejrzeć w lesie, sześć kilometrów od Garwolina. Szczegóły podamy po ostatnim dzienniku

wieczornym...

- Hej! - powiedział krytyk teatralny, wyjmując głowę z samochodu sprawozdawcy sportowego. - Chyba jesteśmy spóźnieni. Coś tam się zmieniło.

- Spóźnieni jesteśmy na pewno - przyświadczył z goryczą redaktor działu kryminalnego. - A co...? Co się zmieniło i skąd wiesz?

- Radio. Złapałem ostatnie słowa. „... jak i jego pasażerów można jeszcze obejrzeć w lesie, sześć kilometrów od Garwolina. Szczegóły po ostatnim

dzienniku”.

- No proszę. Jednak się rozeszło i nawet radio podaje! - wykrzyknął specjalista od połowów rybackich.

- Można jeszcze obejrzeć... Cholera, chciałbym obejrzeć - wyznał krytyk. - Co się tam dzieje...?

- Podkręć to radio, może jeszcze co powiedzą...

Sprawozdawca sportowy nie wtrącał się do rozmowy. Siedział na zboczu trawiastego rowu i melancholijnie ścisnął w imadle dętkę ze świeżo przylepioną łątką. Wszystkie manipulacje, wiodące do uzyskania

czterech sprawnych kół, trwały w nieskończoność i wymagały olbrzymich wysiłków. Służący mu pomocą specjalista od połowów rybackich ujrzał jego wyraz twarzy.

- Jest pełnia, jakby co, przy księżycu wszystko widać - rzekł pocieszająco.

- Wszyscy już tam są - przypomniał gniewnie krytyk teatralny. - Będziemy ostatni!

- A ja jestem Duch Święty?! - rozzłościł się nagle sprawozdawca sportowy. - Skąd, do diabła, miałem wiedzieć, że akurat dzisiaj taka rzecz wyskoczy?! Jakbym wiedział, bym to

gówny zmienił wczoraj!

- Nic nic, jedźmy, coś w tym  
Garwolinie przecież się zobaczy...

Zastępca dyrektora Ośrodka  
siedział przy stoliku jak skamieniały i  
miał trudności z wydobyciem głosu.  
Gwar w kawiarni wybuchł na nowo.

- Jak to...?! - krzyknął ktoś z  
oburzeniem.

- Granda! - darł się ktoś inny. -  
Balonów z nas zrobili...!

- Kretyńskie dowcipy...!

- Ale polka, ludzie! A już wszyscy uwierzyli w tych Marsjan...!

- Pan wierzy w ten komunikat?  
Chcą to utrzymać w tajemnicy, na pewno mają jakieś przyczyny...

- Pan ma rację, to jest fałszywy komunikat dla zagranicy! Ja panu mówię, rzecz w tym, żeby wprowadzić w błąd Amerykę! Ja ich widziałem na własne oczy, to wcale nie był helikopter!

- No i co z tego, każdy ich widział! Przebrani byli, słyszał pan...!

- Pan wierzy we wszystko, co pan słyszy...?



Zabrzmiało to trochę jak krowi ryk i fotoreporter się zainteresował.

- Proszę? - spytał zachęcająco. -  
Co pan ma na myśli?

Zastępca dyrektora ze  
zdenerwowania nie mógł przestać się  
jąkać.

- Oś-oś-oś-rodektototozor-  
gagagaga-nizował...? Us-us-us-łyszaaa-  
łem. Rararadio... Dedede... menti... Czy-  
czy-czy ja do-do-do-brze sły... szalem...

- Dobrze pan słyszał, oczywiście.  
A co mieli powiedzieć? Wasz ośrodek  
ma prawo do eksperymentów.

Zastępca dyrektora chciał się zerwać z krzesła, ale powstrzymała go sekretarka, przyzwyczajona do łagodzenia reakcji zwierzchników.

- Niech pan siedzi spokojnie, panie dyrektorze, i niech pan się nie przyznaje, kim pan jest. Tu nikt tego nie wie, nie kojarzą pana. Nie można było powiedzieć, że prasa, bo dziennikarzy na rynku wszyscy rozpoznali i mogliby ich pobić, a panu przejdzie ulgowo. Może nawet dostanie pan pochwałę za udaną akcją, tylko sprawozdanie trzeba będzie napisać.

Szum w głowie zastępcy dyrektora i dziwne drgawki wewnętrzne nieco złagodniały. Słowo „sprawozdanie”

dokonało cudu, sprowadzało całą aferę do przeciętności, stanowiło sedno pracy każdej instytucji, było doskonale znajome. Miał z nim do czynienia na co dzień. W sprawozdaniu można było każdego kota wykręcić ogonem w dowolną stronę, a raz przynajmniej nie musiał nic wymyślać, treść miał gotową.

Nagle ujrzał tę drugą, jaśniejszą stronę medalu i jąkanie mu przeszło jak ręką odjął.

- No tak, no tak... Jest w tym sens... Ale może należało przedtem uzgodnić... No nic, wszystko jedno. No dobrze, niech będzie, że to my. Ale w takim razie zbadajmy wszystkie reakcje!

Wyjdźmy do ludzi! Gdzie pan Zdzisław?!

- Zaraz będzie, bo pewnie z Krzysiem przyjedzie...

Sekretarz redakcji i socjolog rzeczywiście przyjechali, ale nie mogli się przedostać do wnętrza kawiarni, bo zamieszanie na rynku wzrosło. Uliczne głośniki, zbyt późno przełączone, podały tylko część wiadomości i zapanowała dezorientacja.

- Ludzie, wszystko pić na wodę! - wykrzykiwał ktoś, wychylony z okna. - Radio podało, że to lipa! Dziennikarze dla pucu się przebrali!

- Jak to...?!

- Coś pan?! Radio łże!

- Co mówili przez radio? Pan powtórzy!

Z kawiarni zaczęli wybiegać ludzie, którzy słyszeli cały tekst.

- Przez radio podali, że to było fikcyjne lądowanie! Zamaskowali helikopter i symulowali lądowanie z kosmosu! To byli zwyczajni ludzie!

- Patrz pan, a jak dobrze podrobieni...!

- Niemożliwe!

- Żywa granda! W konia naród  
zrobili!

- Panie, co się dzieje, jak rany? To  
Marsjanie lądują, to znów mówią, że  
ludzie... Co jest?

- Oszustwo, człowieka, nic innego,  
jak zwykle...

- Ale jakie tam ludzie, jak to były  
ludzie, to czego tak się kota bały? Żeby  
psa, to jeszcze, ale kota...?

- A pewnie! Wszyscy widzieli!  
Kota zobaczyły i chodu! I zara  
nasmrodzili tem gazem...

- Coś tu całkiem nie gra, w konia

robią cały naród!

- Radio gada, wielkie mi co! -  
powiedziała gniewnie kasjerka z poczty.  
- Jak powiedzą, że cukru nie zabraknie,  
to dzień mija i jednego okrucha nie  
uświadczy! Zawsze na odwrót. Ja tam w  
radio nie wierzę!

Na progu apteki ukazał się  
kierownik, bliski apopleksji.

- Oszustwo! - chrypiał z furją. -  
Skandal! Wariatów robią z poważnych  
ludzi! Ja wzywałem straż pożarną! Ja ich  
podam do sądu...!

- Ejże! - przerwał mu  
ostrzegawczo stojący akurat obok

schodków kierownik miejscowego  
SANEPID-u. - A skąd pan wie, które?

- Co które?

- Które to oszustwo? Lądowanie  
czy komunikat? Słyszał pan kiedy, żeby  
przez radio prawdę powiedzieli?

Kierownik apteki zawahał się,  
zdenerwował jeszcze bardziej, zawrócił  
do wnętrza i chlupnął sobie kolejną  
porcję kropli walerianowych.

Z zakładu fotograficznego  
wybiegło kilka osób, które nagle  
zastygły w bezruchu, słuchając  
okrzyków.

- Co takiego? - oburzyła się jedna z nich. - Przecież mamy zdjęcia...!

- Coś podobnego... Doprawdy...  
Panie profesorze... - jękał się bezradnie młody człowiek.

Adiunkt pana profesora ni z tego, ni z owego dostał napadu histerycznego śmiechu i nie mógł wykrztusić ani słowa.

- Radio mogło zełgać, już oni mają swoje powody - przekonywał ponuro ktoś w najbliższej grupie.

- Co znaczy zełgać, powiedzieli, że to można obejrzeć! W lesie stoją! Ja tam jadę!

Słońce już zaszło i zmrok zapadał szybko. Ciemna postać oderwała się od grupy, popędziła na mieszczące się tuż obok podwórko, wywlokła z kąta motor i kopnęła rozrusznik. Za nią popędziła druga ciemna postać.

- Stasieeeeek! - rozległo się przeraźliwie na całym rynku. - Gdzie masz motor?! Jadziem do tych Marsjan do lasu...!

W podążających w kierunku Garwolina pojazdach panowały uczucia rozmaite. Nieliczne z nich miały radia i w tych pojawiła się konsternacja.

- Jak to fikcyjne, co za głupie dowcipy? - denerwował się ktoś. - To po cholere my tam jedziemy?

- Jak tak blisko jesteście, to już jedźmy. Podobno można ich obejrzeć...

Inny samochód przyhamował i zjechał na pobocze.

- No nie! - powiedział z gniewem kierowca. - I ja się tłukę po nocy, żeby oglądać kretyńską maskaradę! Wracamy!

- Nie wygłupiaj się, jedź dalej! - zaprotestowali zgodnie pasażerowie. - To wszystko razem jest podejrzane, to trzeba zobaczyć! Na wszelki wypadek. Informacja przez radio mogła być

kłamliwa...!

Kierowca powstrzymał gest pukania się palcem w czoło, zastanowił się i ruszył dalej.

Ludność miejscowa, szczególnie ta ruchliwsza, okolice Garwolina znała doskonale. Bez trudu zdołano wytypować właściwą polankę i część narodu ruszyła ku niej od razu, nie bacząc na porę doby. Widoczność zresztą była całkiem niezła, ponieważ świecił księżyc w pełni.

Dwa motocykle pędziły na czele, za nimi znalazły się samochody, dalej

rowery. Duża grupa ludności skorzystała z nóg i pognała przez pole, na azymut. Pełni emocji badacze jęli docierać do podanego miejsca stopniowo.

Na polance znajdował się chłopak od krów z dużą gałęzią w ręku i nic więcej.

Chłopak od krów miał rozum w głowie i wykorzystał sytuację. Przywłaszczył sobie wszystkie pamiątki po wydarzeniu, zagarnął resztki rozdeptanych kanapek pilota, ukrył za pazuchą jeden wentyl od dętki, jedną bańkę lekarską, jeden drut do wełny numer trzy i pół i zapomniany krawat satyryka. Pozbierał z trawy okruchy pasztecików i kości pieczonego

kurczaka. Krótko mówiąc, dokładnie oczyścił teren i teraz nie miał już nic do roboty, ale żał mu było odchodzić z tego cudownego miejsca. Rozumiał, że przedstawienie odleciało bezpowrotnie, więcej rozrywek nie będzie, a za pozostawione odłogiem krowy i tak dostanie ciężkie wały, nie miał zatem powodów do pośpiechu.

Warkot motorów i migające między drzewami światła zainteresowały go ogromnie i napełniły nadzieją. Zatrzymał się na środku polanki, gapiąc się w oczekiwaniu.

Dwa motory wypadły z lasu jako pierwsze i zahamowały gwałtownie.

Reflektory omiotły całą polankę,  
oświetliły chłopaka i znieruchomiały.

Przez bardzo długą chwilę  
wszystko trwało w milczącym bezruchu.  
Pięć osób gapiło się na siebie  
wzajemnie. Dla motocyklistów samotny  
chłopak od krów w miejscu fałszywych  
kosmonautów stanowił zgoła wstrząs,  
dla chłopaka zaczynało się nowe  
widowisko. Motocykliści zbaranieli, a  
chłopak zwyczajnie czekał na dalszy  
ciąg.

Zbliżający się warkot w lesie i  
następne migające światła uruchomiły  
ten żywy obraz. Motocykliści zsiadli.

- Hej, ty! Co tu było? - spytał

żywo pierwszy.

- Nic - odparł chłopak od krów w pierwszym odruchu, po czym przyszło mu nagle na myśl, że jest jedynym posiadaczem wiedzy tajemnej, którą może się podzielić albo nie, jak mu się spodoba. Na wszelki wypadek dodał zatem: - Ho, ho!

Odpowiedź całkowicie zbiła z pantałyku jego rozmówców.

- Ty, rozewrzyj ten dziób! - zaproponował drugi kierowca, wzywany na rynku imieniem „Stasiek”. - Gadaj, póki co, zaczem reszta nadjadzie! Byli tu te pokraki?

Chłopak nie podjął jeszcze żadnych decyzji, wobec tego wzruszył tylko ramionami.

- Strzelę w ryja, jak Boga Kocham!

- zapowiedział z irytacją jeden z pasażerów. - Było tu co czy nic?

- Długo tu jesteś?

- Bez całego czasu - przyznał się chłopak z satysfakcją, rozumiejąc, że z racji obecności na polanie od razu staje się ważniejszy. Wymuszanie zeznań przy pomocy tortur nie zaświtało mu w głowie, raczej mignęła mu mglista wizja przekupstwa.

Dalsze pertraktacje zostały

przerwane przybyciem  
uprzywilejowanego społeczeństwa z  
samochodów i rowerzystów. W ciągu  
trzech minut na polance zrobił się tłok  
prawie jak na rynku. Tylko pierwsi  
przybysze zauważyli chłopaka i zdawali  
sobie sprawę z istnienia świadka, dla  
całej reszty zginął w tłumie.

Brak jakichkolwiek śladów  
obecności fałszywych czy prawdziwych  
kosmonautów zdecydowanie podważył  
wiarygodność informacji radiowej.  
Nawet ci, którzy od początku do końca  
wątpili w wizytę istot z innej planety,  
teraz uwierzyli w nią granitowo. Radio  
zełgało, to się rzucało w oczy, zatem  
prawdą musiał być komunikat odwrotny.

Żadnych fikcji, przylecieli naprawdę, trafili do Garwolina zamiast do Warszawy pod Pałac Kultury i stąd zawiść władz. Z ludźmi się dogadali, a nie z partią, wobec czego rząd postanowił społeczeństwo skołować i puścił przez radio mylący komunikat.

- Głupy to są, kochany - przekonywał weterynarza instalator sanitarny. - Do tego tępego łba im nie przyszło, że naród przyleci i sprawdzi. Myśleli, że ludzie poczekają do rana, a rano im się powie, że już koniec parady i cześć!

- Nie - zaprzeczył stanowczo weterynarz. - Oni po prostu nic nie myśleli. W popłochu powiedzieli byle

co, jak zawsze, a co z tego wyniknie, to im wisi. Jezu, żeby raz w życiu usłyszeć jaką prawdę...!

Z racji kontaktu ze zwierzętami weterynarz prezentował wyjątkową szlachetność charakteru. Zaraziły go nią licznie leczone psy, a w drugiej kolejności konie. Ogólnie panujące łgarstwo gniotło jego duszę nieznośnym ciężarem i spragniony był bodaj odrobiny jakiejś przyzwoitości niczym kania dżdżu. Umysłowo rozwinięte jednostki z innej planety zaświeciły mu promykiem nadziei i strasznie chciał, żeby były prawdziwe.

Kotłowanina w lesie trwała

niemal do rana, zmotoryzowani bowiem wracali, szybkobiegacze trwali na posterunku, niemrawi piesi natomiast przybywali sukcesywnie. Nawet zajście księżyca nie przeszkodziło pielgrzymce, ponieważ kierowniczka sklepu gospodarstwa domowego od tyłu wyprzedzała cały zapas baterii do latarek elektrycznych. Miała kłopoty z wykonaniem planu na drugi kwartał i okazja spadła jej jak z nieba.

Poranek w zasadzie nie zmienił sytuacji. Tłumy ludzi dążyły do Garwolina ze wszystkich stron, wszystkie autobusy zatłoczone były do ostatecznych granic, z Warszawy jechały taksówki i prywatne samochody, z

Lublina dążyła kolumna ciężarówek. Polną drogą posuwała się procesja, śpiewająca nabożne pieśni. Przez las przedzierali się ludzie jak popadło, piechotą, na rowerach i motocyklach. Brak przybyszów z innej planety nie przeszkadzał w najmniejszym stopniu, tajemniczym sposobem bowiem rozeszła się wieść, że radio zełgało i przybysze byli prawdziwi.

Chłopak od krów nie dostał żadnego lania. Wrócił w końcu do domu, uznawszy, iż widok mas ludowych nie stanowi specjalnej atrakcji, informacje zaś posiadał takie, że zasługiwał na nagrodę, a nie karę. Okoliczność sprzyjającą stanowił fakt, że krowom nic

się nie stało, a do obory we właściwej chwili zapędziła je jego siostra.

Zastępca dyrektora Ośrodka, syt wrażeń, ale zarazem pełen niepokoju, o wschodzie słońca wrócił do Warszawy, na miejscu pozostawiając socjologa, bez mała w gorączce. Zastępcy dyrektora przyszło na myśl, że powinien czym prędzej zobaczyć swojego zwierzchnika i wyjaśnić mu sprawę, inaczej bowiem niewątpliwie zaskoczony dyrektor gotów ogłosić następne dementi. Miał nadzieję, że w ciągu nocy nie wykaże się zbyt dużą aktywnością, zdąży się go zatem pohamować o poranku, w godzinach pracy. Socjolog natomiast, pan Zdzisio,

wpadł na nowy pomysł. W chwili kiedy opuścił helikopter i przeistoczył się z powrotem w ludzką istotę, ujrzał nagle przed sobą wspaniałą możliwość napisania wreszcie pracy doktorskiej. Materiału zyskiwał ilość olbrzymią, sam wszedł mu w ręce, za nic w świecie nie chciał już teraz stracić ani jednego słowa. Nie tylko musiał wmieszać się w tłum i prowadzić obserwacje bezpośrednio, ale także połapać wszystkich reporterów z mikrofonami. Mimo skłonności do euforii, znał życie i wiedział doskonale, ile zdoła uzyskać drogą oficjalną, a ile na bazie kontaktów prywatnych, aż trząśł się do nich i dla nagranych na rynku taśm gotów byłby z lekkim sercem zrezygnować z kopalni

diamentów. Gdyby dano mu wybór, bez sekundy wahania wybrałby taśmy.

Ujrawszy mikrofon sekretarza redakcji w ręku zastępcy dyrektora, odebrał mu go czym prędzej i sekretarzowi redakcji wcale nie zwrócił. Przeciwnie, z gwałtownością nie do pokonania wycygał jeszcze kieszonkowy magnetofon produkcji japońskiej, nowość, wypożyczoną przez sekretarza redakcji z tego samego źródła, co niezwykła kamera w lesie przy szopie. Sekretarz redakcji dał mu przyrząd bez oporu, nawet z dwiema zapasowymi taśmami, miał bowiem inne zmartwienie.

- Tadziu, jedź ze mną! - błagał z

troską, ciągnąc za rękaw doradcę do spraw technicznych. - Cholera, w tym całym bajzlu zapomnieliśmy o kamerze. Rany boskie, jeszcze ją kto podwędzi, musimy zdemontować, już się rozwidnia, podsadzisz mnie na to drzewo... Tam został wartburg Janusza, przyprowadzisz go przy okazji, mam kluczyki...

Doradcy do spraw technicznych żał było porzucać trwające wciąż przedstawienie, ale uległ z dobrego serca, ponadto los kamery również go żywo obchodził, nie mówiąc o zamkniętej w niej, wysoce atrakcyjnej taśmie. Wydostał się z tłumu i wsiadł do redakcyjnego fiata.

Wspięcie się na właściwe drzewo i odzysk cennego urządzenia nie przedstawiały sobą żadnych trudności, sprawiając obu panom wielką ulgę. Być może, wnikliwe poszukiwania doprowadziłyby do odkrycia źródła czarownych widoków na starym prześcieradle w szopie, zważywszy jednakże pośpiech, z jakim obie ekipy filmujące opuszczały zagajnik, nikt takich poszukiwań nie czynił i kamera ocalała.

Realizacja drugiej części planu okazała się znacznie trudniejsza.

Wartburg fotoreportera stał na najdalszym od szopy skraju zagajnika, tuż przy samej szosie. Stał nieco

dziwnie. Już z pewnej odległości zbliżający się doń z kluczykami w dłoni doradca do spraw technicznych ujrzał, że pojazd ma osobliwy przechył. W pierwszej chwili z naganą pomyślał, że fotoreporter tak źle go zaparkował, ale natychmiast ujrzał prawdziwą przyczynę. Zarazem usłyszał, że sekretarz redakcji zapala już silnik fiata na szosie, zawrócił zatem i ostrym sprintem podążył ku niemu.

- Co...? - spytał z niepokojem sekretarz redakcji, kiedy doradca do spraw technicznych szarpnął drzwiczki.

- Gównno - usłyszał w odpowiedzi.  
- Nie tak zaraz Januszek odjedzie.

- Bo co?

- Na jednym kole będzie mu trudno. No, na dwóch, bo zapasowe chyba mu zostało.

- Rany boskie! Rąbnęli...?!

- A jak? Musi być w okolicy urodzaj na wartburgi. Na dwóch pieńkach stoi, trzeciego im pewnie zabrakło, bo podłożyli kamień.

- Nie do uwierzenia, żeby w obliczu lądowania pojazdu z innej planety kradli koła - powiedział z rozgoryczeniem i bardzo potępiająco sekretarz redakcji. - Co za naród cholerny...! Odkupić sobie, nie odkupi,

takich cudów nie ma, ale może da się pożyczyć. Nie mów mu o tym na razie, po co ma się niepotrzebnie zdenerwować. Zawiadomimy go delikatnie we właściwej chwili...

- Nic nie ma - powiedziała beznadziejnie ekspedientka w sklepie spożywczym o szóstej rano, ukazując puste półki. - Już wczoraj przed wieczorem cały towar wyszedł. Wszystko wykupili.

- Może w magazynie pani co ma? - upierała się rozpaczliwie jedyna klientka. - Pani, przecie ja muszę co kupić! Nic wczoraj nie wiedziałam, że

taki rejwoch, pranie robiłam, a czy to wiadomo, co jeszcze będzie?

- Nic nie będzie, nie słyszała pani? Żadnych Marsjan nie było, podobnież ludzie cyrk zrobili. Tamte odleciały, te odjadą, to się uspokoi.

- A kiedy pani będzie co miała?

- A bo ja wiem? Jak dowiozą, to będzie.

- O mój ty Boże drogi, toć z głodu zdychać przyjdzie, a jak się zrobi trzecia wojna...? Żeby choć z pół litra spirytusu!

- Spirytusem pani wojny nie wygrasz. Może w perfumeryjnym

jeszcze mydło jest, bo już wczoraj od południa kierownik tylko po dwie kostki dawał...

Nadzieja na broń potężniejszą od spirytusu wymiotła pokrzywdzoną klientkę ze sklepu spożywczego i wepchnęła w tłok przed perfumerią, gdzie czekano na otwarcie, a wieść niosła, że pozostał jeszcze proszek do zębów.

Kawiarnia prosperowała przez całą noc, co było ewenementem znacznie bardziej niezwykłym niż wizyta z kosmosu. Złożyły się na to dwie przyczyny. Jedną z nich stał się konflikt, w jaki popadli konwojenci z podobną placówką w Rykach. Przez zemstę

poprzedniego poranka cały swój ładunek przywieźli do Garwolina i zostawili wbrew protestom kierownika, który mógł wprawdzie serwować skamieniałe pączki, ale obawiał się sernika i produktów treściwszych. Akurat była to metka, rodzaj wędliny psujący się najszybciej. W wyobraźni już widział protokół zniszczeń towaru i słyszał pretensje SANEPID-u, z którym był nieco na bakier. Ugiął się jednak, przyjął wszystko i teraz sam sobie składał gratulacje za uległość. Całą noc i nawet rano miał co podawać, nie narażając się na zdemolowanie lokalu.

Drugą przyczyną był fakt pokrewieństwa, łączącego jego żonę z

małżonką przewodniczącego Rady Narodowej. Dzięki koneksjom rodzinnym przewodniczący, doszczętnie skołowany operacją sekretarza POP-u, od ręki podpisał zezwolenie na całonocną działalność placówki gastronomicznej, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Kierownik kawiarni zatem był kryty i bardzo zadowolony, personel zaś chętnie przepracował godziny nadliczbowe, bo i tak nikt by nie poszedł do domu w obliczu sensacji na rynku. Tym sposobem pracownice kawiarni były jedynymi osobami, które całe widowisko oglądały za pieniądze.

Bohaterowie dramatu okupowali

ciągle ten sam stolik, zmieniając się na posterunku. Zdrzemnąć się mogli w samochodach, odświeżyć pod pompą na tyłach komisariatu MO i z nowymi siłami powracać do uczestnictwa w wydarzeniach. Fotoreporter udzielał właśnie ostatnich wiadomości z placu boju.

- W prasie nie ma ani słowa - informował z satysfakcją. - Mogli zdążyć śpiewająco, ale nie dostali dyrektyw, bo ci na górze zgłupieli do reszty. Nikt nie wiedział, co pisać, więc się wstrzymali. Ludzie są kompletnie skołowani, nauczyciel matematyki dostał szału, złożył rezygnację ze stanowiska, ściśle biorąc, napisał, złożyć na razie

nie ma komu, poza tym odgraża się, że wytoczy sprawę sądową i będzie żądał odszkodowania za straty moralne, tylko jeszcze nie wie, od kogo. Zdaje się, że od Ośrodka Badania Opinii Publicznej...

- Doskonale! - ucieszył się socjolog. - Sam z nim porozmawiam! Od razu może, zanim się złączą lekcje w szkole!

Zerwał się od stolika i wybiegł. Na jego miejscu pojawił się pan w sile wieku, którego widok poderwał sekretarza redakcji z krzesła.

- Witam, panie profesorze, witam, to zaszczyt dla nas! Prosimy...

- Cały czas, oczywiście, byłem sceptycznie nastawiony - mówił pan profesor. - Ale muszę przyznać, że zdjęcia wyszły szalenie sugestywnie. Gdyby nie komunikat w radiu, zapewne dopiero po paru godzinach wykryłoby się mistyfikację. Komunikat głosił prawdę...? - dodał nagle podejrzliwie.

- Prawdę - zapewnił sekretarz redakcji. - Lądowanie było fikcyjne, to znaczy niezupełnie, rzeczywiście wylądowali, wszyscy widzieli, ale nie pochodzili z innej planety. Tu pan widzi jednego...

Grafik uklonił się grzecznie, pan profesor przyjrzał mu się nieufnie i wrócił do tematu.

- Intryguje mnie jedno...

Przeszukał trzymane w ręku zdjęcia, część z nich upuszczając na podłogę. Sekretarz redakcji uprzejmie je podnosił.

- O, to! Co to było, panie redaktorze, to coś na kiju?

Sekretarz redakcji spojrzał.

- Wentylator - wyznał z odrobiną skruchy. - Taki mały, pokojowy wentylatorek, zdjęty z nóżki. Dobrze wyszedł, co?

- No, nieźle, nieźle... Ale, swoją

drogą, zrobiliście nam kawał.

- Bardzo nam przykro, jeśli pan profesor przyjeżdżał specjalnie...

- A, nie. Ja i tak bym tędy jechał, bo wracałem z Lublina. Tyle że przyśpieszyliśmy wyjazd, żeby obejrzeć ten tajemniczy wehikuł. Tak na wszelki wypadek, chociaż, oczywiście, nikt w to nie wierzył... Moje uszanowanie panom.

- Kłaniamy się, panie profesorze...  
Na opróżnione krzesło padł satyryk.

- Nikt nie wierzy w dementi -  
oznajmił. - Nikt nie wierzy także w  
istoty z innej planety. Ogólnie biorąc,  
nikt w nic nie wierzy i wszyscy się

kłóćą. Sekretarz POP-u rzuca groźby karalne, wyraził zgodę na operację tylko przez to lądowanie przybyszów z kosmosu i jeśli okażą się fikcją, to on nam jeszcze pokaże.

- Nam, to znaczy komu? -  
zainteresował się sekretarz redakcji. -  
Oficjalnie wszystko zorganizował  
Ośrodek Badania Opinii Publicznej. Nie  
przyznałeś się chyba...?

- No coś ty? Za głupiego mnie  
masz? Gdyby wiedzieli, że to my,  
rozszarpaliby nas na sztuki. Mają tu  
kawę?

- Mają, mają. I nawet jajecznicę  
można dostać...

Do stolika wróciła sekretarka. Trzymała się najlepiej ze wszystkich. Zważywszy iż ślubu z fotoreporterem jeszcze nie było, postanowiła wytrwać do końca wbrew uciążliwościom i przeszkodom. Życie traktowało ją dotychczas dość ulgowo, nie wyzuła się z sił, wręcz przeciwnie, czuła w sobie moce ogromne i te moce pozwoliły jej załatwić sprawę kół narzeczonego. Fotoreporter o nieszczęściu został już powiadomiony i nawet zdążył odzyskać równowagę, co nastąpiło dość szybko, ponieważ sekretarka od razu zaoferowała fachową pomoc.

Powitano ją teraz wielkim zainteresowaniem.

- Załatwione - zakomunikowała beznamiętnie, kryjąc dumę i satysfakcję.  
- Dodzwoniłam się.

- Skąd dzwoniłaś? - zaciekawił się satyryk. - Poczta oblężona...

- Musiałabym upaść na głowę, żeby się pchać na pocztę. Z Rady Narodowej. Tam już siedzi sekretarka przewodniczącego, nie mogła spać ze zdenerwowania, więc przyszła do pracy na kawę.

- I co? - spytał niecierpliwie fotoreporter.

- Przyjedzie taki jeden Kazio z MHZ-u. Złapałam go jeszcze w domu.

Przywiezie dwa koła do Wartburga.

- W ministerstwie mają? -  
zainteresował się chciwie satyryk.

- No pewnie, że mają. W  
utajnionym magazynie. Przywiezie  
osobiście, ale nie za darmo.

- Ja mu zapłacę... - zaczął żywo  
fotoreporter, ale narzeczona machnęła  
ręką na tę obietnicę. Lekko zakłopotana  
zwróciła się do sekretarza redakcji.

- Panie redaktorze, on chce, żeby  
prasa pochwaliła koreańskie nożyczki.  
Sama z siebie, spontanicznie. Ma z tym  
kłopoty, bo sam załatwiał transakcję.

- Co za nożyczki? - spytał sekretarz redakcji podejrzliwie i z odruchem protestu.

- Zwyczajne nożyczki, zupełnie okropne. Rozlatują się po trzech cięciach, ale już zostały wykupione, bo innych nie ma. Napływają reklamacje. Sprowadził je ze względów politycznych, zalecenie odgórne, ale w razie czego będzie na niego, bo góra się wyprze, więc żąda chociaż pochwalnej wzmianki. Za to wiezie koła. Może powinno się popilnować w tym lasku, żeby nie rąbnęli trzeciego. Propozycja miała głęboki sens i natychmiast została przyjęta. Sekretarz redakcji wyrzekł się redakcyjnego fiata, podając kluczyki

sekretarce.

- Masz, niech cię tam Janusz zawiezie. Kiedy ten Kazio przyjedzie?

- Za półtorej godziny będzie...

Fotoreporter nie odzywał się ani słowem, wpatrując się w narzeczoną niczym w obraz święty. Na myśl, że mógł się jej nie oświadczyć, przeoczyć ten cud, ogarnęła go niemal zgroza. Musiał być ślepym kretynem, skoro przez cały rok nie dostrzegał jej zalet, gdzie miał oczy i rozum...? Wciąż w milczeniu wyjął jej z ręki kluczyki i podniósł się od stolika.

Historyk i architekt odnaleźli się wzajemnie po powrocie z leśnej polany, gdzie nie zastali już nawet chłopaka od krów. Obaj zamierzali kontynuować przerwana podróż do Warszawy, ale pierwsze autobusy okazały się tak przerażająco zatłoczone, że zgodnie postanowili przeczekać. W barze mlecznym podawano wyłącznie kluski własnej roboty z mąki i wody, innych produktów bowiem zabrakło, w restauracji był jeszcze zagraniczny koniak, upiornie drogi, i śledzie z beczki, których nie miał kto oczyścić i przyrządzić, szczególnie iż nie zostały wymoczone. Trafili wreszcie do kawiarni, gdzie akurat sekretarka i fotoreporter zwolnili dwa krzesła.

- Panowie pozwolą...? - spytał z roztargnieniem historyk i nie czekając na odpowiedź, ciągnął swoją myśl: - A otóż wcale nie zostało powiedziane, że taka rzecz jest niemożliwa. Kwestia przebycia odległości dla energii nie istnieje, może źle mówię, myśl ludzka, dla myśli ludzkiej nie ma przestrzeni, a w końcu encefalograf wykazuje, że myśl jest materialna!

- My na krótką chwilę - powiedział architekt. - Coś zjeść albo chociaż kawę... Dematerializacja w jednym miejscu i materializacja w drugim, o to panu chodzi, tak?

- Jądro atomu też nie było nam znane nie tak dawno temu - odparł

płomiennie historyk.

Sekretarz redakcji zainteresował się tymi słowami tak gwałtownie, że gotów był oddać swoje własne krzesło, chociaż po paru godzinach badania na rynku opinii publicznej nóg nie czuł. Jakaś nowa opinia właśnie do niego przyszła, chwycił ją pazurami i zębami.

- To znaczy, co pan właściwie suponuje? - spytał gwałtownie i wręcz napastliwie.

Historyk się nie ugiął.

- Sponuję, iż kontakt z inną galaktyką nie jest wykluczony. Bez względu na odległość. Czytałem,

wyznaję iż nader nikłe, materiały z dokonywanych właśnie badań, może z nich wynikać, podkreślam, może, ale nie musi, nie jestem maniakiem, że nasze pojęcia o materii i energii znajdują się w powijakach. Jądro atomu to dziecinna rozrywka...

- Pogląd wysoce racjonalny - pochwalił satyryk jadowicie.

- Zaczęli już produkować bombę dla sklepów z zabawkami? - zaciekawiał się doradca do spraw technicznych.

- Cicho! - wrzasnął z gniewem sekretarz redakcji. - Zamknijcie te głupie gęby!

- Panowie spływają problem! -  
zdenerwował się historyk. - A  
tymczasem mózg, producent myśli, to są  
zawirowania! Przekształcenie materii w  
energię! Sprawa nader sporna,  
niedokładnie jeszcze zbadana, podobnie  
wygląda historia z telepatią, a zwracam  
panom uwagę, że jednostki o umyśle  
twórczym przez całe wieki bywały  
palone na stosie...!

Wszyscy poczuli się lekko  
oszołomieni, historyk stosował bowiem  
zbyt wielkie może skróty myślowe.  
Sekretarz redakcji odpędził je od siebie  
machnięciem ręki, interesowało go tylko  
jedno i ku temu dążył z uporem.

- Chce pan powiedzieć, że istnieje

możliwość przeniesienia materii w inne miejsce i w dowolnym czasie za pomocą przekształcenia jej w energię? - spytał z zachłanną nadzieją. - Wszystko jedno, jak to nazwać, telepatia, zawirowania prądy biologiczne...

- Straty ciepła - podsunął zachęcająco architekt.

- Hibernacja... Nie, to nie to. Założmy, upraszczając, te zapalki znikają ze stołu i pojawiają się w Australii...

- A nawet w innym systemie słonecznym - podchwycił żywo historyk.  
- Tak jest, właśnie w tym rzecz! Nie wiem, czy w innych systemach

słonecznych używa się czegoś takiego jak zapalki...

- Szczególnie z Sianek - wtrącił melancholijnie satyryk. - Chyba próbują zbadać, do czego służą, pryskają i wypalają dziury w odzieży, nie chcąc się zapalać. Osobliwość.

Doradca do spraw technicznych doznał wrażenia, że rozumie, o czym jest mowa.

- Zaraz - przerwał stanowczo. - Ale to w takim razie ów pojazd z kosmosu powinien zniknąć nagle z rynku u siebie i równie nagle pojawić się na rynku w Garwolinie...

- Wehikuł czasu - wypowiedział satyryk, czytany we właściwej lekturze. Naukowych możliwości, wynikających z głoszonych przez historyka poglądów, nie pojmował wprawdzie wcale, ale nic mu to nie szkodziło.

- Nie - zaprzeczył z ogniem historyk. - Przyznaję, że są to moje osobiste wnioski, a nie efekt badań, ale uważam, że materializacja, nazwijmy to tak, może nastąpić w dowolnym miejscu i w dowolnym momencie. Przestrzeń lat świetlnych przebywa w mgnieniu oka, materializuje się w naszej atmosferze i podlega znanym prawom fizyki. I ląduje...

Promieniująca z niego potężna siła

sprawiła, że na krótką chwilę wszyscy zapomnieli, skąd się wziął pojazd kosmiczny na garwolińskim rynku. A może istotnie zdematerializował się gdzieś tam i zmaterializował tutaj...? Gapiąc się na zachwycającego faceta, sekretarz redakcji doznawał uczuć nieziemskich, zmarła naturalną śmiercią nadzieja odżywała w nim na nowo.

- Skąd pan wie? - spytał chciwie.

- To znaczy, gdzie pan to czytał? Skąd te materiały?

Historyk zakłopotał się, ale tylko nieznacznie i zaledwie odrobinę.

- Szczerze mówiąc...

Zaprezentowano mi to poufnie. Było u

nas sympozjum, przyjechał z Londynu mój szkolny kolega, przed wojną byliśmy zaprzyjaźnieni, w trzydziestym dziewiątym roku nie zdążył wrócić z wakacji w Anglii... W zasadzie biolog, ale zainteresowany tematem. Panowie słyszeli może o radiestezi...?

- Szarlataneria albo wielka nowość - zaopiniował satyryk.

- To drugie - rzekł z naciskiem historyk. - Wyładowania elektryczne też uważano kiedyś za szarlatanerię. Otóż kwestia prądów biologicznych... Na razie początki naukowych badań, temat wysoce kontrowersyjny, materiały, które mi pokazywał, z pewnością o niczym jeszcze nie świadczą, ale wyraźnie

prezentują nie znane dotychczas możliwości. Te tajemnicze zawirowania przemówiły do mnie i pozwoliłem sobie pójść dalej. W rozważaniach.

Stanowczo twierdzą, że pokonanie lat świetlnych nie jest niemożliwe!

- Szampana...!!! - powiedział cichutko sekretarz redakcji. - I ostryg...

- Zwariował - stwierdził ze zgrozą satyryk. - Szampan i ostrygi w Garwolinie...!

Ekipa redakcyjna z Gdańska dobijała wreszcie do Garwolina. Ostatnią wulkanizację dętek

przeprowadzono w Kołbieli, gdzie udało się nabyć od wulkanizatora jedną dętkę prawie całkiem nową, nie za same pieniądze, rzecz jasna, tylko za kontakt z marynarskim importem. Szosa była dość zatłoczona w obie strony.

- Spóźnieni jesteśmy, ale wniosując z ruchu, coś tam się jeszcze dzieje - zauważył smętnie sprawozdawca sportowy, usiłując pocieszyć swoich pasażerów.

- Zjemy coś, odpoczniemy i wracamy - zdecydował krytyk teatralny.

- Co do jedzenia, mam wątpliwości - rzekł ostrzegawczo

specjalista od połowów rybackich. - Jak znam własny kraj, od wczoraj wyzarli wszystko.

- Ale jest tam mój brat, nie? - przypomniał sprawozdawca kryminalny, który spowodował wyprawę. - Jakieś zaopatrzenie skombinuje.

- Co on tam w ogóle robi?

- Nic. Jest na rencie inwalidzkiej. Łamaga z uszkodzonym kręgosłupem, ale tak między nami mówiąc, trzyma się nieźle. Mieszka w Garwolinie, bo się ożenił z tamtejszą badylarzówną, złota dziewczyna, chodzi koło niego jak koło śmierdzącego jajka. A on zapadł na hobby botaniczne i każe jej hodować

roślinki lecznicze. Ogląda je sobie pod mikroskopem, coś tam pisuje na ten temat i nawet mu to czasem drukują.

- No to żarcie u nich jest! -  
ucieszył się krytyk teatralny. - Postój  
można zrobić...

Kronika filmowa i telewizja pakowały swój sprzęt, zamierzając opuścić Garwolin nie tyle w braku atrakcji, ile w braku pożywienia i napojów. Przywiezione o północy z Warszawy zapasy już się skończyły, a i to dostarczone zostały tylko dzięki temu, że w telewizji dyżurował kumpel, żywo zainteresowany kwestią prowincjonalnej

orgii. Na wyjazd już się nie zdążył załapać, oczekiwał przy odbiorniku informacji i doczekał się komunikatu o zaziemskich istotach oraz prośby o wsparcie. Tego już nie wytrzymał, znalazł zastępstwo na dyżur i sam przywiózł prowiant, ogołociwszy własny dom.

Wtajemniczony w sprawę Wiesio przyszedł do kawiarni po instrukcje i sekretarz redakcji zwolnił go z posterunku. Wiesiowi wszystkie wydarzenia podobały się nadzwyczajnie, z lekkim żalem zatem i bez najmniejszego pośpiechu przystąpił do zbierania i gromadzenia urządzeń, które sam przedtem rozwłóczył po

mieście.

Fotoreporter, sekretarka i tajemniczy Kazio z MHZ-u przybyli do kawiarni w chwili, kiedy głośniki na słupach porzuciły rudego rydza i gruchnęły powtórzeniem poprzedniej informacji. Fikcyjne lądowanie zorganizował Ośrodek Badania Opinii Publicznej, wystąpili przebrani dziennikarze, przeistoczony helikopter i tak dalej. Naród słuchał sceptycznie.

- A w gazetach nie ma ani słowa, widzisz pan? - mówił jeden facet do drugiego, rozkładając prasę przy kiosku „Ruchu”. - Jakiś kant w tym musi być, ja tam nikomu nie wierzę.

- Gadają, że nic nie było i nic nie będzie, żeby ludzie cukru nie wykupili - przyświadczył drugi. - Jak tak gadają, znaczy wiadomo, że wszystkiego zabraknie.

- Do monopolu czystą przywieźli - zawiadomił poufnie trzeci. - Tam jest przytomny kierownik, baby już stoją.

- Piją te Marsjanie...?

- A cholera ich wie...

- Ja tam w żadnych Marsjan też nie wierzę. Już by akurat ruskie ich do nas dopuściły...!

- Takie krzyki, że nieprawda,

panie, to coś musi znaczyć!

- A tam, znaczy, nie znaczy, niech przylecą jeszcze raz, to się człowiek zastanowi...

- No niech pan sam popatrzy, o co chodzi, przecież tną! - mówił zdenerwowany Kazio z MHZ-u, prezentując sekretarzowi redakcji nożyczki zadziwiająco dopasowane wyglądem zewnętrznym do sztuców w barze mlecznym i przerywając objawy ścisłej przyjaźni, jaka rosła już pomiędzy nim a historykiem. - O, proszę...!

Chwyciwszy kawiarniany rachunek, spróbował odciąć od niego kawałek narożnika. Mocno skręcone nożyczki nie chciały się rozewrzeć. Kazio użył obu rąk i dużej siły, nożyczki rozwarły się gwałtownie, nadcięły papier odrobinę, a resztę zgmiotły. Kazio spróbował ponownie, nożyczki rozluźniły się całkowicie i zaczęły klekotać. Rozejrzał się, porwał nóż, przykręcił śrubkę, nożyczki znów się zacięły. Kazio spociał się lekko, a sekretarz redakcji obserwował jego wysiłki w milczeniu.

- Schowaj pan ten przedmiot - zażądał wreszcie stanowczo. - Ja muszę mieć przynajmniej złudzenia.

Wzrok bez wyrazu skierował na satyryka. Satyryk wzruszył ramionami.

- Dobra, dlaczego nie...

- Napisze pan? - ożywił się Kazio.

- Pozytywnie...?

- Mnie płacą za każdą literę. Tanie to?

- Jak barszcz! Za grosze!

- W porządku, produkcja dla mas... Historyk niecierpliwie czekał, kiedy będzie mógł podjąć przerwana dyskusję. W założeniach obaj z sekretarzem redakcji zorganizowali już całą komunikację międzyplanetarną.

- Zatem - rzekł - zawirowania. To już nie cząstki, to znacznie subtelniejsza sprawa niż promieniowanie, to musi lecieć...

- O, jest pan Zdzisław - zauważyła sekretarka, wyglądając przez okno. - Wygląda, jakby miał dosyć. Będziemy wracać?

- Najwyższy czas - odezwał się milczący dotychczas grafik. - Powiem państwu, że jestem dumny z siebie, nie spodziewałem się aż takiego efektu. Całą tę hecę uważam za osobisty sukces, musiałem chyba mieć jakieś natchnienia...

Podniósł się od stolika, a razem z

nim podniósł się architekt.

- A co? - spytał ciekawie. - Te stroje, to pan...?

- Ja. Od początku do końca.

- Wyrazy uznania. Niech mi pan powie wobec tego, co to było, te takie małe, szkliste, połyskujące, mieli to na karku...

- Bańki lekarskie.

- Genialne! Ale wie pan, nie krytykuję, broń Boże, ale tył bym zrobił jednak trochę inaczej...

Ruszyli ku wyjściu i przepuścili

socjologa, który padł na opróżnione krzesło, ocierając pot z czoła.

- Panowie, proszę państwa, w najśmielszych marzeniach nie spodziewałbym się takiej okazji! To jest materiał na dwa doktoraty, na trzy...! A co... Jak to...? Mamy już wracać?!

- W Garwolinie też panuje ciasnota mieszkaniowa - zwrócił mu uprzejmie uwagę satyryk. - Nie ma się gdzie zagnieździć, tę kawiarnię na ogół w nocy zamykają. Kierownik jest ciotecznym szwagrem przewodniczącego Rady Narodowej i wyłudził zezwolenie na wyjątkowe otwarcie w sytuacji awaryjnej. Poufnie udało mi się dowiedzieć, że miał

nadmiar psującego się towaru i wyrabiał sobie premię. To ten sernik na początku i chyba metka.... Ale sam pan widzi, że warunki sanitarne trochę uciążliwe...

Socjolog opamiętał się nieco i rozejrzał po otoczeniu. Sekretarz redakcji i historyk wymieniali adresy i numery telefonów, fotoreporter czołgał się na czworakach pod stolikami, zbierając swoje rozproszone futerały, sekretarka przytomnie zamówiła jeszcze jedną kawę dla wszystkich, sprawdzając równocześnie rachunki, które miały pójść w koszty funduszu na krzewienie kultury. Doradca do spraw technicznych ocknął się z krótkiej drzemki i obaj z satyrykiem zagapili się w okno.

Z drugiej strony rynku majestatycznie wykręcił autobus PKS. Pasażerowie zaczęli wysiadać, na przystanku dla wysiadających ustawiała się już długa kolejka. Kierowca wysiadł również i podszedł do drugiego kierowcy, opartego o drzwi swojego autobusu.

- ...Pewnie, że widziałem - powiedział drugi kierowca, zapalając papierosa. - Od samego początku do końca, jak raz miałem tu postój i jeszcze trzynaście minut do odjazdu. A kto by odjechał?!

- Cholera - rzekł z goryczą

pierwszy. - Akurat mi wczoraj wypadł wolny dzień. Niech to gęś zarąbie, zawsze człowieka najlepsze ominie, niefart mam, czy co? Powiesz, jak było?

- A dlaczego nie? Własnymi oczami patrzyłem. Pierwszy raz pokazało się tam, o...!

Wskazał palcem błękitne już niebo i zastygł z uniesioną w górę ręką. Na niebie widać było maleńki świetlisty punkcik. Obaj patrzyli nań przez chwilę z zadartymi głowami.

- Akurat w tym miejscu? - spytał z zainteresowaniem pierwszy kierowca.

- Jak w sam raz - odparł drugi. - I

całkiem takie samo jak to...

Punkcik lśnił na nieboskłonie i tak jakby powolutku rósł...

Dziennikarze z Gdańska dojechali do Garwolina w momencie, kiedy megafony uliczne wyrykiwały powtórzenie dementi. Zatrzymali się przed wjazdem na rynek, akurat pod słupem z pierwszym gigantofonem, ponieważ na szosę wyjeżdżał traktor z dwiema przyczepami. Okna w samochodzie mieli otwarte, silnik opla na luzie pracował bardzo cicho. Usłyszeli komunikat.

- Co...?! - wykrzyknął z oburzeniem sprawozdawca sportowy.

- Hej, co za granda? - zgorszył się krytyk teatralny. - Co to ma znaczyć? Prima aprilis? O dwa miesiące spóźniony?

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział z irytacją specjalista od połowów rybackich. - Ty, co ten twój brat...? Mówiłeś, że był trzeźwy!

- Jak świnia - przyświadczył w lekkim oszołomieniu sprawozdawca kryminalny. - I, jak Boga kocham, widział ich na własne oczy!

- I na własne oczy oglądał

sprostowanie w tym jakimś lesie...?

- A skąd mam wiedzieć, do cholery, co oglądał w lesie, przecież byliśmy już w drodze...!

- Chłopaki - zaczął złym głosem sprawozdawca sportowy. - Jak ja przez całą noc kleję dętki dla pucu...

- Tyś zgłupiał, czy jak? - zdenerwował się sprawozdawca kryminalny. - Pierwsza lepsza informacja oficjalna i już w nią wierzysz?! Dziecko jesteś?! Jakiś kant piramidalny! Mój brat ma uszkodzony kręgosłup, a nie wzrok ani umysł! Botanika to jeszcze nie jest dowód wariactwa!

- No i żona badylarzówna... -  
wtrącił przytomnie krytyk teatralny.

- Mówił, że widzi! Mowy nie ma,  
żeby to było nasze! A mąż Zosi też  
widział! Obaj mieli omamy?!!! Gówna  
pieprzą przez to całe kretyńskie radio,  
kto wierzy w radio?! Debil!!! Wtrąciły  
się władze...!!!

- Zaraz, spokojnie - powiedział  
specjalista od połowów rybackich. -  
Pies trącał władze. Tutaj ludzie musieli  
coś widzieć, spytajmy kogo.

Przypadek zrządził, iż obok  
samochodu przechodził prawy obrońca  
miejscowej drużyny piłkarskiej III ligi,  
w cywilu konwojent mleczarni, jeden z

szybkobiegaczy, którzy poprzedniego wieczoru dotarli na leśną polankę zaraz po zniknięciu z niej chłopaka od krów. Zatrzymany okrzykami z okna samochodu, chętnie udzielił informacji.

- E tam, jakie zaś - odparł na liczne i gwałtowne pytania. - Sam tam byłem i całkiem zaraz. Nic się nie działo.

- Może to była inna polana? - spytał podejrzliwie sprawozdawca sportowy.

- E tam, inna. Całkiem ta co trzeba. Wcale nieprawda, że co było można oglądać, fotomontaż i szkliwo. Jeden był podobnież tuż wcześniej i

widział wszystko, ale za skarby podobnież mordy nie chciał rozewrzeć i tyle powiedział, że niemożliwa rzecz. Stał podobnież jak taki stupor, ludzkiej mowy zapomniał, te pierwsze się na niego nadziały, a potem jakoś wyparował. Jakieś tam się pierniki działy, coś było, ale jedna żywa dusza nie wie co. W tem radiu głodne kawałki pier... tego... pieprzą. Sam patrzałem, śladu w tem lesie ani tyle, co gwizdu za uszami.

Informacja brzmiała ściśle i wiarygodnie. Społeczeństwo samo widziało.

- A ten jeden to podobnież oglądał takie rzeczy, że w oczach się mieni -

dodał jeszcze tajemniczo prawy obrońca. - Zesztywniał i w takie jakby słupek wpadł. Z pyska mu słowo ludzkie nie wychodziło.

Ekipa z Gdańska poczuła się zaintrygowana na nowo. Jedyne widzenie w lesie mógł zostać porażony ziemskim promieniowaniem, stąd jego małomówność. Naoczny świadek stwierdzał, iż radio zełgało co do leśnej polanki. Wypytał go jeszcze, czy miejsca tam było dosyć, czy ewentualny helikopter mógł wylądować, czy między komunikatem a sprawdzaniem nie upłynęło zbyt wiele czasu, czy nikt nie natknął się na jakieś dziwne przyrodziane osoby, czy owego widza nie

zabrało przypadkiem pogotowie z zakładu dla nerwowo chorych, zorientowano się wreszcie, że nikt nic nie wie. Sprawozdawcy sportowemu groźby w kwestii dętek zamarły na ustach.

Droga już dawno była wolna, traktor znikł na horyzoncie, prawy obrońca oddalił się, pełen dumy ze swej wiedzy, a sprawozdawca sportowy jeszcze nie był zdolny ruszyć z miejsca. Zmobilizował się wreszcie, wrzucił pierwszy bieg, nabrał przyśpieszenia, wrzucił drugi, mimo woli spojrzął na niebo, o którym cały czas była mowa, i wjechał na chodnik. Odruchowo wrócił na jezdnię i znów zatrzymał samochód,

wpatrzony uporczywie w ten sam element.

W przestworzach ciągle rósł ten sam malutki, świetlisty punkcik...

Sekretarz redakcji, historyk, doradca do spraw technicznych, satyryk, fotoreporter i sekretarka opuścili wreszcie kawiarnię. Kazio z nożyczkami, pełen ulgi i całkowicie wyzuty z zainteresowania innymi planetami, oddalił się nieco wcześniej w sposób niezauważalny. Na rynku stał fiat redakcyjny i wartburg fotoreportera na pożyczonych kołach. Telewizja i kronika filmowa u wylotu bocznej ulicy

były już prawie gotowe do drogi.

- Czekaście, kupię sobie papierosy  
- powiedział satyryk. - Może jeszcze coś  
mają w kiosku.

- Kup i dla mnie - poprosił  
fotoreporter, z trudem odrywając wzrok  
od sekretarki, która coraz bardziej  
wydawała mu się istotą niebiańską. -  
Ekstra mocne, jeśli będą, a jak nie, to  
cokolwiek.

Satyryk udał się w kierunku kiosku  
„Ruchu”. Pozostali zatrzymali się przy  
samochodzie, czekając na niego.

Świetlisty punkt na niebie rósł i  
obniżał się coraz wyraźniej.

- Drugi raz lądują? - zdziwił się pierwszy kierowca przy autobusie, patrząc w górę.

- A diabli ich wiedzą - odparł drugi niepewnie. - Całkiem tak samo wyglądało wczoraj. Masz okazję, gap się. Możliwe, że robią powtórzenie dla kroniki filmowej, o, kronika tam stoi...

- To co, to by można jeszcze zobaczyć...?

- A ja wiem...? Może i można...

Satyryk kupił papierosy, odwrócił się od kiosku „Ruchu”, dostrzegł kierowców z zadartymi głowami, mimo woli również spojrział w niebo i zamarł.

Nad rynkiem wyraźnie było widoczne i wyraźnie obniżało się bez szmeru pękate srebrzyste wrzeciono, nad którym wirował świetlisty krąg. Satyryk osłupiałym wzrokiem popatrzył na stojące w pobliżu samochodu, na kolegów obok nich, znów rzucił okiem na wrzeciono, po czym nagle, w sposób widoczny przemagając bezwład, ruszył biegiem w kierunku współpracowników, którzy zaczynali już wsiadać do pojazdów.

- Stójcie, do cholery! -

wycharczał, z trudem łapiąc oddech. -  
Stójcie! Oczu nie macie...? Popatrzcie,  
tam...! Co to jest...?!!!

Wszyscy spojrzeli najpierw na  
niego, potem zaś w górę i zastygli w  
bezruchu.

Świetliste wrzeciono obniżyło się  
zupełnie i już wisiało nad rynkiem. Nie  
produkowało żadnych dźwięków, poza  
cichym świstem powietrza,  
rozpędzanego wirującym świetlistym  
kręgiem. Do niczego nie było podobne.

Fotoreporter potrzęsnał głową i  
przetarł oczy. Reszta stała nieruchomo  
niczym kamienne rzeźby, nie odzywając  
się ani słowem, i tylko na czole

sekretarza redakcji zaczęły pojawiać się kropelki potu. Do zmartwiałej grupy podbiegł truchcikiem socjolog, który opuścił kawiarnię z drobnym opóźnieniem.

- Jak to...? - bąknął, zdumiony. -  
Co to...? To przecież nie my...?

Nikt nie udzielił mu odpowiedzi. Lśniący przedmiot schodził w dół tak nieznacznie, że tego ruchu w ogóle nie było widać. Znajdował się już zaledwie dziesięć metrów nad rynkiem, powstrzymał obniżanie i trwał w powietrzu nieruchomo. Tylko świetlisty krąg wirował nad nim nieprzerwanie.

Pasażerowie wypełnionego już autobusu z miernym zaciekawieniem wyglądali przez okna.

- No to cześć - powiedział drugi kierowca do pierwszego. - Na mnie czas. Już to wczoraj widziałem. Jednakowoż chyba masz fart.

Rzucił niedopałek papierosa, przydeptał go, wsiadł do swojego autobusu, zapalił silnik i ruszył. Pierwszy kierowca, nie odrywając chciwego wzroku od przedmiotu nad rynkiem, cofnął się, wspiął do swojej szoferki i przejechał pustym autobusem na przystanek dla wsiadających. Następnie wysiadł, wsparł się o drzwi i cały poświęcił wrażeniom wzrokowym.

Samochód gdańskiego sprawozdawcy sportowego z poślizgiem zahamował przy skamieniałej grupie na rynku. W szalonym pośpiechu wyskoczyli z niego wszyscy pasażerowie.

- Cześć, Andrzejku! - zawołał krytyk teatralny do satyryka, z którym znali się od dziecka. - Co jest...? Nam wyszło, że to miało być wczoraj?

- Czołem, panowie - powiedział ogólnie sprawozdawca sportowy. - To jednak zdążyliśmy...? Cholera, całą drogę łapałem dętki, już myślałem, że

jestem w malinach! Jeśli to jest dzisiaj,  
to co było wczoraj?

- Ej, to świetnie wygląda! -  
zachwycił się specjalista od połowów  
rybackich, gwałtownie wyrywając z  
futurału aparat i pstrykając zdjęcia. - O  
co tu chodzi? Kto to zrobił?  
Pierwszorządnie wyszło!

Żaden z nich nie uzyskał w  
odpowiedzi ni słowa, ni spojrzenia.  
Specjalista od połowów rybackich  
obejrzał się na fotoreportera.

- Co jest, Januszek? - zdumiał się.  
- Paraliż rączki? Takie fotki u nas to  
rzadka okazja! Kaset ci już zabrakło?

Krytyk teatralny niecierpliwie trącił satyryka.

- Mówże coś! Mowę ci odjęło?

Nic nie rozumiem, było już co wcześniej czy nic?

Satyryk drgnął i popatrzył na niego trochę nieprzytomnie.

- Co? - spytał słabo. - Nie, nic...

- To co to za maniana z tym komunikatem radiowym? Słyszeliśmy wszyscy! Wyrwało im się przed czasem? Pójdzie kto siedzieć? O co chodzi w ogóle i dlaczego tak mało ludzi? Gdzie kordon MO?!

Miejscowa grupa dziennikarska uparcie zachowywała milczenie i bezruch. Wszystkie oczy utkwione były w srebrzystym wrzecionie. Nikt nawet nie mrugał.

Wrzeciono znów zaczęło się zniżać takim samym, niezauważalnym ruchem. Nagle znalazło się dwa metry nad ziemią, potem metr, potem zaś dotknęło kocich łbów rynku. Wirujący nad nim świetlisty krąg znikł i przestał istnieć, jakby go nigdy nie było. Ekipa z Gdańska trzaskała aparatami fotograficznymi i błyskała fleszem, potrzebnym jak dziura w moście, bo w naturze świeciło wszystko, na niebie słońce, a na ziemi przedmiot

zainteresowań.

- Znakomite! - mamrotał  
specjalista od połowów rybackich. - Na  
medal! Jak wam się udało...?  
Pierwszorzędna robota, przysięgłbym,  
że to prawdziwe...

- Coś na uspokojenie - powiedział  
ponuro w aptece nauczyciel matematyki.  
- I żeby od razu działało.

- Pan nie w szkole? - zdziwił się  
kierownik apteki.

- Nie powiem panu, gdzie mam  
szkołę. Złożyłem rezygnację ze

stanowiska. Wszystko ma swoje granice.

- A ja...? - zdenerwował się kierownik apteki. - Pan wie, że to ja... Ja! Wzywałem straż pożarną! Ja uwierzyłem...!

- A ja to nie...?! - wrzasnął okropnie nauczyciel matematyki. - Nie ma dla mnie życia! Nie mam twarzy! Rezygnacji nie chcą przyjąć! Nie ma kto przyjąć! Coś na uspokojenie...!!!

Kierownik apteki zabełkotał niewyraźnie, opanował się, odwrócił i zdjął z półki małą fiolkę.

- To będzie bardzo dobre - zapewnił posępnie. - Za pierwszym

razem niech pan zażyje dwie sztuki, a potem trzy razy dziennie po jednej. Te dwie od razu. Proszę, tu jest woda.

Nauczyciel matematyki nieufnie obejrzał fiolkę, wytrząsnął na dłoń dwie tabletki, podejrzliwie spojrzął na aptekarza i ujął szklanekę.

- Ja już nikomu nie wierzę - oznajmił stanowczo.

Połknął tabletki, popił wodą i schował fiolkę do kieszeni.

- Do widzenia - mruknął niezbyt uprzejmie. Odwrócił się, podszedł do drzwi, ujął klamkę i nagle znieruchomiał. Przez chwilę trwał,

wpatrzony w rynek.

- Tfu! - powiedział nagle ze wstrętem. Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, i oddalił się pośpiesznie.

Zaciekawiony wbrew sobie, kierownik apteki wydostał się zza lady, podszedł do oszklonych drzwi i wyjrzał.

Lśniące wrzeciono jakby drgnęło i spłynęła z niego w dół istota, bardzo podobna do człowieka. Na górze miała szklistą banię, na dole dwie nogi, pomiędzy nimi zaś średnio pękaty kadłub i cztery ruchliwe ręce. Na wszystkie strony sterczały z niej jakby cienkie patyczki, nasuwające wprawdzie silne skojarzenie z drutami do wełny

numer trzy i pół, ale znacznie od nich subtelniejsze. Za nią spłynęła druga, identyczna istota. Po chwili dookoła pojazdu stało ich już pięć.

Kierownik apteki wrócił za ladę, znalazł jeszcze jedną małą fiolkę, wytrząsnął z niej dwie tabletki i zażył je, popijając wodą ze szklanki nauczyciela. Po czym znów podszedł do drzwi.

Ludzie na rynku zatrzymywali się i spoglądali z umiarkowanym zaciekawieniem. Publiczne megafony przerwały nagle pogadankę na temat roślin pastewnych i znów wygłosiły komunikat o nieprawdziwości

przybyszów z innej planety.  
Społeczeństwo miejscowe poświęciło się głównie wzruszaniu ramionami, spóźnieni goście okazali większe zainteresowanie. Furgonetka telewizji odjechała, kronika filmowa zaprezentowała wahanie, ruszała i zatrzymywała się, wyraźnie niepewna, co zrobić.

Dziennikarze z Gdańska obejrżeli się na swoich kolegów, wciąż zamienionych w posągi.

- Hej, chłopaki, co z wami? - zaniepokoił się sprawozdawca kryminalny, dotychczas rozglądający się pilnie wokół z nadzieją na ujrzanie brata. - Przecież to już od wczoraj...? Co

to wszystko ma znaczyć?!

- O co biega? - zainteresował się sprawozdawca sportowy. - Nie było w planach powtórki?

Krytyk teatralny stracił cierpliwość.

- Co wam tak mowę odjęło? Coś jeszcze będzie czy to już wszystko? Oni coś wykombinują? Kto to w ogóle jest? Ktoś znajomy? Dajcie głos, do cholery, co się tu dzieje?

- Jak wam się udało zrobić te cztery ręce? - pytał z szalonym zaciekawieniem specjalista od połowów rybackich. - Niech mnie świnia

powącha, wyglądają jak prawdziwe!  
Dzieło sztuki!

Miejscowa ekipa dziennikarska, zapoznana z tematem już od wczoraj, nadal wydawała się niezdolna do życia. Wszyscy stali nieruchomo, doradca do spraw technicznych otworzył nawet usta, ale żaden dźwięk z nich nie wyszedł, fotoreporter tylko chwycił za ramię sekretarkę i przyciągnął ją do siebie. Z boku podbiegł architekt, wlokący za sobą oniemiałego grafika.

- Lepsze! Jednak lepsze! - chwalił gorączkowo. - Ale do powtórki należało zachować pierwotną formę, zdjęcia wykażą różnicę! Te ręce, doskonały pomysł! Wyjaśnienie będzie niezbędne!

Szczegóły techniczne...

- Codziennie zamierzacie tak to organizować? - spytał sprawozdawca sportowy z Gdańska.

Socjolog wydał nagle z siebie przedziwny odgłos, coś pomiędzy entuzjastycznym pianiem a rozpaczliwym wyciem. Towarzyszący sekretarzowi redakcji historyk szczerwieniął gwałtownie i zaczął się krztusić. Satyryk dostał napadu nerwowego chichotu i czkawki. Sekretarz redakcji, bardzo blady, usilnie starał się nie myśleć nic, ograniczając swoje możliwości wyłącznie do zmysłu wzroku.

Kierownik apteki cały czas stał w progu, z nie ukrywanym obrzydzeniem patrząc na srebrzystą grupę, złożoną z pękatego wrzeciona i pięciu lśniących istot.

- O, nie! - powiedział głośno, jadownicie i triumfująco. - Żadne takie! Mogą sobie mieć i po czterdzieści rąk, mnie już nikt nie nabierze!

Cofnął się do wnętrza i zamknął za sobą drzwi

koniec